



***Diane Gaston***



***Dama i oficer***

# Prolog

## *Badajoz, Hiszpania - 1812 rok*

W Badajoz rozpętało się piekło.

Pijani brytyjscy żołnierze wybiegli ze splądrowanych domostw, podpalając wszystko, co nawinęło im się pod rękę. Chodniki zaścielały ciała ofiar - francuskich żołnierzy i hiszpańskich cywilów; mężczyzn, kobiet i dzieci. Barwne hiszpańskie ubrania były czerwone od krwi. Syk ognia, krzyki kobiet, płacz dzieci dzwoniły Jackowi w uszach, lecz żaden z tych dźwięków nie był tak straszny jak rechot oszalałych mężczyzn, ogarniętych żądzą gwałtu i rabunku.

Wśród zwycięskich oddziałów rozeszła się pogłoska, że Wellington zezwolił na trzy godziny plądrowania miasta. Ta plotka stała się iskrą, która wznieciła płomień. Choć nie było w niej ziarnka prawdy, zapanował chaos i zaczęły się masowe rabunki, których po niedługim czasie nie sposób już było powstrzymać.

Po tym, jak Francuzi wycofali się do San Cristobal i przystąpiono do plądrowania, major postanowił spatrolować ulice. Jack Vernon i jego kompani mu towarzyszyli.

- Musimy powstrzymać grabieżę - uznał dowódca.

Rozszalali żołnierze natychmiast napadli na patrol Jacka. Jego towarzysze rozpierchli się i uciekli w popłochu. Oddzielony od innych, Jack marzył już jedynie o znalezieniu bezpiecznej kryjówki, by móc przeczekać rzeź. Biegł uliczkami, skręcając po drodze tyle razy, że nie wiedział, gdzie się znajduje i jak ma się wydostać z labiryntu. W końcu tupot goniących go nóg ustal. Jack zwolnił, obejrzał się za siebie i głęboko zaczerpnął tchu. Krył się pod ścianami starych budynków, mając nadzieję, że nie zdradzi go głośny oddech.

Przemykając pod murem, dotarł w końcu do niewielkiego podwórka. W świetle ognia z płonącego budynku dostrzegł brytyjskiego oficera szarpiącego się z kobietą. Jakiś chłopak usiłował oderwać ręce mężczyzny od jego ofiary, jednak drugi kompan odciągnął chłopca i rzucił go na leżące obok ciało. Żołdak głośno się roześmiał, jakby udało mu się właśnie zbić kręgiel.

Trzeci wojak uniósł chłopaka i wyciągnął nóż. Być może zamierzał poderżnąć wyrostkowi gardło. Jack wpadł na podwórze i wystrzelił w powietrze z pistoletu. Żołnierz puścił nóż, chłopca i wraz ze swym towarzyszem rzucił się do ucieczki, jednak mężczyzna napastujący kobietę nie zwrócił na to najmniejszej uwagi.

Manipulując przy rozporoku, zarechotał.

- Ty też się zabaw. Starczy i dla ciebie. - Odwrócił się, pokazując twarz.

Jack dobrze go znał. Miał przed sobą porucznika Edwina Tranville'a, adiutanta generała brygady Lionela Tranville'a. Zaledwie w rok od śmierci ojca Jacka generał Lionel Tranville uczynił matkę Jacka swoją metresą. Jack miał wtedy zaledwie jedenaście lat.

Cofnął się w cień, zanim Edwin zdołał go rozpoznać. Dobrze wiedział, że Edwin jest tchórzem, znęcającym się jedynie nad słabszymi; jednak nie przypuszczał, że jest zdeprawowany aż do tego stopnia.

- Zostaw tę kobietę - rozkazał Jack.

- Nie ma mowy - odpowiedział bełkotliwie Edwin. Był bardzo pijany. - Za bardzo jej pragnę. Zasłużyłem sobie na to. - Wycelował palec w stronę kobiety. - Nie próbuj ze mną walczyć, bo będę musiał cię zabić.

Jack zatknął pistolet za pas i wyciągnął szablę. Kobiecie udało się pchnąć Edwina tak, że się zatoczył; stała teraz pomiędzy Jackiem a napastnikiem. Rozpaczliwie wparłszy się w tors Edwina, popychała go, gdy tymczasem chłopak wskoczył mu na plecy. Edwin starał się strząsnąć z siebie wyrostka. Kopnął kobietę tak, że upadła, po czym ścisnął dzieciaka za gardło.

- *Non!* - krzyknęła przeraźliwie.

Jak tygrysyca rzuciła się na Edwina, który się cofnął.

- Uspokój się! - zawołał, nie przestając się bezmyślnie uśmiechać. - Bo skrećę mu kark. - Zarechotał, jakby uznał te słowa za doskonały dowcip. - Zabiję go gołymi rękami.

- *Non!* - krzyknęła, ponownie rzucając się na Edwina.

Potknął się, a tymczasem chłopakowi udało się wyrwać. Zaatakowała Edwina nożem, rozcinając mu policzek od ucha aż po usta. Zawył i opadł na kolana. Przyłożył dłoń do krwawiącej twarzy.

- Zabiję cię za to!

Kobieta uniosła ramiona, by głęboko wbić nóż w plecy Edwina.

Niespodziewanie jakiś brytyjski oficer chwycił ją od tyłu.

- Nie rób tego, *señora* - przestrzegł i rozbroił ją bez trudu.

Dołączył do niego inny oficer. Byli to kapitan i porucznik, obaj w mundurach piechoty szkockiej, regimentu, którym dowodził niegdyś Tranville. Edwin wskazał kobietę.

- Chciała mnie zabić! - Usiłował wstać, lecz się zatoczył i opadł na kocie łby.

Zemdlał, wycieńczony bólem i nadmiarem alkoholu.

Kapitan zwrócił się do nieszczęsnej.

- Będzie musiała pani pójść z nami, *señora*.

Jack schował szablę do pochwy i postąpił kilka kroków.

- Chwileczkę!

Dwaj mężczyźni odwrócili się gwałtownie; porucznik wycelował pistolet w pierś Jacka. Jack uniósł ręce.

- Jestem podporucznik Vernon z Regimentu Wschodniego Esseksu. Ten oficer zamierzał zabić chłopca i zgwałcić kobietę. Byłem świadkiem tej sceny. Jego dwaj kompani uciekli.

- Jakiego chłopca? - spytał kapitan.

Z cienia wyłoniła się drobna sylwetka. Porucznik natychmiast zwrócił lufę pistoletu w tamtą stronę. Jack położył dłoń na ramieniu oficera.

- Nie strzelaj. To dziecko.

Kapitan, trzymając kobietę za ramię, podszedł do Edwina i obrócił go na plecy obutą nogą.

- Landon, widzisz, kto to jest?

- To syn generała Tranville'a - odpowiedział za niego Jack.

- Żartujesz? Co on tu robi? - zdziwił się porucznik.

Jack wskazał Edwina.

- Chciał udusić chłopca, a ta nieszczęsna bronila go nożem.

Po policzku Edwina ciekła krew; wciąż był nieprzytomny.

- Jest pijany - dodał Jack.

Wyrostek podbiegł do ciała francuskiego żołnierza.

- *Papa!*

- *Non, Claude!* - zawołała kobieta, wyrywając się kapitanowi.

- Cholera, to Francuzi. - Kapitan przyklęknął obok ciała i dotknął palcami szyi mężczyzny. - Nie żyje.

- *Mon mari* - powiedziała kobieta.

Kapitan wstał i podszedł do Edwina. Można było odnieść wrażenie, że zamierza go kopnąć, lecz w ostatniej chwili się powstrzymał. Edwin przewrócił się na brzuch i skulił się z jękiem.

Chłopak szarpał rękaw kurtki ojca.

- *Papa! Papa! Réveillez!*

- *Il est mort, Claude.* - Kobieta delikatnie odciągnęła syna od ciała zabitego. - Kapitan popatrzył na Jacka.

- Tranville go zabił?

- Nie widziałem.

- Do diabła. Co z nią teraz będzie? - Kapitan przeniósł wzrok na Francuzkę.

Dobiegły ich jakieś krzyki; kapitan wyprostował się.

- Musimy ich stąd wyprowadzić. - Machnął ręką w stronę porucznika. - Landon, zabierz Tranville'a do obozu. Podporuczniku, potrzebuję pańskiej pomocy. Chcę znaleźć dla tej nieszczęsnej bezpieczne miejsce. Może w kościele... albo gdzie indziej. - Popatrzył na porucznika i na Jacka. - Nikomu ani słowa na temat tego, co tu zaszło. Zrozumiano?

- Powinien za to zawisnąć na szubienicy - powiedział porucznik.

- Jest synem generała - zauważył kapitan. - Jeśli złożymy doniesienie, generał zwróci gniew przeciwko nam, a nie przeciw synowi. - Wskazał kobietę skinieniem głowy. - Mógłby nawet odszukać ją i chłopca. - Popatrzył na leżącego bez ruchu Edwina. - Ten sukinsyn jest tak pijany, że pewnie nawet nie wie, co zrobił.

- Pijaństwo nie jest żadną wymówką - rzekł porucznik. Po chwili zastanowienia kiwnął głową. - Dobrze. Nikomu nic nie powiemy.

Kapitan popatrzył na Jacka.

- Czy mam na to również i pańskie słowo, podporuczniku?

- Tak. - Jack wolał, żeby ani Tranville, ani Edwin nie dowiedzieli o jego obecności w tym miejscu.

Gdzieś w pobliżu rozległ się brzęk szkła. Dach płonącego budynku zawalił się, posyłając w niebo tysiące iskier.

- Musimy się pośpieszyć - rzekł kapitan. Wyciągnął dłoń do Jacka. - Jestem kapitan Deane. A to jest porucznik Landon.

Jack ukłonił głowę.

- Czy jest tu gdzieś kościół? - zwrócił się Deane do kobiety i jej syna. Płasnął się dłonią w czoło. - Psiakrew, jak to powiedzieć po francusku? *Église*?

- *Non*, nie *église*, *capitaine* - odpowiedziała kobieta. - Mój... mój *maison* - mój dom. Chodźmy.

- Mówi pani po angielsku, madame?

- *Oui*, *un peu*... trochę.

Landon zarzucił sobie Edwina na ramię.

- Uważaj - ostrzegł go kapitan.

Porucznik szybko skinął głową, rozejrzał się dokoła i oddalił się w kierunku, z którego przyszli. Deane zwrócił się do Jacka.

- Chcę, żebyś poszedł ze mną. - Popatrzył na ciało Francuza. - Będziemy musieli go tu zostawić.

- Tak jest.

- Chodźmy.

Rzuciwszy ostatnie spojrzenie na ciało zmarłego męża, kobieta otoczyła ramieniem syna i dała znak, by oficerowie poszli za nią. Przeszli zaułkiem pod drzwi domu przy wąskiej uliczce.

- Mój dom - powiedziała cicho.

Drzwi były uchylone. Kapitan dał znak, by zaczekali, a sam wszedł do środka. Po chwili wrócił.

- Nie ma nikogo.

Jack przestąpił próg. Dom został splądrowany; wszędzie walały się połamane meble, skorupy talerzy, porozrzucone papiery. Mieszkanie składało się jedynie z frontowego



pokoju, kuchni i sypialni. Kapitan Deane przyciągnął znajdujący się w oplakany stanie materac z sypialni do głównego pokoju i położył w kącie. Francuzka przyniosła z kuchni kubki z wodą. Chłopiec nie odstępował matki na krok, patrząc przed siebie szklanym wzrokiem.

Jack duszkiem wypił wodę.

- Zostaniesz na straży? - zapytał kapitan, zaspokoiwszy pragnienie. - Pośpię godzinę, a potem cię zastąpię.

- Dobrze - odpowiedział Jack.

Mógł pełnić straż choćby i całą noc. Był pewien, że nie zmruży oka. Zastanawiał się nawet, czy w ogóle kiedykolwiek będzie jeszcze w stanie zasnąć.

Zabarykowali drzwi zniszczonymi meblami. Jack znalazł niepołamane krzesło i usiadł na nim przy oknie. Kapitan dał znak kobiecie i jej synowi, by położyli się na materacu. Sam usiadł na podłodze i oparł się plecami o ścianę. Z zewnątrz wciąż dobiegały odgłosy rzezi, lecz nikt nie próbował wdrzeć się do środka. Jack patrzył przez okno na pozornie spokojną ulicę. Pomyślał, że do rana to szaleństwo zapewne ustanie i będzie mógł wrócić do obozu. Miał nadzieję, że major i pozostali uczestnicy jego patrolu żyją. Być może jeszcze przed końcem wojny ktoś przeszyje serce Edwina szpadą, wymierzając mu sprawiedliwość za udział w tej straszliwej masakrze.

Załadował pistolet i trzymał go w pogotowiu. W głowie roiło mu się od makabrycznych scen. Wyobrażenia podsuwała kolejne obrazy. Wyłaniały się w zakamarkach mózgu jeden za drugim, zmuszając Jacka do przeżywania od nowa koszmaru tego dnia. Czuł przemożną potrzebę uwiecznienia tych obrazów na kartce. Pragnął uzewnętrznić swe przeżycia, by zyskać odrobinę spokoju.

Niebo pojaśniało wraz z nastaniem świtu, a Jack wciąż słyszał pijackie krzyki, strzały z muszkietów, przerażone głosy ofiar. Kapitan Deane obudził się i podszedł do Jacka. Przystanął na chwilę, nasłuchując.

- To jeszcze nie koniec. - Potarł twarz. - Prześpij się trochę, podporuczniku. Zaczekamy. Miejmy nadzieję, że to się niedługo uspokoi.

Jack ustąpił miejsca kapitanowi. Spojrzał w kąt pokoju, gdzie leżeli kobieta i jej syn. Chłopiec, skulony w kłębek, wyglądał jak małe dziecko. Francuzka nie spała. Jack

rozejrzał się po pokoju i zaczął zbierać kartki papieru z podłogi. Przyjrzał się im. Niektóre stronice były niezapisane.

- Będą pani potrzebne? - zapytał kobietę, unosząc plik papierów.

- *Non*.

Jack czuł się winny, że zabiera nieznajomej listy, jednak jego szkicownik został z ekwipunkiem w obozie. Nie spodziewał się, że aż tak dramatycznie będzie potrzebował papieru. Znalazł szeroką deskę i usiadł pod drugim oknem. Umieściwszy deskę na kolanach tak, że padało na nią światło, wyciągnął z kieszeni ołówek. Położył kartkę na desce i z ciężkim westchnieniem przystąpił do rysowania.

Sceny uwięzione w jego głowie spływały na papier. Nie nadążał za tym, co podsuwał mu umysł. Zappełnił już trzy kartki, a wciąż jeszcze nie czuł spełnienia; musiał narysować wszystko, co widział. Dopiero gdy uda mu się uchwycić najważniejsze wydarzenia, będzie od nich wolny. Być może nawet zaśnie.



# Rozdział pierwszy

*Londyn - czerwiec 1814 roku*

Jack przemierzał sale wystawowe Royal Academy of Art, podziwiając bogactwo ekspozycji, mistrzostwo i piękno dzieł. Wciąż nie mógł uwierzyć, że naprawdę znajduje się w tym miejscu. Historyczne malowidła, pejzaże, alegorie, portrety wiszące obok siebie na ścianach wyglądały jak kawałki układanki, w której wciąż przybywa elementów, aż w końcu zostaje nimi wypełniona cała przestrzeń od podłogi aż do sufitu.

Rok temu jego regiment został odwołany do Anglii. Napoleon abdykował i armia nie potrzebowała już usług Jacka. Podobnie jak większość młodych oficerów, którym udało się przeżyć wojnę, został awansowany do stopnia porucznika, co wiązało się z podwyższeniem uposażenia. Jako że w czasie pokoju otrzymywał połowę poborów, dodatkowe pieniądze pozwoliły mu na realizację marzeń. Z pasją poświęcił się działalności artystycznej; rysował i malował, by zapomnieć o śmierci i zniszczeniach.

Po powrocie z wojny udał się prosto do Bath, do domu matki i siostry. W Bath mieszkał również jego mentor, sir Cecil Harper. Od dzieciństwa wspierał duchowo Jacka i doskonale rozumiał jego potrzebę tworzenia, a teraz ponownie stał się jego nauczycielem i opiekunem artystycznym. Na szczęście wojna nie odebrała Jackowi zapалу do rysowania i malowania. Zachęcony przez sir Cecila, przedłożył swe obrazy Royal Academy of Art z myślą o letniej wystawie. Jakimś cudem przyjęto dwie z jego prac.

Wisały teraz na ścianach Somerset House, siedziby Royal Academy, obok dzieł Lawrence'a, Fuselego i Turnera, w sali wypełnionej widzami, którzy nie zdążyli jeszcze wyjechać z miasta na lato. Szmer głosów rozbrzmiewał w uszach Jacka jak odległa kanonada i przywoływał wspomnienia wojennego koszmaru.

Jakiś przechodzący mężczyzna delikatnie otarł się o Jacka, który omal się nie zatoczył. Na szczęście dżentelmen niczego nie zauważył. Jack rozprostował zaciśniętą pięść, lecz wspomnienia wojny przybierały na sile; wystrzały armatnie były coraz donośniejsze, w sali robiło się coraz ciemniej. Zdarzyło mu się to już wcześniej. Te objawy nieodmien-

nie zwiastowały nadejście wizji. Wkrótce znów znajdzie się na polu bitwy, pośród znanych odgłosów, widoków i lęków.

Mocno zacisnął powieki, mając nadzieję, że nikt nie domyśla się, że Jack stacza z sobą wewnętrzną walkę. Otworzywszy oczy, popatrzył na portret swojej siostry. Obraz wisiał wysoko i niełatwo było dojrzeć szczegóły. Jack nie mógł się jednak spodziewać, że dzieło nieznanego malarza zostanie uhonorowane lepszym miejscem. Myśl o obrazie sprawiła, że powrócił do rzeczywistości. Był w Londynie, w Somerset House, wśród pięknych dzieł sztuki. Z wdzięcznością uśmiechnął się w stronę portretu siostry.

- Który obraz tak bardzo się panu podoba? - usłyszał cichy, melodyjny głos.

Obok Jacka stała urodziwa młoda kobieta. Można było odnieść wrażenie, że właśnie zstąpiła z jednego z płócien. Przez chwilę zastanawiał się, czy aby wyobraźnia znów nie płata mu figli. Nieznajoma miała skórę jedwabistą jak płatek róży, wspaniale kontrastującą z rudawobrązowymi włosami. Pełne, ciemnoróżowe wargi lśniły tak, jakby przed chwilą zwilżyła je językiem. Duże, błyszczące oczy barwy zielonych łąk, otoczone ciemnobrązowymi rzęsami, patrzyły na niego z zaciekawieniem. A może ze współczuciem?

- Proszę powiedzieć, że portret tej młodej damy. - Wskazała konterfekt jego siostry.

Odrywając na chwilę wzrok od pięknej nieznajomej, zerknął na obraz.

- Podoba się pani? - spytał speszony

- Owszem. - Zmrużyła oczy, jakby się nad czymś zastanawiała. - Jest doskonały pod względem artystycznym, ale nie tylko o to chodzi... - Urwała, by zwilżyć wargi, co podziałało niezwykle pobudzająco na Jacka. - Widać, że twórca włożył w pracę wiele uczucia.

- Uczucia? - Jack popatrzył na malowidło i szybko przeniósł wzrok na kobietę.

Nie potrafił oderwać od niej oczu.

- Tak - potwierdziła. Działała jak balsam na Jacka, który zaledwie przed chwilą stoczył walkę z demonami przeszłości. - Wyraz twarzy tej młodej damy, jej poza oddziałują na emocje. Ta młoda osoba najwyraźniej zastanawia się, co przyniesie jej przy-

szłość; widać też, że malarz bardzo ją lubi, co czyni ją tym piękniejszą. To naprawdę niezwykły obraz.

Jack zaczerwienił się; jego próżność została mile polechtana.

Namalował podobiznę Nancy z myślą o zamówieniach od przyszłych klientów, jednak praca nad obrazem stworzyła mu szansę lepszego poznania siostry, która była jeszcze dzieckiem, gdy całował ją na pożegnanie przed wyjazdem na Półwysep Iberyjski. Teraz Nancy miała osiemnaście lat i była tak piękna, urocza i świeża, jak przedstawiał to portret. Młoda dama, której płótno tak bardzo przypadło do gustu, była co najwyżej o kilka lat starsza od Nancy.

Roześmiała się.

- Mężczyźni nie rozumieją emocji. - Popatrzyła uważnie na obraz. - Artyści są wyjątkiem. Ten artysta doskonale potrafi ukazać uczucia.

Gdyby wiedziała, ile razy emocje stawały się moim przeciwnikiem, pomyślał Jack. Znów napotkał spojrzenie zielonych oczu.

- Wie pan, że artysta wystawił tu jeszcze jedną swoją pracę? - Ujęła go pod ramię. - Chodźmy. Pokażę panu. Przeżyje pan zaskoczenie.

Poprowadziła go w drugi koniec sali. Tam, wśród dzieł wielkich mistrzów, wypatrzył swoje malowidło.

- Widzi pan? - Wskazała obraz przedstawiający brytyjskiego żołnierza dumnie unoszącego flagę pod Badajoz. - Chodzi mi o ten olej nad pejzażem. Przedstawia żołnierza. Proszę spojrzeć, jaka ulga, zmęczenie, a jednocześnie radość ze zwycięstwa malują się na twarzy tego człowieka. - Otworzyła katalog i znalazła odpowiednią stronę. - Dzieło zostało zatytułowane „Zwycięstwo pod Badajoz”, a jego autorem jest Jack Vernon. - Przeniosła wzrok na obraz. - Fascynuje mnie, że Vernonowi udało się ukazać cierpienia, które musiał przeżyć ten żołnierz.

- Czyli ten też się pani podoba. - Jack czuł się usatysfakcjonowany tak jakby sam prezes Royal Academy, Benjamin West, wygłosił pochwały.

- Oczywiście - przytaknęła żarliwie.

Namalował „Zwycięstwo pod Badajoz”, by ukazać złudzenie, że oblężenie Badajoz było warte ogromu strat. Młoda dama dostrzegła w jego pracy dokładnie to, co starał się przekazać. Zwrócił się w jej stronę.

- Zna się pani na wojowaniu?

Roześmiała się.

- Nie mam o tym pojęcia, ale wyobrażam sobie, jak musi się czuć człowiek w chwili zwycięstwa. - Znów ujęła go za ramię. - Pokażę panu jeszcze jeden obraz.

Podeszli do malowidła figurującego w katalogu pod nazwą „Kapitulacja Pampeluny”. Wellington, który w tym miesiącu został księciem, był przedstawiony na koniu, w rzymskim stroju, i przyjmował kapitulację hiszpańskiego miasta Pampeluna, uosobionego na obrazie jako kobieta. Obraz, wyróżniający się doskonałą kompozycją i nienaganną techniką, przywodził na myśl rzymski fryz.

- Ten obraz też się pani podoba? - spytał. - Moim zdaniem, jest bardzo dobry.

Lekceważąco machnęła ręką.

- To absurdalne... Wellington w rzymskiej szacie!

Uśmiechnął się, rozbawiony.

- To alegoria.

Posłała mu karcące spojrzenie.

- Wiem, że to alegoria, ale czy nie uważa pan, że to śmieszne przedstawiać współczesną historię tak, jakby wydarzyła się w starożytnym Rzymie? - Popatrzyła na malowidło. - Proszę tylko spojrzeć. Nie przeczę, że wykonała go ręka mistrza, ale wypada blado w zestawieniu z poprzednim dziełem na temat zwycięstwa. Nie ma w nim pasji.

- Sądzę, że nie powinno się porównywać tych dwóch dzieł w ten sposób. Artystom przyświecały inne cele. Ta scena jest alegorią; tamta wiernie przedstawia konkretną sytuację.

- Chodzi mi o to, że tworząc alegorię, ten artysta pozbawił obraz właściwego przesłania, odarł go z emocji. Dzieło przedstawiające zwycięstwo pod Badajoz doskonale je ukazuje. Osobiście wolę wiedzieć, jak to wszystko wyglądało naprawdę.

Jak wyglądało naprawdę? Gdyby ta dama wiedziała, do jakiego stopnia Jack wyidealizował chwilę zwycięstwa w Badajoz... Nie ukazał murów miasta lepkich od krwi,

okaleczonych ciał, agonii ofiar. Kiedy przystępował do malowania, nie myślał o przedstawieniu uczuć towarzyszących zwycięstwu. Zamierzał jedynie pokazać, że potrafi malować nie tylko portrety. Liczył na to, że po zakończeniu wojny może zaistnieć zapotrzebowanie na sztukę o tematyce wojennej. Jeśli ktoś zażyczyłby sobie, by przedstawił scenę bitewną, przyjąłby zamówienie, choćby musiał ukryć straszliwą prawdę. Przeniósł wzrok na alegorię. Istotnie, jego obraz wyrażał emocje, których brakowało w drugim dziele. Popatrzył na towarzyszącą mu kobietę.

- Już zrozumiałem, co pani miała na myśli.

Uśmiechnęła się z wyraźnym zadowoleniem.

- Cieszę się.

- Zdaje się, że ma pani fachową wiedzę na temat sztuki. - Skłonił się dwornie.

- Fachową wiedzę? Nonsens. Znam się na sztuce jeszcze mniej niż na wojowaniu. -

W jej oczach zamigotały figlarne iskierki. - Jednak to nie powstrzymuje mnie od wyrażania opinii.

- Pozwoli pani, że się przedstawię...

- Ariana! - W tej właśnie chwili podeszła do nich urodziwa dama w średnim wieku.

- Szukam cię wszędzie! Jest tu ktoś, kogo koniecznie musisz poznać.

Młoda kobieta posłała Jackowi przepaszające spojrzenie. Ariana.

Jack kilkakrotnie powtórzył to imię w myślach.

Ariana Blane żałowała, że musiała przerwać dyskusję z nieznanym. W jego towarzystwie spędziłaby czas znacznie ciekawiej niż z osobą, z którą za wszelką cenę postanowiła ją poznać matka. Była pewna, że nigdy nie zapomni tego wysokiego, dobrze zbudowanego dżentelmena. Nosił się z tak naturalną elegancją, że można było nie zwrócić uwagi na fakt, że jego surdut i spodnie nie spełniają wymogów najnowszej mody. Miał surową, wyrazistą twarz człowieka, na którym można polegać. Chociaż lekko zmierzwił ciemne włosy wymagały przystrzyżenia, a mimo wczesnego popołudnia było już widać ciemny zarost na brodzie, dodawało mu to zawadiackiego uroku, któremu nie mogła się oprzeć.

Gdy do niego podeszła, jej uwagę przyciągnęły przede wszystkim oczy. Jasnobrażowe jak dojrzała brandy, były niepodobne do jakichkolwiek widzianych wcześniej. Od-

niosła wrażenie, że ich właściciel widział w życiu więcej, niż by sobie tego życzył. Bez wątpienia ten mężczyzna ją zaintrygował. Zamierzał się jej przedstawić, gdy nadeszła matka. Ariana żałowała, że nie zdążyła się dowiedzieć, kim jest interesujący nieznajomy.

Miała jednak nadzieję, że uda jej się wystąpić na scenie, na czym bardzo jej zależało. Być może pewnego dnia nieznajomy zobaczy jej występ, a po przedstawieniu znajdzie ją w pokoju dla aktorów i ich gości...

Matka zaprowadziła ją przed oblicze energicznego, krępego dżentelmena. Ariana przeżyła zaskoczenie. Trudno było zaliczyć go do grona podstarzałych bogatych mężczyzn, których matka przedstawiała jej tak uporczywie, że można było pomyśleć, iż woli oddać córkę jakiemuś bogaczowi, niż pomóc jej w odniesieniu sukcesu na londyńskiej scenie. Udało się jej jedno i drugie; nie można było wykluczyć, że planuje podobną przyszłość dla córki.

- Pozwoli pan, że przedstawię go mojej córce, panie Arnold. - Matka ostrzegawczo uśmiechnęła się do Ariany, dając jej do zrozumienia, że uważa tę znajomość za niezwykle wartościową. - Moja córka, panna Ariana Blane.

Ariana знаła to nazwisko. Obdarzyła pana Arnolda czarującym uśmiechem i dygnęła z gracją.

- Twoja córka jest cudowna, Daphne - rozpromienił się Arnold. - Naprawdę urocza.

- Pan Arnold zarządza Drury Lane Theatre.

- Nie musisz mi tego mówić, mamó. - Ariana postąpiła o krok. - Wszyscy wiedzą, kim jest pan Arnold. Jestem zaszczycona, mogąc pana poznać. - Wyciągnęła ku Arnoldowi rękę.

Uścisnął koniuszki jej palców.

- A ja jestem zaszczycony, mogąc poznać panią, panno Blane.

- Wiem, że Drury Lane odżył dzięki panu oraz Edmundowi Keanowi.

Rola Shylocka w „Kupcu weneckim” w wykonaniu Keana została entuzjastycznie oceniona przez publiczność i krytykę, i stała się wydarzeniem sezonu.

Arnold uśmiechnął się.

- Widziała pani występ Keana?

- Tak, muszę przyznać, że wywarł na mnie wielkie wrażenie - odparła Ariana.



- Widziałas to przedstawienie? - Matka wyglądała na zaskoczoną. - Nie wiedziałam, że bylas w Londynie.

- Przyjechalismy tu w kilka osób, zeby zobaczyc Edmunda Keana. Nie mialam czasu, zeby sie z toba skontaktowac. Wrocilismy zaraz po spektaklu, zeby zdazyc na nasz występ - wyjasnila Ariana.

Arnold kontynuowal, jakby nie slyszal wymiany zdań miedzy matka a córka:

- Pani matka powiedziala mi, ze jest pani aktorka.

Ariana usmiechnela sie.

- Kim moglaby byc córka slynnej Daphne Blane, jak nie aktorka? To moja pasja.

Z uznaniem pokiwal glową.

- Nalezy pani do jakiegoz zespolu?

- Tak. Do Fisher Company.

- Znam pana Fishera. - Pan Arnold nie kryl uznania.

Cztery lata temu, gdy Ariana skonczyła osiemnaście lat, przyjela posade nauczycielki poezji w szkole z internatem w Bury St Edmunds, do ktorej uczesczczala od dziewiatego roku zycia. Myslala wtedy, ze bedzie to dla niej jedyny sposob zarabiania na utrzymanie. Matka przyjela nowego dzentelmena pod swój dach i nie zyczyla sobie powrotu Ariany. Wtedy do akcji wkroczył los. Do miasteczka przyjechal zespól Fishera ze sztuka „Krew ząda krwi”. Przedstawienie porwalo Ariane. Bylo w nim mnóstwo emocji i napiecia. Mocno wryl sie w jej pamiec sztorm, katastrofa statku, konie i bitwa. Nastepnego dnia Ariana spakowala swoje rzeczy i dołączyla do trupy aktorów. Wiedziala, ze zostala przyjeta tylko dlatego, ze jest córka slynnej Daphne Blane, lecz nie mialo to dla niej zadnego znaczenia.

- W czym pani wystepowala? - spytal Arnold.

- Jest tego tyle, ze trudno mi wszystko wymienic. Bylam czlonkiem zespolu przez cztery lata.

Wraz z zespolem Fishera wystepowala w wynajetych stodołach i malych teatrzykach w miejscowosciach takich jak Wells-next-the-Sea i Lowestoft. Z uplywem czasu nabierala doswiadczenia i otrzymywala coraz wieksze role. Zastanowila sie nad odpowiedzia.



- W „Miłosnych słabostkach”, „Zwycięstwie przez uniżenie”, w „Rywalach”. - Specjalnie wymieniła „Rywali”, wiedząc, że autor tej komedii, Richard Brinsley Sheridan, wciąż jest właścicielem Drury Lane Theatre.

- Pojawiała się głównie w komediach obyczajowych, najczęściej w niewielkich rólkach - wtrącała matka.

- W „Rywalach” grałam Lucy. - Ariana popatrzyła na matkę, zaniepokojona jej zachowaniem. Dlaczego nalegała na spotkanie z panem Arnoldem, skoro teraz starała się unicestwić wszystkie próby wywarcia odpowiedniego wrażenia na tym człowieku?

- Proszę mi powiedzieć - ciągnął Arnold, patrząc na Arianę i ignorując Daphne Blane - czy grała pani Szekspira?

- Grałam Hipolitę w „Śnie nocy letniej”. Dlaczego pan o to pyta?

Arnold nieznacznie pochylił się ku niej i powiedział ściszym głosem:

- Zastanawiam się poważnie nad wystawieniem „Romea i Julii”, próbując zdyskontować sukces Keana. Oczywiście wszystko zależy od tego, czy uda mi się pozyskać odpowiednie fundusze.

Daphne położyła dłoń na ramieniu Arnolda.

- Czy Kean wystąpi w tym przedstawieniu?

Poklepał jej rękę.

- Zapewniam cię, że otrzyma taką propozycję, ale nawet jeśli odmówi, to sztuka z Daphne Blane i jej córką w obsadzie bez wątpienia będzie cieszyła się wielkim powodzeniem.

- To brzmi bardzo kusząco.

- Proszę, przyjdźcie, panie, jutro do teatru, o wszystkim spokojnie porozmawiamy.

- Przyjdziemy - pośpieszyła z zapewnieniem Daphne.

Arnold skłonił się i odszedł.

Ariana odprowadziła go wzrokiem. Serce mocno biło jej w piersi. Być może otrzyma szansę wystąpienia w Drury Lane Theatre.

Jack krążył po sali, udając, że ogląda obrazy. Miał nadzieję, że wypatrzy gdzieś Arianę. Czy do niej podejść? Co wtedy by powiedział? „Jestem artystą, którego obrazy pani podziwia?” Bardzo by chciał, żeby poznała prawdę. Przeciskając się przez tłum,

zmuszał się do słuchania urywków rozmów na temat wystawionych prac, jednak mu to nie wystarczało. Musiał znów zobaczyć Arianę.

Znalazł ją przy trzecim okrążeniu sali. Ona i kobieta, która przerwała ich dyskusję, pogrążone były teraz w rozmowie z jakimś dżentelmenem. Ariana z ożywieniem odpowiadała na jego pytania, wyraźnie zadowolona. Widział to, mimo że patrzył na nią ze sporej odległości.

Kiedy mężczyzna odszedł, starsza dama poprowadziła Arianę do dwóch dżentelmenów o arystokratycznym wyglądem. Wprawdzie młoda kobieta nie sprawiała wrażenia tak zadowolonej z rozmowy jak poprzednio, lecz Jack rozumiał, że ma niewielkie szanse na ponowne spotkanie. Wycofał się w głąb sali i zaczął przyglądać się obrazom, klasyfikując je pod kątem obecności emocji lub ich braku.

Ktoś poklepał go po ramieniu.

- Witaj, chłopcze. Jak czuje się artysta, którego prace zdobią Somerset House?

To był mentor Jacka, sir Cecil.

- To wielki zaszczyt, jakiego nie dostałem nigdy wcześniej. Rozpiera mnie duma, a to wszystko dzięki panu. Bardzo panu za to dziękuję. - Jack uścisnął dłoń nauczyciela. - Nie spodziewałem się spotkać pana w Londynie.

Przeszli do miejsca, w którym wisiał portret Nancy.

- Nie mogło mnie tu zabraknąć, chłopcze. Musiałem przyjechać. - Popatrzył na obraz. - Doskonała praca. Znalazła się na tej wystawie jak najbardziej zasłużenie. Szkoda, że twoja siostra nie może się nacieszyć widokiem konterfektu w takim miejscu.

- Jest tutaj z naszą matką. W tej chwili są zajęte zszywaniem rozdartej sukni mamy, ale niedługo wrócą.

Twoja matka jest w Londynie? To do niej niepodobne. Matka nie była w Londynie od śmierci ojca Jacka przed wieloma laty.

- Myślę, że chciała być na wystawie.

Była to tylko część prawdy. Matka przyjechała do Londynu głównie dlatego, że przybył tu również lord Tranville, mężczyzna, który uczynił ją swoją metresą. Kiedy ojciec Jacka, bratanek hrabiego, był oficerem Gwardii Konnej, cała rodzina mieszkała w Londynie. John i Mary Vernon byli chętnie przyjmowani w londyńskich salonach. Jack

pamiętał, jak elegancko ubrani wychodzili na kolejne bale. Wszystko się zmieniło wraz ze śmiercią ojca. Wpadli w długi i brakowało im pieniędzy na spłaty. Wtedy Mary postanowiła przenieść się z dziećmi do Bath. Tam młoda, urodziwa wdowa wpadła w oko Tranville'owi, który postanowił wziąć ją na utrzymanie.

Mary twierdziła, że Tranville stał się wybawieniem dla rodziny, jednak gdy Jack podrósł, zrozumiał, że matka mogła się zwrócić z prośbą o pomoc do krewnego ojca. Hrabia nie pozwoliłby na to, by cierpieli niedostatek. Jednak gdy matka związała się z Tranville'em, wyrzekając się tym samym dobrej reputacji, stryjeczny dziadek umył ręce i przestał się nimi interesować.

Sir Cecil poklepał Jacka po ramieniu.

- To dobrze, że twoja matka i siostra tutaj przyjechały. Jak długo zamierzają zabiwać w Londynie?

- Wynajęły dom przy Adam Street, niedaleko mojej pracowni.

- Masz pracownię? - Sir Cecil rozpromienił się. - To wspaniale, mój chłopcze.

Tranville płacił za dom matki. Właściwie każdy jej pens pochodził od niego. Jak dotąd dotrzymywał obietnicy, że zabezpieczy ją finansowo. Dzięki jego pieniądзом pani Vernon i jej dzieci mogły prowadzić dostatnie życie. Tranvillełożył na edukację Jacka i zapłacił za jego oficcerskie stanowisko w armii. Jack przysiągł sobie, że nadejdzie taki dzień, w którym odda te pieniądze.

- To niewielki apartament - wyjaśnił. - Pokój do pracy i sypialnia, ale jest tam dobre światło.

- I mieszkasz pod dobrym adresem - dodał sir Cecil.

Nie było to wprawdzie bardzo prestiżowe miejsce, ale znajdowało się niedaleko Covent Garden i Adelphi Terraces zamieszkanym przez szacownych obywateli.

- Czy wiesz, że mój syn studiuje architekturę w Londynie?

- W takim razie mam nadzieję, że spotkam obu panów. - Jack wypatrzył w tłumie matkę i siostrę.

Nancy dostrzegła brata i pomachała ręką w jego stronę, po czym poprowadziła ku niemu matkę. Sir Cecil przywitał się z nimi uprzejmie.

- Jack. - Oczy Nancy błyszczały z podniecenia. - Nawet nie wiesz, ile osób spytało mnie, czy jestem młodą damą z portretu. Podawałam im adres twojej pracowni.

Matka uniosła brwi.

- Powiedziałyby, że niektórzy dżentelmeni okazali się bardzo impertynency.

Jack wyprostował się i rozejrzał po sali.

- Nie złość się, braciszku. - Nancy roześmiała się. - Nic mi z ich strony nie grozi. Jestem pewna, że pytali z czystej ciekawości.

Ciemnowłosa, o jasnej karnacji i niebieskich oczach Nancy była tak świeża i czarująca, jak określiła to nieoceniona Ariana. Jack martwił się o przyszłość siostry. Nancy miała niewielkie szanse na spotkanie odpowiedniego kawalera. Jaki mężczyzna ożeniłby się z pozbawioną posagu córką utrzymania? Spochmurniał.

Matka dotknęła jego ramienia.

- Jestem zmęczona, synu. Jak długo jeszcze zamierzasz tu zabawić?

Rozejrzał się dookoła. Tłum przeredził się. Było już późne popołudnie i wiele osób udawało się do swych domów w Mayfair. Niektórzy, jak przypuszczał, w drodze powrotnej zamierzali odbyć zwyczajową o tej porze przejażdżkę w Hyde Parku.

- Możemy już iść. - Jack kolejny raz potoczył wzrokiem po zgromadzonych w nadziei, że wypatrzy wśród nich Arianę.

Szczyście mu dopisało, gdy wraz z sir Cecilem prowadził matkę i siostrę do wyjścia. Na schodach zobaczył Arianę, jednak sytuacja nie pozwalała mu nawiązać rozmowy. Ariana i towarzysząca jej kobieta szły w towarzystwie dwóch doskonale ubranych i otwarcie okazujących swe zainteresowanie mężczyzn. Z podziwem patrzył na zgrabną sylwetkę i pełen gracji sposób poruszania się Ariany. Jasnorożowa suknia kołysała się wokół jej nóg w rytm kroków; okrywająca ją niebieska chusta nieznacznie unosiła się z każdym ruchem bioder. Nie przestawał się jej przyglądać, gdy szli przez dziedziniec. Ariana i jej towarzystwo udali się w stronę Strandu, gdzie czekały już liczne powozy. Jeszcze ostatnie spojrzenie...

Ariana odwróciła się i zobaczyła Jacka. Jej twarz natychmiast rozjaśniła się w uśmiechu, a jemu z wrażenia zabrakło tchu. Jeden z towarzyszących jej dżentelmenów ujął ją pod ramię.

- Powóz czeka, moja droga - przypomniał niecierpliwie, najwyraźniej nie zdając sobie sprawy z obecności Jacka.

Odwróciła się jeszcze raz i odszukała go wzrokiem.

- Do widzenia - powiedziała bezgłośnie, po czym wsiadła do lśniącego czteroosobowego pojazdu.

Jack odprowadzał odjeżdżający powóz wzrokiem, dopóki nie zniknął mu z oczu. Starał się ze wszystkich sił zapisać w pamięci twarz i postać Ariany. Musiał jak najszybciej znaleźć się w swej pracowni, aby nanieść na papier jej wizerunek.

TLR

# Rozdział drugi

*Londyn - styczeń 1815 roku*

W mroźny styczniowy wieczór Jack wybrał się do teatru w towarzystwie matki i siostry. Jego ostatni zleceniodawca, zamożny bankier, odstąpił Jackowi swoje miejsce w łoży na przedstawienie „Romea i Julii”, w którym miał wystąpić Edmund Kean.

Po wystawie Jack otrzymał wiele lukratywnych zamówień i pracował niestrudzenie aż do sierpnia, kiedy to upał wygonił większość zamożnych klientów z Londynu. Bankier, pan Slayton, był ostatnim klientem. Matka i siostra Jacka wróciły do Bath, lecz z początkiem roku znów przyjechały do Londynu. Jack zamieścił ogłoszenie w „Morning Post”, szukając nowych zleceń, lecz jak do tej pory nie doczekał się żadnej odpowiedzi.

Prowadząc matkę i siostrę do łoży, postanowił przez chwilę nie myśleć o problemach finansowych. Tego wieczoru Nancy towarzyszył syn sir Cecila, Michael. Młody mężczyzna miał dobroduszną twarz, podobnie jak jego ojciec, lecz był od niego wyższy, ciemnowłosy i szczupły. Wciąż studiował architekturę i często bywał na obiadach u matki i siostry Jacka po ich powrocie do Londynu.

Nancy zajęła miejsce w łoży. Z wyrazu twarzy łatwo było wyczytać, że siostra Jacka jest w siódmym niebie.

- Och, jak tu pięknie.

Byli już w tym teatrze latem ubiegłego roku, ale siedzieli wtedy na parterze. Z łoży mogli podziwiać czerwień i błyszczące złoto wystroju wnętrza.

- Dziękuję, że nas tu przyprowadziłeś - zwróciła się Nancy do brata.

- Powinnaś podziękować panu Slaytonowi za to, że dał mi bilety.

- Z przyjemnością to zrobię. - Odwróciła się w stronę matki. - Mogłybyśmy wysłać mu kartkę z podziękowaniami.

- Oczywiście, że to zrobimy - potwierdziła pani Vernon.

- Ja również jestem wdzięczny. - Michael wstał, by podziwiać wnętrze. - To bardzo ciekawy budynek.

Nancy uniosła się z krzesła, by dołączyć do Michaela.

- Pewnie przez całe przedstawienie będziesz się wpatrywał w łuki i sufit i nie zapamiętasz ani słowa ze sztuki.

- Przyznaję, że detale architektoniczne potrafią przykuć moją uwagę.

- Ale to „Romeo i Julia”. Jak możesz myśleć o budynku, mając możliwość obejrzenia najbardziej romantycznego dramatu na świecie?

- Panno Vernon, staram się panią przekonać, że te piękne łuki i eleganckie kolumny są bardzo romantyczne, ale coś mi się wydaje, że nigdy nie przyznasz mi racji - odparł ze śmiechem Michael.

- Jestem nawet tego pewna. - Nancy kiwnęła głową dla wzmocnienia efektu swych słów.

- Pamiętam, jak przyszedłam tu jako debiutantka - odezwała się rozmarzonym tonem pani Vernon. - Oczywiście był to jeszcze stary budynek. Nie było tylu łóż na widowni...

Tamten Drury Lane Theatre spłonął w 1809 roku, przypomniał sobie Jack.

Nancy przeczesywała wzrokiem tłum.

- Widzę tu wiele ważnych osobistości.

Przedstawienie cieszyło się dużym powodzeniem, mimo że większość socjety opuściła Londyn. Jack miał nadzieję, że za miesiąc, po powrocie londyńskiej śmietanki, znów posypią się zamówienia. Nancy przechyliła się przez balustradę.

- Mamo, widzę lorda Tranville'a.

- Naprawdę? - Pani Vernon się ożywiła.

- O, tam. - Nancy przesunęła się nieznacznie. - Trzeci balkon, blisko sceny.

- Chyba masz rację.

Tranville stał w loży w towarzystwie mężczyzny. Dżentelmeni rozmawiali, rozglądając się po widowni. Jeśli nawet Tranville wypatrzył w tłumie byłą kochankę, nie dał tego po sobie poznać. Kurtyna poszła w górę. Na scenie pojawił się Edmund Kean.

- On jest stary! - szepnęła Nancy.

Kean miał młodość za sobą, a jednak potrafił stworzyć przekonującą postać, potęgując napięcie sugestywną mową ciała. Patrząc, jak Kean przemierza scenę w kostiumie mieszkańca Werony, Jack pomyślał, że uchwycenie ruchu scenicznego tego aktora na obrazie stanowiłoby nie lada wyzwanie dla artysty.



Twórcy tacy jak Hogarth i Reynolds malowali słynnych aktorów i aktorki - Kembel'a i Garricka, Sarę Siddons i Daphne Blane. Portrety były drukowane w gazetach i na afiszach, by przyciągnąć widzów. Jack doznał olśnienia. To teatr powinien dostarczyć mu klientów. Zapewne nie uda mu się otrzymać zamówień od najwybitniejszych aktorów, ale mogą zgłosić się ci mniej sławni; mógłby też ukazywać na obrazach sceny z przedstawień. W razie potrzeby malowałby w teatrze. Zaczął wyobrażać sobie epizody, rozgrywające się przed jego oczami, przeniesione na płótno. Był gotów wydobyć z nich całą głębię artystycznego wyrazu.

Romeo wypowiedział swą kwestię o zamiarze udania się na ucztę do Kapuletich i zszedł ze sceny, na której pojawiła się pani Kapuleti i Marta, niańka, szukające Julii. Jack miał ochotę sięgnąć po ołówek i naszkicować panią Kapuleti i piastunkę, z głowami tuż obok siebie.

- Popatrz - wyszeptała Nancy do matki. - Daphne Blane gra panią Kapuleti, a jej prawdziwa córka wcieliła się w Julię.

Jack nie potrafił się oprzeć wrażeniu, że widział już gdzieś Daphne Blane. Wiedział o tym, że aktorka słynęła nie tylko z urody i talentu, lecz także z miłosnych podbojów, i mógł widzieć jej podobiznę gdziekolwiek. Gdy urodziła córkę, powszechnie zastanawiano się, kto jest ojcem dziecka.

Na scenie pojawiła się Julia. Popatrzyła na widownię.

- Jestem, pani...

Jack omal nie krzyknął.

Ariana! Z tej odległości trudno było dokładnie zobaczyć rysy twarzy, lecz aktorka poruszała się jak Ariana, mówiła podobnie melodyjnym głosem. Odnalazł ją, choć zaczynał wątpić, że kiedykolwiek to nastąpi. Nie był w stanie oderwać od niej wzroku. Poruszał palcami po poręczu fotela, jakby rysował jej smukłą szyję, urocze krągłości ciała. Przerwa wydała mu się torturą. Nie mógł uwiecznić Ariany na papierze, a w dodatku musiał zachowywać się tak, jakby nic się nie wydarzyło. Gdy kurtyna opadła po ostatnich ukłonach aktorów, Jack pozostał na krześle, zapatrzony przed siebie.

Michael podał rękę pani Vernon, pomagając jej wstać. Nancy zerwała się na nogi.

- To było wspaniałe! To znaczy... smutne, ale bardzo romantyczne, prawda?

Jack uśmiechnął się do niej, wciąż oszołomiony widokiem Ariany.

- Naprawdę ci się podobało?

- Bardzo, bardzo, może z wyjątkiem Romea. Pan Kean nie pasuje do tej roli.

Michael roześmiał się.

- Czyżby nie był dostatecznie romantyczny?

- Był stary. - Nancy zrobiła pocieszającą minkę.

W drodze do wyjścia pani Vernon zerknęła przez ramię. Jack pomyślał, że gdy znajdą się w hałaśliwym, zatłoczonym holu, trudno będzie mu przekrzyczeć tłum. Położył dłoń na ramieniu matki.

- Chciałbym prosić o pozwolenie odłączenia się od towarzystwa.

- Wybacz mi. Co mówiłeś? - zapytała wyrwana z zamyślenia pani Vernon.

- Chciałem się pożegnać. - Zwrócił się do Michaela: - Odprowadzisz damy do domu?

- To będzie dla mnie zaszczyt i wielka przyjemność - zapewnił go Michael. - Przyznaję jednak, że jestem zaskoczony. Dlaczego nas opuszczasz?

Jack zamierzał udać się na poszukiwanie Ariany, jednak nie chciał nikomu o tym mówić.

- Przyszło mi do głowy, że mógłbym namalować aktorów w ich scenicznych wcieleniach. Chciałbym poszukać dyrektora i dać mu swoją wizytówkę.

- Będziesz malował aktorów?! - wykrzyknęła Nancy. - To wspaniale! W salonach grafiki jest zawsze całe mnóstwo portretów aktorów. Doskonale się składa, że mieszkasz tak blisko teatru.

- Też mi to przyszło do głowy. - Takie wyjaśnienie było znacznie łatwiejsze niż wyjawienie prawdy na temat Ariany. - Dzięki temu będę mógł zaproponować rozsądne ceny.

- Bardzo dobrze to wymyśliłeś, Jack - pochwaliła Nancy.

- Idź, synu - zachęciła go matka. - Damy sobie radę bez ciebie.

- W takim razie mówię wszystkim „dobranoc”. - Pochylił się i ucałował matkę w policzek.

Nancy uśmiechnęła się.

- Dziękuję, że nas tu przyprowadziłeś, Jack.

Michael wykonał ruchy walczącego szablą.

- Proszę się nie martwić. Odpędzę wszystkich wrogów, którzy ośmielą się stanąć nam na drodze.

Nancy zachichotała.

- Nonsens. Weźmiemy dorożkę.

Michael otoczył ją ramieniem.

- Oczywiście, a ja za nią zapłacę.

Gdy znaleźli się w korytarzu, skierowali się do wyjścia, a Jack ku scenie; do pokoju, w którym aktorzy i aktorki gromadzili się po przedstawieniu. Zamożni dżentelmeni starali się tam nawiązać znajomość z pięknymi kobietami. Za kulisami dołączył do grupki dobrze ubranych mężczyzn. Niektórzy nieśli wiązanki kwiatów. W pewnej chwili gwałtownie się zatrzymał. Przy drzwiach stał Tranville.

Wciąż prezentował wojskowy szyk, chociaż tego dnia miał na sobie czarny frak, białe spodnie i pończochy, składające się na wieczorowy strój dżentelmena. Wyprostowany jak świeca, zachował młodzieńczą sylwetkę i jedynie gęste, siwe włosy dowodziły tego, że przekroczył pięćdziesiątkę.

Niestety, Tranville również zobaczył Jacka i zastąpił mu drogę.

- Co ty tu robisz? Dlaczego nie jesteś w Bath?

Jack zjeżył się. Gdy był dzieckiem, Tranville niczego jeszcze nie zauważał, lecz kilka młodzieńczych sprzeczek z synem Tranville'a, Edwinem, sprawiło, że wszystko stało się oczywiste. Wprawdzie Jack nigdy nie zaczynał walk na pięści, jednak zawsze wygrywał, co niezmiernie irytowało Tranville'a. Z biegiem lat wzajemna niechęć pogłębiała się.

Jack wyprostował się i popatrzył na Tranville'a.

- Mam interes do dyrektora.

- Ty? - Tranville przyjrzał się Jackowi, wyraźnie zaskoczony. - A jakiż to interes możesz mieć do pana Arnolda?

Jack triumfował. Udało mu się poznać nazwisko dyrektora teatru.

- Sprawę, którą chcę omówić z panem Arnoldem.

- Jeśli to dotyczy teatru, możesz powierzyć ją mnie. Jestem członkiem komitetu.

- Komitetu... - Ta nazwa nic Jackowi nie mówiła.

Tranville odwrócił wzrok.

- Chodzi o Komitet na rzecz Rozwoju Teatru.

Jack przypomniał sobie, że zadłużony właściciel Drury Lane, Richard Brinsley Sheridan, został zmuszony do wycofania się z pełnienia funkcji kierowniczych. Powołano komitet złożony z rozmaitych notabli. Jack był gotów iść o zakład, że Tranville zainteresował się teatrem głównie po to, by móc umawiać się z aktorkami, a rozwój sceny jako ośrodka kultury był mu obojętny. Aktorki i tancerki przyciągały uwagę bogatych lordów, którzy chętnie obdarowywali je klejnotami, sukniami i powozami. On nie miał nic do zaoferowania Arianie. Wmawiał sobie, że pragnął jedynie odnowić znajomość; że chce, by Ariana wiedziała, iż to on jest autorem podziwianych przez nią prac.

Dwaj panowie podeszli do drzwi; Tranville był zmuszony zrobić im miejsce. Jack postanowił skorzystać z okazji, by dostać się do środka, ale Tranville chwycił go za ramię.

- Nie możesz wejść. Nie masz tam wstępu.

Jack posłał mu wrogie spojrzenie.

- Wstępu?

Tranville'owi nie drgnął ani jeden mięsień twarzy.

- Nie wszyscy są tam mile widziani. Nie zmuszaj mnie do tego, żebym kazał cię usunąć z budynku siłą. - Wymownie spojrzął w stronę dwóch muskularnych pomocników scenicznych.

Czyżby Tranville zapomniał, że Jack walczył na Półwyspie Iberyjskim? Służył w regimencie, który zdobył Cesarskiego Orła pod Salamanką. Korciło go, by się przekonać, ilu osiłków byłoby potrzebnych do wyrzucenia go z teatru. Nadchodzili jednak kolejni dżentelmeni, a Jack nie chciał robić z siebie widowiska. To mogło oznaczać fiasko jego planów.

Tranville uśmiechnął się, pewny, że udało mu się onieśmielić Jacka. Opuścił rękę.

- A teraz, jeśli chcesz, żebym porozmawiał w twoim imieniu z panem Arnoldem, musisz mi powiedzieć, o co chodzi.

Ich rozmowę mogło teraz słyszeć wiele osób, i tylko z tego powodu Jack zdecydował się przemówić.

- Mam propozycję dla pana Arnolda. Chciałbym namalować portrety jego aktorów i aktorek.

- Chcesz ich namalować? - Tranville zmarszczył czoło.

- Jestem artystą, sir. - Jackowi zależało, by usłyszeli go inni dżentelmeni.

Jeśli dopisze mu szczęście, któryś z nich może napomknąć panu Arnoldowi o tym, że jakiś malarz chciał się z nim widzieć. To mogłoby doprowadzić do spotkania następnego popołudnia. Przekonanie pana Arnolda, że warto zatrudnić artystę, by rozśławił teatr, zaspokoiłoby ambicję Jacka. Miałby zamówienia, a w dodatku ponownie spotkałby się z Arianą.

- Daj mi swoją wizytówkę, a ja porozmawiam z Arnoldem - zdecydował Tranville.

Jack wyjął kartonik z kieszeni.

- Proszę powiedzieć panu Arnoldowi, że Jack Vernon ma interesującą propozycję. Proszę dodać, że moje prace zostały zaprezentowane na letniej wystawie.

Ciekawscy mogli czuć się usatysfakcjonowani. Udało im się poznać nazwisko Jacka. Skinął głową w stronę stojących nieopodal, wyraźnie rozczarowany. Ci dżentelmeni będą mogli zobaczyć Arianą jeszcze tego wieczoru. On sam nie będzie miał tej możliwości. Odwrócił się z zamiarem odejścia.

Tranville go zatrzymał.

- Powiedz mi... jak się czuje twoja matka?

Pytanie zaskoczyło Jacka.

- Cieszy się dobrym zdrowiem - odpowiedział, a po chwili dodał: - Była na przedstawieniu. Nie widział jej pan?

- Nie, a więc Mary jest w Londynie - powiedział zamyślony, po czym dodał: - Muszę już iść.

Jack powitał te słowa z wyraźną ulgą.

Następnego dnia Jack, mając na sobie jedynie starą koszulę i spodnie zaplamione farbami, kończył pracę nad portretem pana Slaytona, gdy rozległo się pukanie do drzwi.

Zanim zdążył odłożyć paletę i włożyć surdut, drzwi otworzyły się i do środka wszedł Tranville.

- Jack... - Podobnie jak wielu wojskowych, Tranville wcześniej zaczynał dzień.

- Co to ma znaczyć? - Jack wyszedł zza sztalugi. - Nie może pan tu wchodzić bez pozwolenia.

Tranville, najwyraźniej czując się bardzo swobodnie, zdjął cylinder i rękawiczki i położył je na stoliku przy drzwiach.

- Pracujesz tutaj? - Rozejrzał się dokoła krytycznym wzrokiem.

Meble zakryte były białymi prześcieradłami, na podłodze wały się drewniane skrzynki i zwoje płótna, lecz Jack nie miał najmniejszego zamiaru usprawiedliwiać się przed Tranville'em za bałagan. Robił porządek w pracowni, gdy umawiał się z kimś na pozowanie.

- Proszę mi powiedzieć, czemu zawdzięczam tę niezapowiedzianą wizytę albo proszę wyjść. - Jack skrzyżował ramiona na piersi i zastygł w pozie oczekiwania.

Tranville podszedł do sztalugi i przyjrzał się portretowi pana Slaytona. Wzruszył ramionami.

- Muszę przyznać, że nie brak ci zdolności. Po tym, jak się wczoraj rozstaliśmy, usłyszałem tę opinię od kilku osób.

Czyżby rozmawiano na jego temat? Może ludzie zapamiętali go z wystawy? Jack z trudem ukrył zadowolenie. Miał nadzieję, że zwolennicy jego talentu polecą go panu Arnoldowi.

- Nie powiedział mi pan jeszcze, dlaczego tu przyszedł.

- Chciałbym złożyć zamówienie.

Jack wypalił bez zastanowienia:

- Nie zgadzam się.

- Przecież jeszcze nie usłyszałeś, o co chodzi.

- Nie muszę tego słyszeć. Nie jestem zainteresowany malowaniem pańskiego portretu. Powody tego są chyba aż nadto oczywiste - podkreślił i ruszył do drzwi.

- Gdybym chciał zamówić mój portret, zwróciłbym się do Lawrence'a albo kogoś jego formatu. Miałem na myśli wizerunek kobiety.



- Tym dobitniej odpowiadam: nie.

Zrobiło mu się niedobrze na myśl o tym, że miałby namalować podobiznę kobiety, zapewne najnowszej zdobyczy Tranville'a. Nawet gdyby przymierał głodem, nie przyjąłby takiego zamówienia. Wymownym gestem otworzył drzwi, lecz Tranville zignorował to wyraźne żądanie opuszczenia pracowni.

- Dziś rano spotkałem się z moim doradcą finansowym, który powiedział mi, gdzie mieszka twoja matka. Niedaleko stąd, he? - mówił łagodnym tonem, lecz Jack mu nie ufał.

- Proszę wyrażać się jaśniej.

- Cóż, pomyślałem, że do niej wstąpię. Zakładam, że nie masz nic przeciwko temu.

Jack miał całe mnóstwo zastrzeżeń, jednak nie mógł ich głośno wyrazić. Mimo że myśl o tej wizycie przyprawiała go o gniew, wiedział, że matka bardzo jej sobie życzyła.

- Decyzja należy do mojej matki.

Tranville wolnym krokiem ruszył do wyjścia, sięgając po drodze po cylinder i rękawiczki. Mijając Jacka, przystanął i nachylił się ku niemu.

- Zawsze osiągam swój cel.

Jack odniósł wrażenie, że rozległ się huk armatnich wystrzałów. Zbliżała się bitwa, której polem miały tym razem stać się londyńskie salony.

Minęła godzina, zanim Jack zdołał ponownie skupić się na portrecie pana Slaytona i dokonać końcowych retuszy. Zdecydowanie wolał zastanawiać się nad ostatnimi pociągnięciami pędzla, niż wyobrazać sobie przebieg wizyty Tranville'a u matki.

Przyjrzał się swemu dziełu. Pan Slayton pozował przy biurku, z piórem w dłoni. Znacznie mniej czasu zajęłoby Jackowi namalowanie samej głowy bankiera na ciemnym tle, lecz wolał nadać obrazowi jakiś kontekst, wprowadzić ruch. Nie potrafił ocenić, czy obraz ukazuje emocje. Te, które Ariana dostrzegła w jego pracach wystawionych w Somerset House, pojawiły się tam bezwiednie. Sięgnął po cienki pędzelek i przyjrzał się malowidłu, lecz oczami wyobraźni ujrzał Ariane. Być może uda mu się dzisiaj z nią spotkać. Zamierzał po południu wybrać się do teatru.



Rozległo się pukanie do drzwi. Jack przygotował się wewnętrznie na kolejne spotkanie z Tranville'em, lecz osoba, która pukała, najwyraźniej nie czuła się upoważniona do wtargnięcia do środka bez zaproszenia. Pukanie powtórzyło się. Jack odłożył paletę, wytarł pędzel i przeszedł przez pokój, by otworzyć.

- Jack! - Do pracowni weszła Nancy. - Mama chce się z tobą zobaczyć.

- Co się stało? - zapytał zaniepokojony.

- Nic strasznego. Mamę odwiedził dzisiaj lord Tranville.

- I czymś ją zasmucił, zdenerwował?

- Ależ skąd! Była wniebowzięta. Wiesz, co mama do niego czuje.

- W takim razie dlaczego chce się ze mną spotkać?

- Nie jestem pewna. - Nancy zdjęła płaszcz i powiesiła go na jednym z kołków przy drzwiach. - Spędziłam zaledwie kilka minut w ich towarzystwie. Lord Tranville bardzo miło zwracał się do mnie i do mamy.

- Wciąż tam jest? - Jack wolałby uniknąć spotkania.

- Wyszedł, a potem mama poprosiła mnie, żebym po ciebie poszła.

Jack podszedł do sztalugi i wyczyścił pędzle. Potem nakrył paletę ściereczką, by farby nie wyschły, i otarł dłonie.

- Zaczekaj chwilę. Pójdę się przebrać.

Kilka minut później Jack i Nancy przemierzali niewielką odległość dzielącą pracownię Jacka od domu matki przy Adam Street. Jack był zadowolony, że po okresie długiej wojennej rozłąki może cieszyć się bliską obecnością rodziny. Tranville'a stać było na opłacanie domów zarówno w Londynie, jak i w Bath, jednak matka postąpiłaby rozsądniej, oszczędzając pieniądze na przyszłość.

Nancy przystanęła w pół kroku.

- Myślisz, że Tranville poprosił mamę o rękę? Może to dlatego chce się z tobą spotkać?

- To nedorzeczny pomysł.

- Dlaczego tak uważasz? Przecież może się teraz ożenić.

- Nie uznał za stosowne odwiedzić matki przez ponad rok. Trudno to uznać za wstęp do oświadczyn.

Nancy patrzyła na niego tak, jakby postradał zmysły.

- Na pewno zdawał sobie sprawę z tego, jak by to wyglądało, gdyby odwiedził mamę tuż po śmierci swojej żony.

- Przedtem nie troszczył się o reputację mamy - zauważył gniewnie Jack i przyspieszył.

Nancy musiała podbiec, by dotrzymać mu kroku.

- Niczego nie rozumiesz. Teraz, kiedy jest wolny i ma tytuł, tym bardziej musi chronić mamę przed plotkami.

Jak dotąd ukrywał przed Nancy prawdę na temat istoty znajomości Tranville'a z ich matką i nie zamierzał niczego wyjawiać. Nie chciał, by źle myślała o matce.

- Nie rozumiem, dlaczego tak nie znosisz Tranville'a. - Nancy sprawiała wrażenie urażonej.

- Myślę, że go nie lubię, bo nie jest naszym ojcem. - I dlatego, że tak szybko zastąpił naszego ojca w jej łóżku, dodał w myślach.

Chwyciła go za ramię.

- Nie pamiętam naszego ojca tak jak ty. Wiem tylko, że Tranville pomógł mamie, kiedy byliśmy bardzo biedni.

Nigdy nie byli aż tak biedni, by matka nie miała szansy na zawarcie powtórnego małżeństwa, pomyślał Jack. Tranville jej to uniemożliwił.

Doszli do drzwi domu, lecz Nancy zatrzymała Jacka jeszcze na chwilę.

- Nie sądzisz, że znajomość mamy i lorda Tranville'a jest bardzo romantyczna?

- Romantyczna? Nie sądzę.

- A ja tak - oznajmiła stanowczym tonem. - Kochają się od wielu lat, ale lord Tranville był żonaty, więc nie mogli oficjalnie być razem. Mimo to kochał ją tak namiętnie, że nie potrafił całkowicie się odsunąć.

Jack popatrzył na siostrę z niedowierzaniem i lekką przyganą we wzroku.

- Namiętnie?!

Dumnie uniosła podbródek.

- Nie jestem już dzieckiem. Wiem, co się dzieje pomiędzy mężczyzną a kobietą.

- To, co dzieje się między mężczyzną a kobietą, niekoniecznie jest romantyczne.

Nancy nie dała się zbić z tropu.

- On musi ją kochać. Płaci za wszystko.

- Owszem. - To jedno świadczyło na korzyść Tranville'a i zawsze zastanawiało Jacka. Mężczyźni pokroju generała zazwyczaj przestawali łożyć na utrzymanie, gdy kochanka im się znudziła.

- Dlaczego miałby ją utrzymywać, gdyby jej nie kochał? - spytała Nancy.

- Przyznaję, że tego nie wiem - odpowiedział szczerze Jack, przekręcając gałkę i kończąc dyskusję.

Kiedy weszli do wnętrza, służący Wilson zjawił się w holu, by wziąć pelerynę od Nancy oraz kapelusz i rękawiczki od Jacka.

- Pani czeka w salonie.

Jack otworzył drzwi i wszedł za Nancy do środka. Matka stała przy kominku. Na odgłos kroków odwróciła się w stronę wejścia.

- Dziękuję ci, że tak szybko przyszedłeś - odezwała się.

Przeszedł przez pokój i pocałował matkę w policzek. Posławszy mu zdecydowane spojrzenie, dała im znak, by usiedli. Jack czekał, aż matka zajmie miejsce w fotelu. Nerwowo wygładziła spódnice.

- Zapewne Nancy powiedziała ci, że odwiedził mnie dzisiaj Lionel... lord Tranville.

- Powiadomił mnie o swym zamiarze złożenia ci wizyty. - Jack starał się mówić jak najspokojniejszym tonem.

- Spędziliśmy wspaniałe chwile - kontynuowała matka.

- Nie wątpię. - W głosie Jacka pobrzmiwał sarkazm.

- Lionel powiedział mi, że chciał zamówić u ciebie obraz.

- To prawda.

- Tak?! - zdziwiła się Nancy. - Nic mi na ten temat nie mówiłeś. To świetnie!

- Nie przyjąłem zamówienia - zwrócił się Jack do siostry.

- Chciałabym, żebyś przyjął zlecenie - powiedziała pani Vernon.

- Nie ma mowy.

- Ja-ack. - Nancy przeciągnęła głoski jego imienia, dając wyraz swemu rozczarowaniu.

- Mamo, chodzi o portret kobiety.

- Lionel zamierza pokryć koszty wystawienia „Antoniusza i Kleopatry” Szekspira i chciałby, żeby portret zdobił afisze teatralne. Przecież o takich właśnie możliwościach zarobkowania mówiłeś nam wczoraj wieczorem.

- Nie mówiłem, że chcę pracować dla Tranville'a.

- Ależ Jack... - wtrąciła Nancy.

- Nie bądź nierozsądny, synu - ciągnęła pani Vernon. - Lionel proponuje ci dobrą cenę... Ośmielam się przypuszczać, że znacznie wyższą, niż otrzymałeś za jakąkolwiek inną, swoją pracę. - Podała sumę. Istotnie, była imponująca.

- Nie potrzebuję jego dobroci.

- Ta wrogość nie przynosi ci chluby.

Już wcześniej starał się matce to wyjaśnić. Opowiedział jej o tym, jak brutalnie Tranville traktował podległych mu ludzi w czasie wojny, jednocześnie płaszcząc się przed zwierzchnikami; o tym, jak udawał, że nie widzi, jak jego syn unika walki, bez namysłu posyłając najlepszych żołnierzy na pewną śmierć.

- Wiesz przecież, co to za człowiek.

- Nie chcę słyszeć na ten temat ani słowa. - Uniosła ręce, by uciąć dalszą dyskusję.

- Przyjęłam to zlecenie w twoim imieniu.

Wstał.

- Chyba nie mówisz tego poważnie!

- Namalujesz ten portret dla mnie. Rzadko cię o coś proszę, ale o to cię proszę, i to bardzo.

Stał nieruchomo, w milczeniu wpatrując się w matkę. Postarzała się, odkąd wyruszył na wojnę. Brązowe włosy były poprzetykane siwizną, a w kącikach oczu i ust pojawiły się drobne zmarszczki. Mimo to uważał, że jest równie piękna, jak wtedy, gdy był chłopcem, a ona była młoda i beztroska. Miał ochotę utrwalić to wspomnienie na płótnie.

- Nalegam też na to, żebyś nie przeciwstawiał się Lionelowi na każdym kroku. Traktuj go kulturalnie jak człowiek cywilizowany, bo to jest dla mnie bardzo ważne - ciągnęła błagalnym tonem. - Ważne jest dla mnie, żebyś miał pracę i dochód, a także, by

Lionelowi powiodły się jego zamierzenia. Chce, by to przedstawienie odniosło sukces, a ja szczerze życzę sobie tego samego ze względu na niego.

Tranville pragnął zdobyć tę aktorkę, o ile już nie zyskał wstępu do jej łóżka, pomyślał Jack. Kim była ta kobieta? Aktorką uwielbianą przez mężczyzn tak jak Daphne Blake? Jack uważał, że jest całkiem możliwe, by Tranville usiłował uwieść kobietę, finansując wystawienie sztuki. Czyż właśnie nie w ten sam sposób wkradł się w łaski jego matki? Jak na ironię, matka wymagała od Jacka, by namalował portret tej wybranki. To zakrawało na kpinę.

- Czy on ci groził? Szantażował cię tym, że przestanie cię utrzymywać albo czymś podobnym?

Sprawiała wrażenie zaskoczonej.

- Oczywiście, że nie. Nigdy by się do tego nie posunął. Lionel zawsze regularnie płaci moje kwartalne uposażenie. Proszę cię o tę przysługę jedynie z wdzięczności za wszystko, co dla nas uczynił.

Jack zapatrzył się w dywan, który tu i ówdzie nosił nieznaczące ślady przetarcia.

- Powiedz, że to dla mnie zrobisz, synu.

Miał ochotę odmówić, lecz matka istotnie niezwykle rzadko o cokolwiek prosiła, a jeśli już, to nie jego. Wolno skinął głową.

- Zrobię to, ale tylko dla ciebie, mamo.

Matka była jedyną osobą, dla której mógł namalować podobiznę nowej zdobyczy jej kochanka.

## Rozdział trzeci

Ariana zstępowała ze schodów pensjonatu przy Henrietta Street, w którym mieszkała wraz z innymi aktorkami i aktorami. Pokoje zostały wygodnie umeblowane, a towarzystwo można było uznać za wymarzone. Właścicielka pensjonatu okazała się bardzo pomocna i niezwykle dyskretna. W zależności od potrzeby mogła uchodzić za surową moralistkę lub też za osobę za nic mającą zasady.

Tego dnia Ariana postanowiła stać się uosobieniem cnót. Betsy, służąca, oznajmiła, że przybył lord Tranville. Gdyby nie fakt, że Tranville wyłożył niemałe fundusze na wystawienie „Antoniusza i Kleopatry” w Drury Lane, a w dodatku przydzielił jej rolę Kleopatry, nie zgodziłaby się na to spotkanie. Kazała na siebie czekać aż dziesięć minut w salonie, by pozbawić go złudzeń, że jej wdzięczność może sięgać bardzo daleko.

Była pewna, że to jej matka podała mu adres. Daphne Blane nade wszystko wierzyła w instytucję bogatego opiekuna. Co też jej matka sobie wyobrażała? Lord Tranville mógłby być ojcem Ariany. Miał co najmniej pięćdziesiąt lat, a więc był starszy o dziesięć lat od jej matki.

Weszła do salonu.

- Lord Tranville. Co za niespodzianka. - Wyciągnęła ku niemu dłoń, myśląc, że ją uściśnie. Tymczasem uniósł ją do warg i złożył na niej wilgotny pocałunek.

- Moja droga panno Blane.

Nieznacznie się skrzywiła i cofnęła rękę, gdy tylko stało się to możliwe. Straciła wszelkie złudzenia co do tego, że zainteresowanie lorda jej osobą ogranicza się do umiejętności aktorskich. Niełatwo będzie odtrącić jego zaloty tak, by jednocześnie nie wypaść z łask. Wierzyła jednak, że starczy jej umiejętności. Udało jej się to już z niejednym mężczyzną; z pewnością poradzi sobie i teraz.

- Jestem zaskoczona pańską wizytą - powiedziała, nie patrząc na Tranville'a. - Czy sprowadzają tu pana sprawy związane z teatrem?

Uśmiechnął się szeroko, ukazując białe zęby. Fakt, że w ogóle je zachował, świadczył na jego korzyść.

- Miałem nadzieję, że moja chęć popatrzenia na pani cudowne wdzięki okaże się wystarczającym powodem do złożenia wizyty.

Z trudem powściągnąwszy emocje, Ariana popatrzyła na niego z niedowierzaniem, jakby czekając, kiedy przestanie bredzić.

Obracał w palcach dewizkę zegarka.

- Moje przybycie w pewien sposób ma związek z teatrem.

Dopiero teraz dała mu znak, by spoczął. Wybrał miejsce na sofie. Ariana usiadła w fotelu, po czym powoli przesunęła dłonią po rękawie sukni, strzepując jakąś niewidoczną nitkę. W końcu popatrzyła na swego gościa.

- Proszę wyjawić mi powód wizyty.

Wychylił się ku niej.

- Wpadł mi do głowy pomysł na zapowiedź pani roli w „Antoniuszu i Kleopatrze”.

Pytająco uniosła brwi.

- Jeśli wyrazi pani zgodę, artysta namaluje panią jako Kleopatrę. Zrobimy potem ryciny i damy je do druku. Ukażą się w gazetach, magazynach, na afiszach. Jestem pewien, że dzięki temu odniesie pani jeszcze większy sukces.

Popatrzyła na niego, lekko zaniepokojona.

- Kto za to wszystko zapłaci? - spytała.

Była pewna, że nie teatr.

Pan Sheridan zadłużył Drury Lane, doprowadzając go do finansowej ruiny. Przedstawienia z udziałem Keana, cieszące się znakomitą frekwencją, w znacznym stopniu poprawiły sytuację, jednak w żadnym razie nie pozwalało to na wydatki na aktorkę o nieugruntowanej sławie. Jej rola w „Romeo i Julii” została ledwie wspomniana, a przedstawienie miało bardzo nieprzychylnie recenzje, przy czym skupiono się głównie na krytykowaniu występu Keana.

- Ja zapłacę za wszystko - oznajmił Tranville. - A jeśli sprawi to pani przyjemność, dodam, że portret będzie moim podarunkiem dla pani.

Wolałaby nie otrzymywać żadnych prezentów od tego mężczyzny, jednak musiała odnieść sukces w przedstawieniu.

Przechylił głowę w sposób, który zapewne uznawał za uwodzicielski.



- Jeśli to pani odpowiada, artysta mógłby spotkać się z panią już dzisiaj po południu, by omówić szczegóły. Będę zaszczycony, mogąc pani towarzyszyć.

Nie miała żadnych planów na popołudnie.

- Gdzie jest pracownia tego artysty?

- Na rogu Adam Street i Adelphi.

- Niedaleko Adelphi Terraces? - To było miejsce odległe zaledwie o kilka ulic od pensjonatu, położone w dobrej dzielnicy.

- Tak.

- Jak nazywa się ten malarz?

- Jack Vernon.

Oczy Ariany zrobiły się okrągłe niczym spodki.

- Jack Vernon!

Tranville nieco się stropił.

- Wiem, że nie jest tak sławny i modny jak Lawrence albo Westall, ale słyszałem, że jego obrazy były prezentowane na wystawie w Royal Academy.

Doskonale to pamiętała. Jej podziw dla umiejętności Vernona sprawił, że ośmieliła się podejść do przystojnego młodego mężczyzny, który najwyraźniej staczał z sobą wewnętrzną walkę. Udało jej się powstrzymać westchnienie. Życie przeszłością nie miało sensu. Nadarzała się okazja poznania artysty i zyskania własnego portretu.

- Dobrze, milordzie - zgodziła się - ale nie ma potrzeby, żeby towarzyszył mi pan w tak krótkiej drodze do pracowni. Proszę jedynie podać mi dokładny adres i powiedzieć, o której godzinie jestem tam oczekiwana.

Wysunął dolną wargę.

- Będę zachwycony, mogąc panią zaprowadzić.

Zatrzepotała dłonią.

- Proszę się tym nie trapić.

- Ale...

Popatrzyła na niego przeciągle.

- Wolałabym pójść sama. Jest jeszcze widno, a ulice są pełne ludzi. Nic mi się nie stanie.

- Nalegam - powiedział z naciskiem.

Uniosła brwi.

- Czy pańskie towarzystwo jest warunkiem tego porozumienia? Nie wyrażę zgody na portret, jeśli istnieją jakieś wymagania, które muszę spełnić. - Ariana nie miała najmniejszego zamiaru stać się zależną od jakiegokolwiek mężczyzny.

- Nie ma żadnych - zapewnił pośpiesznie.

- To dobrze. - Poprawiła ułożenie sukni. - W takim razie proszę mi powiedzieć, o której godzinie mam być w pracowni.

Godzinę później Ariana stała przed drzwiami pracowni. Serce mocno biło jej w piersi. Strzepnęła nieistniejące pyłki z peleryny, naciągnęła rękawiczki, poprawiła kapełusz, wzięła głęboki oddech i zapukała.

Drzwi otworzyły się niemal natychmiast. W progu stał przystojny dżentelmen, którego poznała w Somerset House. Myślała, że nigdy już go nie zobaczy.

- To pan! - wykrztusiła. - Mam umówione spotkanie z panem Vernonem.

Sprawiał wrażenie zaskoczonego, podobnie jak ona. Dopiero po dłuższej chwili odsunął się, robiąc przejście.

Mijając go, poczuła przyływ podniecenia. Oto znalazła mężczyznę, który tak ją zaintrygował. Był wyższy niż w jej wspomnieniach z sali wystawowej, wydawał się też silniejszą osobowością. Brązowe oczy lśniły fascynującym blaskiem w świetle wpadającym do wnętrza przez okna.

- Czy zastałam pana Vernona? - zapytała.

Powoli zamknął drzwi.

- Ja jestem Vernon.

- Pan?!

Zmarszczył brwi.

- Nie spodziewałem się pani.

Wyglądał na niezbyt zadowolonego ze spotkania. Bolesnie ją to ubodło.

- Proszę mi wybaczyć. Lord Tranville powiedział, że będzie pan na mnie czekał o tej porze.

Znieruchomiał.

- Tranville!

Zaczęła rozpinąć pelerynę, lecz się zawahała. Zapewne nie powinna tu zostawać.

- Nalegał pan, by mi towarzyszył?

W jego oczach pojawiła się raptem złość.

- W żadnym razie.

Przyprawiał ją o zmieszanie enigmatycznymi odpowiedziami. Wyprostowała się.

- Panie Vernon, jeśli nie życzy pan sobie mojej obecności, natychmiast stąd wyjdę, ale bardzo proszę, żeby mi pan powiedział, o co chodzi.

Przeczesał gęste, brązowe włosy palcami, a jego pięknie wykrojone wargi wygięły się w uśmiechu bez wesołości.

- Tranville powiedział mi, że przyjdzie do mnie aktorka. Nie wiedziałem, że będzie nią pani.

- W takim razie oboje przeżyliśmy zaskoczenie - podsumowała, ośmielona jego wyznaniem.

Miała wrażenie, że towarzyszące im napięcie trochę zelżało.

Podszedł, by pomóc jej zdjąć pelerynę. Był teraz tak blisko niej, że czuła aromat mydła bergamotowego, oleju lnianego, terpentyny i jego własny męski zapach.

Wydawał się nie zdawać sobie sprawy z wrażenia, jakie na niej wywarł. Była bli-  
ska płaczu. Dotychczas tylko raz miała ochotę płakać z powodu mężczyzny.

Powiesił jej okrycie na kołku przy drzwiach, poruszając się z gracją, która zwróciła jej uwagę, gdy tylko go zobaczyła w Somerset House. Był pierwszym od lat mężczyzną, który pobudził jej zmysły, co nawet w tej chwili ją zdumiewało i wprawiało w stan oszołomienia.

Stanął naprzeciw niej. Szybko rozejrzała się po pracowni, jasnym i schludnym pomieszczeniu. Przez sztalugę przewieszona była poplamiona farbami koszula. Ariana zdjęła kapelusz i rękawiczki i położyła je na krześle.

Nie poruszył się. Musiała wykonać pierwszy ruch, więc podeszła do Vernona.

- Zaczniemy od początku. - Wyciągnęła rękę. - Jestem Ariana Blane.

Mocno uściskał jej dłoń, lecz wciąż wydawał się nieobecny myślami.

- Dlaczego wtedy nie powiedział mi pan, że jest artystą, Jackiem Vernonem?

Uciekł ze wzrokiem.

- Miałem taki zamiar, ale okazja minęła.

- W takim razie proszę to zrobić teraz. - Zmusiła się do uśmiechu i żartobliwie pogroziła palcem. - Pozwolił mi pan paplać na temat obrazów, nie przyznając się, że są pańskim dziełem.

Popatrzył na nią przeciągle.

- Chciałem poznać pani prawdziwą opinię. Nigdy by jej pani nie wypowiedziała, wiedząc, że jestem autorem.

Roześmiała się.

- Myli się pan. Zawsze mówię to, co myślę.

Była bliska tego, by go zapytać, czemu patrząc na nią, pochmurnieje, podczas gdy jej zmysły cudownie ożyły w jego obecności. Marzyła o tym, by poczuć dotyk jego ręki, tymczasem Vernon był wyraźnie skrepowany w jej towarzystwie.

Podczas pierwszego, krótkiego spotkania nie było pomiędzy nimi żadnego napięcia. Postanowiła nie poruszać najbardziej nurtującego ją tematu.

- Co mnie czeka, panie Vernon? To będzie mój pierwszy portret.

Podszedł do obitego brokatem fotela i chwycił go za oparcie.

- Proszę usiąść, panno Blane. Przyniosę herbatę.

Usiadła, świadoma tego, że jego ręce znajdują się bardzo blisko jej szyi. Kiedy puścił oparcie fotela, odwróciła się, by zobaczyć, jak znika za kotarą oddzielającą pokój od małej kuchni. Po chwili wrócił z tacą i postawił ją na stoliku przy fotelu.

Ariana dotknęła jego ramienia.

- Pozwoli pan, że naleję - powiedziała. - Pije pan herbatę z mlekiem i cukrem?

Usiadł w fotelu po drugiej stronie stolika.

- Na półwyspie przyzwyczailem się pić herbatę bez jednego i drugiego.

- Był pan na wojnie? - spytała, podając mu filiżankę.

- Tak, w piechocie.

- Teraz rozumiem, dlaczego pański obraz miał w sobie tyle autentyzmu.

Jack odwrócił wzrok.

Ariana naląła sobie herbaty, dodając mleko i cukier. Popatrzyła na Vernona, unosząc filiżankę do warg. Istniała między nimi jakaś bariera, której nie było w czasie spotkania na wystawie. Tamta rozmowa wprawiła ich w doskonały humor, obecna przyprawiała o smutek.

Odstawiła filiżankę na stolik.

- Jak będzie wyglądała praca przy portrecie?

- Muszę wiedzieć, jak pani sobie go wyobraża.

Machnęła ręką.

- Nie mam pojęcia. Usłyszałam o tym po raz pierwszy zaledwie przed godziną.

Zapatrzył się w okno i spochmurniał.

- A ja usłyszałem dziś rano.

- Lord Tranville nie próżnuje - powiedziała, upiwszy łyk naparu;

Chrząknął, wyraźnie niezadowolony, i przyjrzał się jej spod zmrużonych powiek.

- Nie spodziewałem się, że przyjdzie pani sama. Jeśli pani sobie życzy, poproszę moją siostrę, by pani towarzyszyła. Mieszka zaledwie kilka domów stąd.

Co się z nim działo?

- Dlaczego przyszło to panu do głowy? - Aktorki nie potrzebowały przyzwoitek.

Przez dłuższą chwilę przyglądał się jej w milczeniu.

- Skoro nie towarzyszy pani Tranville, może życzyłaby sobie pani obecności kobiety.

Tranville... Dlaczego nieustannie wspominał tego człowieka? Przecież nie był jej ojcem. Komu innemu mogłoby zależeć na jej reputacji? Nagle doznała olśnienia. Uniosła brwi. Vernon z pewnością myślał, że Tranville jest jej kochankiem.

Jack Vernon byłby zaskoczony, dowiedziawszy się, że Ariana miała zaledwie jednego kochanka, i to dawno temu. Tak, raz w życiu została oszukana, mimo że od dzieciństwa nie żywiła złudzeń co do stałości męskich uczuć. Postanowiła, że już nigdy nie pozwoli na to, by ktoś złamał jej serce. Prawdę mówiąc, żaden mężczyzna jej potem nie zainteresował... aż do spotkania z tajemniczym nieznajomym w Royal Academy.

Mimo że obecnie starał się ją zniechęcić swym zachowaniem, wciąż intrygowały ją jego smutne oczy, które tak wiele już w życiu widziały. Zmusiła się do opanowania i podjęła kolejną próbę nawiązania dłuższej rozmowy.

- Nie potrzebuję przyzwoitki, panie Vernon. Nikt nie oczekuje nienagannego zachowania od aktorki. Ten zawód daje sporo swobody.

W milczeniu upił łyk herbaty. Spróbowała jeszcze raz.

- Czy możemy porozmawiać o portrecie?

- Musimy się zdecydować, jak ma pani wyglądać w roli Kleopatry. - Powiedział to tonem całkowicie pozbawionym emocji, choć przeczył temu wyraz jego oczu.

- Nie wiem, jak powinnam wyglądać - odparła.

Rozłożył ręce.

- Spróbujemy różnych póz. Wykonam szkice, a potem wybierzemy najlepszy.

Wydało jej się to dalece niewystarczające. W przeniesieniu na język teatru, wyglądało to tak, jakby ktoś zamierzał przygotować się do roli, odgadując czyjeś kwestie.

- Czytał pan sztukę? - Ariana potarła palcem oparcie fotela. - Lektura mogłaby po-  
działać na pana inspirująco.

- Czytałem w czasach szkolnych.

Popatrzył na jej rękę. Natychmiast zacisnęła palce.

- Mam u siebie egzemplarz sztuki. Pójdźmy po niego. Zacisnął powieki.

- Nie ma takiej potrzeby. Proszę go przynieść jutro.

- W takim razie opóźnimy pracę o kolejny dzień. Mieszkam niedaleko. To nie zajmie nam wiele czasu.

Popatrzył na nią. Wydawało jej się, że chwila ciągnie się w nieskończoność.

- Dobrze - powiedział w końcu.

Przeszedł do drugiego pokoju po płaszcz i niedługo potem wyszli na owiewaną chłodnym wiatrem ulicę. Chwyciła go pod ramię i rozejrzała się dookoła.

- Gdzie mieszka pańska siostra?

- Niedaleko. - Po chwili wskazał mijany dom. - Tutaj.

- A tam, za tymi drzwiami, mieszka też pańska żona? - zapytała.

Proszę, powiedz „nie”, błagała w duchu.

- Nie mam odpowiedniej pozycji, żeby pozwolić sobie na małżeństwo. Mieszkają tu moja matka i siostra.

Serce żywej zabiło jej w piersi.

- Widziała już pani moją siostrę - zauważył Jack, gdy zostawili za sobą Adam Street.

Popatrzyła na niego, zaskoczona.

- Naprawdę?

- Portret, który tak pani podziwiała, przedstawiał właśnie moją siostrę.

Przystanęła.

- Ależ oczywiście... Teraz wszystko jasne! Ich spojrzenia się spotkały.

- Rozumiem, dlaczego twórca włożył w ten portret tak wiele uczucia.

Zaczerwienił się; poczuła, że znów wycofał się do swej skorupy, choć byli już tak blisko powrotu do nieskrępowanej wymiany myśli i przyjaznej atmosfery panującej na wystawie.

Ariana zadała kilka pytań na temat siostry. Spytała o jej wiek, zainteresowania, wykształcenie. Usiłowała poruszać wyłącznie bezpieczne tematy. Krótki spacer do jej mieszkania przy Henrietta Street był zdecydowanie najprzyjemniejszym od wielu lat.

Kiedy weszli do pensjonatu, Jack skierował się w stronę otwartych drzwi do salonu. Pociągnęła go za rękaw.

- Zapraszam do siebie.

Uniósł brwi.

- Czy wypada, bym wszedł do pani pokoju?

Machnęła ręką.

- Proszę mi wierzyć, że nikt nie będzie miał nic przeciwko temu.

Opowiedziała mu o tym, jak zamieszkała w tym domu, opisała innych lokatorów... Robiła wszystko, by oboje przestali czuć skrepowanie.

Kiedy weszli do pokoju, Ariana starała się nie patrzeć na łóżko, najbardziej okazały mebel w pokoju. Nie potrafiła jednak uwolnić się od myślenia o tym, jak wspaniale byłoby dzielić łożo z Vernonem. Była nawet poirytowana tym, że tak szybko obudził w



niej uśpione pragnienia. Doświadczenia z poprzednim kochankiem powinny ją nauczyć, że zmysłowe oczarowanie nie pomaga w ocenie charakteru mężczyzny.

Ścisnęła pelerynę i przerzuciła ją przez oparcie fotela. Vernon zdjął kapelusz i rękawiczki, ale pozostał w płaszczu.

Rozejrzył się po pokoju.

- Gdzie jest tekst sztuki?

- Na stole. - Wskazała stolik przy oknie.

Uniósł niewielki tomik oprawny w skórę.

- Obiecuję, że przeczytam do jutra.

Otworzył książkę i przerzucił kilka stron, po czym szybko ją zamknął i wsunął do kieszeni płaszcza.

Ciekawe, który fragment spowodował taką reakcję? - zastanawiała się Ariana. Może kwestia wypowiedziana przez Antoniusza?

*Niech odtąd jedna dni naszych minuta*

*Bez jakiej nowej nie zbiega rozkoszy.\**

\* przeł. Leon Ulrich

Można było odnieść wrażenie, że nie czuje się zbyt dobrze w jej towarzystwie.

- Muszę wracać do pracowni.

Nie zdążyła jeszcze odejść od drzwi.

- O której mam jutro przyjść?

- Jeśli to pani pasuje, o tej samej porze - odparł sztywno Jack.

- W takim razie do jutra. - Ariana skinęła głową.

Ruszył do drzwi. Gdy ją mijał, chwycił go za rękę.

- Bardzo chciałabym, żeby nasze spotkania przebiegały w przyjaznej atmosferze.

Zaczęliśmy znajomość bardzo miło. Czy nie możemy podtrzymać tego nastroju?

W jego oczach znów pojawił się ów dziwny wyraz udręczenia. Co też tak go niepokoiło? Spojrzył jej w oczy.

- Do jutra, panno Blane.

Puściła jego rękę, a on pośpiesznie wyszedł na korytarz. Patrzyła, jak zbiega ze schodów i wychodzi na ulicę, nie zatrzymując się nawet po to, by włożyć kapelusz i rękawiczki.

Kiedy Jack doszedł do Adam Street, wciąż kręciło mu się w głowie na wspomnienie chwil tak nieoczekiwanie spędzonych w towarzystwie Ariany. Niestety, jego radość mąciła świadomość, że młoda kobieta okazała się znajomą Tranville'a.

Wystawił twarz na podmuchy wiatru od rzeki. Było mu trudno z tym wszystkim się pogodzić, zwłaszcza że Tranville upatrzył sobie aktorkę, która mogłaby być jego córką.

Nie wrócił do pracowni, tylko udał się do matki. Zastał ją siedzącą przy oknie saloniku nad robótką.

Uniosła wzrok.

- O, Jack, wróciłeś.

Rozejrzał się po pokoju.

- Gdzie jest Nancy?

- Poszła ze służącą na rynek. - Matka uśmiechnęła się nieznacznie. - Obawiam się, że Nancy męczy się w czterech ścianach. Korzysta z każdej okazji, żeby się wyrwać z domu.

Nie odpowiedział. Wpatrywał się w dywan.

- Usiądź, proszę. - Wskazała fotel. - Powiedz mi, co cię sprowadza.

Podszedł do kominka, bezwiednie przesuwając jedną z figurek stojących po obu stronach zegara z porcelany. W końcu zdecydował się unieść wzrok.

- Czy Tranville powiedział ci, że ta aktorka jest niewiele starsza od Nancy?

Wbiła igłę w tkaninę.

- To nie moja sprawa, i sędzę, że również ciebie nie powinno to interesować, Jack.

- Nie twoja sprawa! - wybuchnął. - Przecież na pewno się tym martwisz! Jak możesz w tej sytuacji nalegać, żebym malował portret?

Pani Vernon, udręczona, zacisnęła powieki.

- Tego życzy sobie Lionel.

Poczuł, że ze złości się czerwieni.

- Nie musisz robić tego, czego on sobie życzy, mamó. Traktuje cię haniebnie.

Zmierzyła go surowym spojrzeniem.

- To twoja opinia. Ja wiem, że umożliwił mi dostatnie życie. Dzięki niemu niczego nie brakowało także i moim dzieciom; mogłam zapewnić im wykształcenie i przyszłość.

Zaśmiał się nieprzyjemnie.

- Mógłbym z tobą dyskutować na temat przyszłości Nancy, ale odłóżmy tę kwestię na bok. Czy nie uważasz, że z nawiązką odwdzięczyłaś mu się za to, co dla ciebie zrobił?

Pani Vernon bez słowa kontynuowała szycie. Jack kilkakrotnie przemierzył pokój, nim usiadł w fotelu naprzeciw matki.

- Mamo, potrafię zarobić na nas. Będę dostawał coraz więcej zamówień. Jeśli nauczymy się trochę oszczędzać, starczy mi pieniędzy na utrzymanie ciebie i Nancy. Nie musisz przyjmować ani szylinga od Tranville'a. Powiedz mu, żeby sobie poszedł do diabła.

Popatrzyła mu prosto w oczy.

- Nie zrobię tego.

- Dlaczego? Obiecuję, że się tobą zaopiekuję.

- Jestem pewna, że doskonale sobie poradzisz, mój synu, ale mimo wszystko nie odtrącę Lionela.

Wstał.

- Przecież to on cię odtrącił, lekceważąc twoje uczucia.

- Nie mam najmniejszego zamiaru się przed tobą usprawiedliwiać, zresztą nie czuję takiej potrzeby. Nie zmienię swego układu z Lionelem.

Niepotrzebnie tracił czas i nerwy. Jeśli chodziło o Tranville'a, matka była ślepa i głucha.

- Zostaniesz na obiedzie? - zapytała. - Będzie podany dopiero za kilka godzin, ale serdecznie cię zapraszam. Jeśli jesteś głodny, poproszę o herbatę i ciastka.

Jack pokręcił przecząco głową. Nie byłby w stanie spokojnie siedzieć przy stole, udając, że nic się nie wydarzyło.

- Dziękuję, ale mam jeszcze sporo pracy. Obdarzyła go bladym uśmiechem.

- Jeśli zmienisz zdanie, będziesz mile widziany. Jack podszedł do matki i ją pocałował.

- Muszę już iść.

Poklepała go po policzku. Jej oczy błyszczały od łez.

- Mam nadzieję, że zobaczymy się jutro.

Wyszedł na smaganą zimnym wiatrem ulicę i pośpieszył do pracowni. Znalazłszy się we wnętrzu, oparł się o drzwi. W głowie roiło mu się od wyobrażeń Tranville'a przekształcającego z łoża matki do łóżka Ariany.

Odłożył kapelusz i rękawiczki, po czym podszedł do biurka, w którym trzymał papier. Chwyciwszy kawałek węgla, zaczął szkicować.

Linie układały się w portret Ariany.

## Rozdział czwarty

Ariana siedziała przed lustrem. Nakładała róż na policzki i podkreślała oprawę oczu, aby twarz była dobrze widoczna nawet w najwyżej położonych łóżach Drury Lane. Drzwi garderoby były szeroko otwarte, żeby aktorzy mogli słyszeć, kiedy mają być gotowi do wejścia na scenę. Za pół godziny kurtyna pójdzie w górę i rozpocznie się wieczorne przedstawienie „Romea i Julii”. Za kulisami, jak zwykle o tej porze, panowało istne pandemonium. Rozlegały się okrzyki. Przenoszono elementy dekoracji z jednej strony na drugą. Aktorzy, aktorki i tancerze baletowi, zabawiający publiczność w przerwach, zajmowali się charakterystyką oraz wkładaniem kostiumów.

Ariana uwielbiała rozgardiasz i radosne ożywienie. Niezmiennie dodawały jej energii. Wolała przebywać w centrum wydarzeń, choć mogła skorzystać z prywatnej garderoby na piętrze, zwyczajowo przydzielanej aktorce grającej główną rolę. Bez żalu oddała tę prestiżową garderobę matce, która od początku pracy nad sztuką głośno się tego domagała.

Zobaczyła odbicie swojej matki w lustrze. W tym przedstawieniu grała zdecydowanie skromniejszą rolę. Ubrana w kostium pani Kapuleti, z przyganą popatrzyła na Ariane.

- Odjęło ci rozum?

Ariana odłożyła pędzelek, którego używała do przyczernienia brwi.

- O co ci chodzi, mamó?

Daphne wykonała afektowany gest dłonią.

- Lord Tranville płaci za twój portret i za całe przedstawienie, a ty nie pozwalasz mu sobie towarzyszyć. Nie zgodziłaś się nawet na odprowadzenie.

- Wydawało mi się, że pieniądze lorda Tranville'a mają wspomóc teatr, a nie polechtać próżność ofiarodawcy - zauważyła z przekąsem Ariana.

Matka uniosła ręce ku niebu.

- W takim razie jesteś głupsza, niż myślałam.

Daphne Blane myliła się. Ariana doskonale wiedziała, czego spodziewał się Tranville.

Odwróciła wzrok od lustra. Nawet jeśli miałyby się okazać, że Tranville działa jedynie ze szlachetnych pobudek, nie życzyła sobie jego towarzystwa. Uwielbiała za to przebywać sam na sam z Jackiem Vernonem. Cieszyły ją chwile, w których patrzył na nią, gdy byli sami w pokoju. Wstrzymała oddech, wyobrażając sobie, jak obejmuje ją wzrokiem, a potem przelewa swe spostrzeżenia na papier. Odczuwała to jak pieśczętę.

Matka wyrwała ją z rozmyślań, potrząsając za ramię.

- Tranville ma wielkie wpływy w tym teatrze i poza nim. Nie możesz źle go traktować, licząc na to, że nie spotka cię kara. Twierdzisz, że chcesz odnieść sukces, a tymczasem twoje zachowanie może udaremnić plany nam obu.

Ariana istotnie bardzo pragnęła zdobyć sławę, nie chciała jednak stać się zabawką w rękach Tranville'a.

Słynna Daphne Blane ponad wszystko ceniła sobie adorację ze strony mężczyzn. Traktowała karierę aktorską jako sposób na zaprezentowanie się szerokiemu gronu widzów, a popularność zawdzięczała w znacznie większym stopniu imponującej liczbie mężczyzn, z którymi się wiązała w ciągu minionych lat, niż wielkim rolom.

Tak ogromna potrzeba wzbudzenia zainteresowania możnych i wpływowych dżentelmenów sprawiała, że Daphne nie miała zbyt wiele czasu dla córki. Ariane wychowywali więc inni. Pracownicy teatru okazywali jej wiele serca. To oni ubierali małą Ariane w kostiumy, robili jej makijaż, a nawet wpuszczali na scenę, pozwalając na występy w niemych rolkach. Tutaj czuła się szczęśliwa. Kochała atmosferę teatru do tego stopnia, że

była gotowa wystąpić na każdej scenie, w dowolnej roli, byle tylko stać się częścią zespołu.

Wyraźnie określiła granice, do których mogli posunąć się zainteresowani nią mężczyźni, nawet jeśli byli w stanie w znacznym stopniu pomóc jej w karierze. Doszła do wniosku, że nie warto płacić każdej ceny za sukces. Chciała zasłynąć jako aktorka jedynie dzięki swym umiejętnościom. Pragnęła otrzymywać główne role i entuzjastyczne recenzje, zyskiwać poklask i sławę, ale tylko wtedy, gdy zasłuży na to aktorskimi umiejętnościami i talentem.

Daphne wyraźnie określiła swe stanowisko. Ariana mogła wprawdzie nie życzyć sobie dzielenia łóża z Tranville'em, ale nie powinna go do siebie zniechęcać. Ten człowiek w każdej chwili mógł użyć swych wpływów do dowolnych celów.

Odwróciła się, by popatrzeć matce w twarz.

- Nie musisz się niczego obawiać. Doskonale poradzę sobie z lordem Tranville'em. Dawałam sobie już radę z niejednym mężczyzną jego pokroju.

- Czyżby? - Matka ujęła się pod boki. - W wieku osiemnastu lat masz wiedzę na temat mężczyzn?

Ariana westchnęła z rezygnacją.

- Mam dwadzieścia dwa lata, mamo, i jestem starsza niż ty, kiedy mnie urodziłaś.

Matka posłała jej niechętne spojrzenie.

- Cóż, w wieku dwudziestu dwóch lat nadal można być bardzo nieroztropnym. Gdybym była mądrzejsza, nigdy nie zdecydowałabym się ciebie urodzić.

Arianę przeszył zimny dreszcz. Nie chcąc dać po sobie poznać, jak bardzo zabolęły ją te słowa, uśmiechnęła się blado.

- Uczę się na twoich błędach.

Matka zapatrzyła się przed siebie na drzewo, które wydawało się rosnać na wprost drzwi, a w rzeczywistości stanowiło element dekoracji do drugiego aktu.

- Tranville będzie dziś obecny na przedstawieniu. Proszę, bądź dla niego miła w Zielonym Pokoju.

Ariana odwróciła się z powrotem w stronę lustra i sięgnęła po puder.

- Zawsze jestem miła dla mężczyzn. - Nie miała jedynie zwyczaju z nimi sypiać.

W drzwiach garderoby stanął Arnold.

- Och, tutaj jesteś, droga Daphne. Jak zwykle wyglądasz uroczo.

Matka Ariany natychmiast się rozpromieniła.

- Dziękuję za komplement, ale mam na sobie kostium matrony.

- Nic nie jest w stanie przyćmić takiej urody. - Uścisnął jej dłoń i spojrzał na Ariannę. - Córka odziedziczyła po tobie najlepsze cechy. Jest znakomita w roli Julii. Ma wdzięk i talent, które mogą się równać jedynie z twoimi. Musisz być z niej bardzo dumna.

Daphne wciąż się uśmiechała, lecz Ariana zauważyła zimny błysk w jej oczach.

- Muszę być dumna, prawda?

Następnego ranka Jacka obudził posłaniec, który przyniósł mu pierwszą, okazałą część wynagrodzenia za zamówiony portret. Udał się na Ludgate Hill, gdzie Thomas Clay oferował najlepsze artykuły dla malarzy. Za pieniądze od Tranville'a kupił pigmenty z myślą o obecnym i kilku następnych obrazach. Po powrocie szybko wysprzątał pracownię na przyjście Ariany. Czekał na nią, przeglądał wykonane z pamięci szkice, w tym te, które powstały po pierwszym, krótkim spotkaniu na wystawie. Poprzedniego wieczoru wypełniał kartkę po kartce profilami Ariany, rysunkami jej oczu, uśmiechu. Dopiero gdy się ściemniło, zaczął czytać „Antoniusza i Kleopatę” w świetle lampy.

Punktualnie o drugiej zapukała do drzwi. Wstał od biurka, pośpiesznie składając szkice w schludny stos. Gdy Ariana stanęła w progu, zauważył, że jej twarz jest uroczo zaczerwieniona od mrozu.

- Dzień dobry, panie Vernon. - Uśmiechnęła się do niego.

Szybko odwrócił wzrok.

- Panno Blane, mam nadzieję, że dobrze się pani miewa.

- Zawsze dobrze się miewam - odpowiedziała wesoło.

Starczyło mu przytomności, by pomóc Arianie zdjąć płaszcz. Nie uszło przy tym jego uwagi wdzięczne wygięcie jej szyi okolonej kasztanowymi włosami wymykającymi się spod kapelusza.

- Udało się panu przeczytać sztukę? - zapytała, zdejmując rękawiczki i rozwiązując wstążki kapelusza.



Powiesił jej pelerynę na kołku.

- Czytałem ją przez całą noc.

Położyła kapelusz i rękawiczki na stoliku i, wciąż uśmiechnięta, popatrzyła na Jacka, ciekawa tego, co się wydarzy.

Zdawał sobie sprawę, że wykonane szkice nie oddają niezwyklej energii Ariany, jej cudownej żywotności. Czuł mrowienie w palcach, mając ochotę jak najszybciej wykonać nowe. Musiał jednak uczynić zadość wymogom etykiety.

- Zaparzę herbatę. - Ruszył w stronę kuchni, lecz Ariana go wyprzedziła.

- Ja to zrobię. - Wśliznęła się do kuchni, odsuwając kotarę, i rozejrzała się dookoła.

- Nie mam nic do roboty, a pan musiał wszystko przygotować.

Tuż przed jej przyjściem postawił czajnik na ogniu. Herbata była już w imbryczku, więc Ariana nalała wody.

- Musi mi pani pozwolić ponieść tacę.

Obdarzyła go figlarnym uśmiechem.

- Naprawdę muszę?

- Nalegam. - Wszedł do kuchni.

W małym pomieszczeniu nie było miejsca dla dwóch osób, lecz za późno sobie to uzmysłowił. Gdy Ariana próbowała go minąć, otarli się ramionami, a zmysły Jacka zostały wystawione na ciężką próbę.

Spojrzała mu w twarz z uśmiechem i delikatnie pogładziła go palcem po policzku.

- Ma pan tu ciemną smugę.

Musiał ubrudzić się węglem ze szkiców.

Sięgnął po ściereczkę i potarł wskazane przez Arianę miejsce, po czym odwrócił się i wziął tacę. Ariana w milczeniu poszła za nim tam, gdzie siedzieli poprzedniego dnia.

Zachowywała się tak, jakby nic się pomiędzy nimi nie wydarzyło.

- Od czego zaczniemy? Będziemy się zastanawiać, jak przedstawić Kleopatrze?

- To dobry pomysł.

Nalała herbatę i podała mu filiżankę.

- Co pan myśli?

- O Kleopatrze?

- Tak. - Uniosła swoją filiżankę.

- Byłem zaskoczony jej politycznymi ambicjami. Nie zwróciłem na to uwagi, kiedy czytałem tę sztukę w szkole.

Uśmiechnęła się.

- Pewnie jako chłopiec był pan na to zbyt romantyczny. Zaśmiał się niepewnie.

- Chyba jednak nie, ale teraz lepiej rozumiem życie. Antoniuszem rządzi namiętności, podczas gdy Kleopatra działa z pobudek ambicjonalnych.

- Zgadzam się z panem. Dwukrotnie zdradza Antoniusza. A poza tym wątpię, czy zabiła się z miłości do niego.

Nieznacznie przesunął filiżankę, lecz jej nie uniósł.

- Ale jego miłość doprowadziła do śmierci.

- I do jej śmierci - dodała. - Można by powiedzieć, że była kobietą, która przede wszystkim pragnęła osiągnąć swoje cele, a jego miłość przywiodła ją do zguby.

Pomyślał o sytuacji matki.

- Świat nie zmienił się wiele od tamtych czasów.

- To prawda - przyznała z przekonaniem.

Jack objął wzrokiem urodziwą twarz Ariany, uzmysławiając sobie, że to Tranville, a nie on, gra w jej życiu rolę Antoniusza. Promienie słońca zagładające do wnętrza nadały jej włosom rudawy połysk. Popatrzyła na niego łagodnie i przyjaźnie.

Musiał odwrócić wzrok.

- To dziwny dramat. Wątek historyczny wydaje się tu znacznie ważniejszy niż miłosny.

Roześmiała się.

- To dobrze. Pan Kean zawsze wprowadza wystarczającą ilość elementów roman-sowych.

Popatrzył na Ariane, zaskoczony.

- Nie lubi pani Keana jako swego partnera w głównej roli? Pokręciła głową.

- Nie. Pachnie whisky i jest niskiego wzrostu.

- Tak pani mówi o słynnym Keanie?

Skrzywiła się, jakby przed chwilą zjadła cytrynę.

- Uważam, że dużo lepiej prezentuje się w teatralnych łożach.

Jej szczerłość sprawiła, że Jack rozluźnił się i przestał myśleć o Tranville'u. Czuł się tak, jakby z powrotem znaleźli się w Somerset House.

Zaczęli dyskutować o sposobie przedstawienia Kleopatry, zwłaszcza o tym, czy powinna zostać namalowana w pozycji siedzącej czy stojącej. Jack nie mógł się doczekać chwili, gdy będzie mógł przystąpić do rysowania.

Ariana odstawiła filiżankę i przysiadła na krawędzi fotela.

- Mogę zacząć pozować jako Kleopatra na tronie.

Wyprostowała się i dumnie uniosła podbródek, w jednej chwili przeistaczając się w wyniosłą królową, patrzącą na wszystkich z góry.

Zafascynowała go ta poza.

- Proszę się nie ruszać.

Przysunął biurko do fotela i umieścił czystą kartkę papieru na pochyłym blacie. Szkicował szybko, bez zastanowienia, używając węgla i pasteli, pozwalając, by to, co widział, samo spływało mu spod palców.

Ariana siedziała nieruchomo niczym posąg.

Odłożył kartkę i sięgnął po następną.

- A teraz proszę wstać i zacząć się poruszać.

- Jak mam się poruszać?

Wykonał obrót dłoni.

- Proszę się przede mną przechadzać, tak jakby to czyniła Kleopatra.

Dobrze pamiętał wdzięczny chód Ariany. Nie poznawał jej kroczącej dostojnie, po królewsku. Szkicował w wielkim pośpiechu.

- Czuję się trochę głupio - powiedziała, przechodząc tuż przed jego biurkiem.

- Ale wygląda pani doskonale. Właśnie o to mi chodzi.

Potem narysował Ariane w wielu innych pozach, siedzącą i stojącą. Powstało całe studium wykonane pastelami. W milczeniu oceniał prace.

- Mogę zobaczyć? - Ariana podeszła do biurka, owiewając Jacka zapachem wody różanej.

Długo przyglądała się kolejnym rysunkom.

- Są wspaniałe! - Przejrzała je ponownie, układając trójkami obok siebie. - Rysował pan tak szybko, że nie wierzyłam, że uda się panu tak dobrze uchwycić podobieństwo.

- Nie jestem w pełni usatysfakcjonowany. W dodatku nie wiem dlaczego.

Ułożył wcześniej wykonane szkice na podłodze obok biurka.

- Co to? - spytała.

Uniosła je i obejrzała dokładnie. Kiedy doszła do tych wykonanych tuż po spotkaniu w Somerset House, popatrzyła na Jacka, zaskoczona.

- To wcześniejsze prace - wyjaśnił, starając się nadać głosowi lekkie brzmienie.

- Są inne niż pozostałe. Wyglądam na nich... kusząco.

Nie odpowiedział, a Ariana się uśmiechnęła.

- Narysował to pan tuż po wystawie?

Trudno byłoby mu skłamać.

- Tak.

- Bardzo mi się podobają - powiedziała z prostotą, a Jack poczuł, że się czerwieni. - Sprawił pan, że wyglądam na nich ponętnie.

- Mało powiedziane. - Był zadowolony, że nie spytała go, dlaczego wykonał te szkice tamtego dnia; nie wiedział, co mógłby jej powiedzieć.

Popatrzyła na niego tak, jakby potrafiła czytać w jego myślach i doskonale wiedziała, co przeżywał po spotkaniu w Somerset House. Wolał jednak nad tym się nie zastanawiać. Tego dnia pragnął przede wszystkim ją malować.

- Kleopatra musi wyglądać kusząco. - Rozejrzawszy się po pokoju, Ariana przysunęła szeszlą do biurka i położyła się, wspierając na łokciu, z twarzą zwróconą w stronę Jacka. Była zarazem dostojna i zmysłowa. - Nie podoba się panu ta poza? - Poruszyła się, by zmienić pozycję.

Uniósł rękę.

- Proszę się nie ruszać.

Przyjęła poprzednie ułożenie ciała.

- Dobrze nam dzisiaj się pracuje, prawda?

- Tak. - Usiłował się skupić na rysunku.

- Mam wrażenie, że porozumiewamy się równie łatwo, jak wtedy na wystawie.

Popatrzył na nią, lecz się nie odezwał.

- Zastanawiam się, co się z panem wczoraj działo - ciągnęła. - Czułam, że jest pan niezadowolony z mojej obecności. Może mi pan wyjaśnić, o co chodziło?

Na chwilę oderwał się od szkicowania.

- Naprawdę o nic.

Przechyliła głowę, lecz przypomniawszy sobie, co ją tu sprowadziło, szybko przyjęła poprzednią pozę.

- Jestem pewna, że moja obecność pana denerwowała.

Skupił się na rysunku.

- Mój nastrój miał związek z czymś, co pani nie dotyczy.

- W takim razie proszę mi zdradzić, co tak pana zasmuciło - poprosiła.

Sprawiała wrażenie zatroskanej.

- Nie przypominam sobie - skłamał. - Widocznie nie było to nic poważnego.

Przez chwilę milczała. Jack dobrał barwę sukni, odcień skóry.

- Ma pan wielu przyjaciół w Londynie? - spytała po dłuższym milczeniu.

- Niewiele - odpowiedział. - Mieszkam w Bath.

- O! - Wyraźnie się ożywiła. - Grałam w „Operze żebraczej” w Bath. Widział pan to przedstawienie? To było dwa lata temu.

Pokręcił głową.

- Byłem wtedy w Hiszpanii.

Popatrzyła na niego współczującym wzrokiem i nie kontynuowała tematu.

- Ja również nie mam zbyt wielu przyjaciół w Londynie.

- Przecież mieszka tu pani matka.

Machnęła ręką i zaraz powróciła do pozy.

- Trudno mi nazwać matkę moją przyjaciółką. Z przyjaciółmi najczęściej spędzamy miłe chwile.

W życiu Jacka było niewiele czasu na rozrywkę.

- Miłe chwile?

- Chodzi mi o wspólne spacery w parku, wyprawy do sklepów, lody u Guntera... - Urwała. - Mam przyjaciół w teatrze, ale oni najczęściej chodzą się zabawić do gospody.

Jack odniósł wrażenie, że rozmowa z Arianą obmywa go jak źródłana woda w ciepły letni dzień. Nie mogąc się do końca skupić na pracy, improwizował. Zmienił kartkę i zaczął rysować twarz Ariany na całej powierzchni papieru.

- Powinniśmy zostać przyjaciółmi - kontynuowała. Znieruchomiał.

Uśmiechnęła się do niego.

- Wtedy mogłabym mówić na pana „Jack”, a pan mógłby mnie nazywać Arianą.

Zanim zdążył cokolwiek odpowiedzieć, rozległo się pukanie do drzwi. Jack odłożył pastel, by otworzyć, lecz niezapowiedziany gość go wyręczył.

Do środka wszedł Tranville.

- Dobrze, bardzo dobrze... - Zdjął cylinder i skłonił się przed Arianą. - Witam, moja droga. - Zwrócił się do Jacka: - Pomyślałem, że wstąpię, by się przekonać, jak postępuje praca.

- Tranville - wykrztusił Jack. - To dopiero drugie spotkanie. Jakiego postępu prac mógł się pan spodziewać? - Odłożył szkic przedstawiający Arianę na szeszlunku na stos innych rysunków.

- Chciałbym zobaczyć. - Nie czekając na pozwolenie, Tranville podszedł do biurka. Jack położył rękę na stercie kartek, by Tranville mógł zobaczyć tylko jeden szkic; ten z Arianą siedzącą w fotelu. Tranville z uznaniem popatrzył na Arianę.

- Muszę przyznać, że jest pani wspaniałą modelką, moja droga.

Nie odpowiedziała.

Raz jeszcze przyjrzał się rysunkowi i pokręcił głową.

- Moim zdaniem, nie wygląda pani jak Kleopatra. - Zwrócił się do Jacka: - Na miłość boską, przecież musi prezentować się jak Egipcjanka!

Jack milczał ponuro.

- Milordzie, chyba zbyt wiele się pan spodziewa po pierwszym dniu pozowania - odezwała się Adriana. - Czyżby myślał pan, że wystąpię w kostiumie i makijażu scenicznym?

Jack bez trudu potrafiłby obronić swe stanowisko przed krytykami pokroju Tranville'a. Nie podobało mu się to najście, a myśl o tym, że stary satyr rości sobie prawa do Ariany, przyprawiała go o wściekłość.

Tranville uśmiechnął się do Ariany. Jack zauważył, że łypnął przy tym na nią lubieżnie.

- Jeśli jest pani zadowolona z sesji, to ja również jestem ukontentowany.

Jack zacisnął szczęki aż do bólu.

- Kiedy kończysz pracę? - spytał Tranville. - Zamierzam odprowadzić pannę Blane do domu.

Ariana uniosła się z szeszlona.

- To nie jest konieczne, sir.

- Nie mogę pozwolić na to, żeby pani wracała sama. - Tranville posłał Jackowi spojrzenie, jakie wymieniali mężczyźni wyruszający na bój.

Fakt, że Tranville obnosił się ze swym romansiem z Arianą w obecności syna byłej kochanki, doprowadzał Jacka do stanu wrzenia. Tylko obietnica dana matce sprawiła, że powstrzymał się przed chwyceniem Tranville'a za kołnierz i wyrzuceniem na ulicę.

- Jeszcze nie skończyliśmy. - Ariana przybrała pozę Kleopatry.

Tranville usiadł w fotelu.

- Chętnie zaczekam.

Jack włożył pastele do pudełka i sięgnął po szkice. Nie zamierzał postawić ani jednej kreski w obecności Tranville'a.

- Już skończyliśmy.

Ariana wstała, posłała Jackowi gniewne spojrzenie, po czym bez słowa zebrała filiżanki i zaniósła je do kuchni.

- Nie musi pani tego robić - napomniął ją Tranville. - To zadanie dla służącej.

- Nie mam nic przeciwko temu.

Jack wszedł za nią do kuchni.

- Ja się tym zajmę.

- Przecież nie skończyliśmy. Dlaczego pan skłamał? - spytała gniewnym szeptem.

- Nie mogę pracować, mając świadomość, że Tranville mnie obserwuje.



Złożyła dłonie na piersiach.

- W takim razie kiedy mam wrócić?

- Jutro?

- Dobrze. Przyjdę o drugiej, o ile to panu odpowiada - powiedziała rzeczowym tonem.

- A zatem o drugiej - odparł.

Minęła go i przeszła do pracowni.

Tranville czekał już na nią, gotów do drogi. Pomagając Arianie włożyć pelerynę, długo układał ją na jej ramionach.

Jack wszedł do kuchni, by zająć się myciem naczyń. Wrócił do pokoju dopiero wtedy, gdy za wychodzącymi zamknęły się drzwi.

TLR

## Rozdział piąty

Ariana z wahaniem ujęła ramię Tranville'a. Uprzejmości, które kierował w jej stronę w czasie drogi do domu, wydawały jej się nieznośne jak brzęczenie natrętnego owada.

Panowała nad sobą z najwyższym trudem. Nie wiedziała jedynie, co rozzłościło ją bardziej - nieproszona wizyta Tranville'a czy bierność Jacka, który powinien wyrzucić intruza.

Myślała teraz o Vernonie jako o Jacku, traktując go jak kogoś bliskiego. Pozowanie do portretu było fascynującym doświadczeniem. Czuła na sobie każde spojrzenie Jacka, mając jednocześnie świadomość, że papier, kolory i linie tworzyły między nimi dystans.

Gdyby Tranville im nie przeszkodził...

- O której będzie pani jutro pozowała Jackowi? - spytał Tranville.

Wolała mu nie odpowiadać, zadając własne pytanie.

- Wydaje się pan dobrze znać pana Vernona. Co pana z nim łączy?

Roześmiał się.

- Jack jest synem kogoś mi bliskiego. Znam go od czasu, gdy był dzieckiem.

- O? - Nie kryła zainteresowania. - Jest pan przyjacielem jego ojca?

Tranville odpowiedział dopiero po dłuższej chwili.

- Matki, chociaż znałem także i świętej pamięci ojca Jacka.

- Ach, tak. - Tranville był przyjacielem matki, a jedynie „znał” ojca Jacka? Czuła, że musi zdobyć więcej wiadomości na ten temat. - Kiedy zmarł pan Vernon?

Machnął ręką, jakby śmierć tego człowieka nic go nie obchodziła.

- Szesnaście... siedemnaście lat temu.

- Miałam wtedy zaledwie sześć lat - powiedziała Ariana, chcąc uświadomić Tranville'owi dzielącą ich różnicę wieku. - Pan Vernon również musiał być wtedy dzieckiem.

- Owszem - mruknął.

Czyżby matka Jacka była kochanką Tranville'a? - zadała sobie w duchu pytanie Ariana. To wyjaśniałoby niechęć Jacka do tego mężczyzny. Przeszli przez Maiden Lane. Znajdowali się już bardzo blisko pensjonatu.

- Nie wyjawiała mi pani, o której godzinie zamierza pojawić się u Jacka - zagadnął Tranville, z trudem skrywając zniecierpliwienie.

- O drugiej. - Była zła, że zmusił ją do odpowiedzi.

- Przyjdę panią odprowadzić.

Zatrzymała się gwałtownie i cofnęła ramię, po czym stanęła naprzeciw Tranville'a.

- Błagam pana, żeby pan nie przychodził, a już na pewno nie przerywał sesji.

Sprawiał wrażenie urażonego.

- Chyba się przesłyszałem?

- Proszę nie przychodzić - powtórzyła, dobitnie akcentując słowa. - Zepsuł nam pan wszystko. Pan Vernon stracił koncentrację i natchnienie. Nie zauważył pan tego?

Tranville zaczerwienił się ze złości, ale nadal się hamował. Uśmiechnęła się, zmieniając taktykę.

- Proszę się na mnie nie gniewać. Każdy, kto by wszedł w tym momencie, doprowadziłby do tego samego. - Chwyciła go pod ramię. - Zdaję sobie sprawę, jak bardzo panu zależy na tym, by portret był jak najlepszy i rozślawił przedstawienie. Artysta potrzebuje prywatności, żeby osiągnąć ten cel.

- Jack pani to powiedział?

Roześmiała się.

- Ależ skąd! Każdy, kto choć trochę orientuje się, jak wygląda pozowanie, zdaje sobie sprawę, że najważniejsza jest odpowiednia atmosfera. - Wprawdzie doświadczenie Ariany ograniczało się do jednej sesji, była jednak pewna, że Tranville ma jeszcze mniejsze pojęcie na ten temat.

Zauważyła urodziwą kobietę przyglądającą się im z drugiej strony ulicy. Towarzyszący jej młody, przystojny mężczyzna wpatrywał się w nią z wyraźnym zachwytem.

Ariana pozazdrościła tej parze.

- Mógłbym towarzyszyć pani w drodze do Jacka, nie wchodząc do pracowni.

Ariana z trudem pogodziła się z faktem, że musi okazać odrobinę przychylności Tranville'owi ze względu na jego potężne wpływy.

- Dobrze. W takim razie proszę przyjść po mnie za piętnaście druga. Odprowadzi mnie pan do pana Vernona.

Uśmiechnął się szeroko. Żartobliwie pogroziła mu palcem.

- Ale potem proszę nie przychodzić po mnie, bo nie wiadomo, o której skończymy. Zmarszczył czoło.

- Jeśli zrobi się późno, młoda kobieta nie powinna sama...

Przerwała mu.

- Jeśli zrobi się późno, poproszę pana Vernona, żeby eskortował mnie do domu. - Starła się nadać swemu głosowi obojętne brzmienie, by Tranville nie domyślił się, jak bardzo odpowiadałaby jej taka możliwość. - Myślę, że się zgodzi, zważywszy na sumę, którą mu pan płaci.

- Dobrze. - Poglądził jej dłoń kciukiem. - Jak pani sobie życzy.

Cofnęła rękę. Nareszcie dotarli do celu.

- Życzę miłego popołudnia - powiedziała, dygając.

Najwyraźniej miał nadzieję, że zostanie zaproszony do środka. Chciał ponownie ująć jej rękę, lecz Ariana szybko otworzyła drzwi.

- Proszę zaczekać. - Przytrzymał drzwi. - Czy zobaczę panią dzisiaj w Zielonym Pokoju?

- To bardzo prawdopodobne. - Uśmiechnęła się i szybko zniknęła we wnętrzu.

Tego dnia Jack znów odwołał obiad u matki. Nie był w stanie się z nią spotkać, zyskawszy pewność, że Tranville jest zainteresowany Arianą. Pozostałą część popołudnia spędził na wpatrywaniu się w szkice i zmuszając się do myślenia o nich jedynie jako o artystycznym wyzwaniu. W końcu odłożył rysunki i sięgnął po płaszcz, czując, że powinien zaczerpnąć świeżego powietrza. Był rozżalony i zły na cały świat.

Pochyliwszy głowę, by ochronić się przed podmuchami wiatru, przeszedł Strand, kierując się w stronę Covent Garden. Nie chciał przechodzić Henrietta Street. I tak zdecydowanie zbyt często myślał o sypialni Ariany i o tym, że może tam teraz przebywać Tranville. Zamierzał zjeść kotlet barani w jakiejś hałaśliwej gospodzie, pełnej prostych

ludzi oddających się niewyszukanym przyjemnościom. Znalazłszy takie miejsce przy Bow Street, zajął miejsce przy stoliku pod ścianą.

Siedzący przy sąsiednim stole mężczyzna zaprzęgnął się z Jackiem. Okazało się, że Henry, jak się przedstawił, jest aktorem - Drury Lane znajdował się bardzo niedaleko.

- Gram z Keanem i wspaniałą Daphne Blane - pochwalił się nowy znajomy Jacka. - Musisz mnie zobaczyć. Wprowadzę cię do teatru.

To oznaczało możliwość ponownego obejrzenia Ariany w roli Julii. Jack chętnie przyjął zaproszenie.

Nikt nie zatrzymywał przyjaciela aktora. Henry poradził Jackowi, by stanął we wskazanym miejscu za kulisami, skąd roztaczał się znakomity boczny widok na scenę. Przed rozpoczęciem przedstawienia Jack rozglądał się dookoła w nadziei, że lada chwila ujrzy Ariane. W pewnym momencie mignęła mu po drugiej stronie sceny, lecz go nie zauważyła.

Henry grał rolę Abrahama, służącego Montekiego. Aktor wypowiedział kilka zdań i wziął udział w walce na miecze w pierwszym akcie. Zszedłszy ze sceny, stanął obok Jacka i oglądał przedstawienie.

- To wspaniała Julia - powiedział szeptem do Jacka. - Najlepsza, jaką widziałem. Ariana jest córką Daphne Blane, więc nie ma się co dziwić jej talentowi. - Cicho się zaśmiał. - Podobno Daphne nie wie, który z jej licznych kochanków jest ojcem córki.

Było powszechnie wiadome, że aktorzy prowadzą rozwiązłe życie i nie mają szans na akceptację w eleganckim towarzystwie, jednak historia Ariany wydała się Jackowi wyjątkowo smutna.

Patrzył na jej występ w roli Julii. Była niezmiernie przekonująca jako niewinna, ufna młoda dziewczyna, którą za chwilę miała znaleźć się w sidłach namiętności i stać się ofiarą rodzinnych sporów. Grając Kleopatę, będzie z pewnością równie prawdziwa jako tajemnicza, przebiegła, zmysłowa władczyni.

Jack chciał, żeby portret ukazywał także cechy Ariany; jej prostolinijność, odwagę i zdecydowanie. Spochmurniał, uzmysłowivszy sobie, że być może Ariana jedynie odgrywa przed nim jakąś postać. Czy zachowywała się inaczej w obecności Tranville'a?

Przeczesał włosy palcami. Nie powinien czuć się za nią odpowiedzialny. Wykonywał zlecenie i należy skupić się jedynie na stworzeniu odpowiedniej jakości portretu.

- „Bo moja miłość równie jest głęboka jak morze, równie jak ono bez końca; im więcej ci jej udzielam, tym więcej czuję jej w sercu”\* - wypowiadała swą kwestię Ariana.

\* przeł. Józef Paszkowski

Jack zamknął oczy. Te słowa rozpały mu zmysły. Wojna w Hiszpanii sprawiła, że wpadł w odrętwienie, zubożył na subtelne ludzkie uczucia. Arianie udało się na nowo obudzić w nim emocje.

Przypuszczał, że jego nowy przyjaciel chętnie po przedstawieniu zaprowadziłby go do Zielonego Pokoju, gdyby tylko Jack wyraził na to ochotę. Wolał jednak nie widzieć Tranville'a umizgującego się do Ariany.

Przedstawienie dobiegło końca i Henry udał się na scenę, by ukłonić się publiczności. Potem zaprosił Jacka nie do Zielonego Pokoju, lecz ponownie do gospody. Dołączyło do nich kilku młodych aktorów. Gdy wychodzili z teatru, Jack znalazł się blisko Ariany, jednak matka zajęła ją rozmową i młoda aktorka go nie zauważyła.

Postanowił się jej nie narzucać.

W gospodzie Jack obserwował Henry'ego i jego towarzyszy. Wznosił z nimi kolejne toasty, lecz czuł, że nie należy do ich grona. Alkohol pobudził i szybko zmieniał ich emocje: nienaturalna wesołość przeszła w gniew, a potem w łzawy sentymentalizm. Jack obserwował wyraz twarzy podchmielonych kompanów, ich gestykulację, ułożenie ciała i notował w pamięci wszystkie odcienie brązu w mdłym świetle.

Czując lekkie zawroty głowy, postanowił się pożegnać. Wyszedł na zewnątrz i skręcił w stronę wąskich ciemnych uliczek. Odgłosy dochodzące z gospody odbijały się echem wśród ceglanych murów.

Odniósł wrażenie, że oto znów jest w Badajoz. Wydawało mu się, że ciemne sylwetki przechodzących przez ulicę lub stojących w bramach za chwilę go zaatakują. Śmiech podochoconych alkoholem bywalców okolicznych lokali brzmiał w jego uszach

jak obłąkańczy chichot Badajoz. Wesole pijackie nawoływania zmieniły się w krzyki rozpacz. Przywarł plecami do zimnej ściany najbliższego budynku i zakrył uszy dłońmi.

Powtarzał sobie w myślach, że nie jest w Badajoz, lecz jego zmysły nie były mu posłuszne. Serce waliło mu w piersi jak oszalałe, mięśnie stężały, a jakiś głos w zakamarkach mózgu krzyczał: Uciekaj!

Puścił się pędem przed siebie, jakby gonili go pijani żołnierze w Badajoz. Paliły go płuca, gdy zdyszany dobiegł do pracowni. Wyjął klucz, otworzył drzwi i na chwiejnych nogach wszedł do środka. Oczami wyobraźni ujrzał żołnierzy przytrzymujących Francuzkę. Jej syn znów krzyczał, by przestali, a pijany Edwin Tranville tępo się uśmiechał.

- Dołącz do nas - powiedziało widmo. - Starczy i dla ciebie.

Jack pokuśtykał do sypialni i wyciągnął nocnik. Pochylił się. Po chwili wstrząsnęły nim gwałtowne torsje.

Następnego ranka obudził się gwałtownie. Czuł gorycz w ustach i ból głowy, a w pokoju czuć było wymiocinami.

Wciąż miał na sobie ubranie z wczorajszego wieczoru. Wstał i wyniósł nocnik, mając wrażenie, że za chwilę znów zacznie wymiotować.

Posprzątawszy, nalał wody do dużego dzbana. Przeplukał usta, umył zęby i przetarł mokrą gąbką całe ciało. Wciąż kręciło mu się w głowie, a żołądek groził buntem.

Przebrał się i poszedł na śniadanie do matki. Miał ochotę wypić wiadro herbaty, by pozbyć się nieznośnego kołatania w głowie.

Wilson otworzył drzwi wejściowe i Jack udał się prosto do jadalni.

Nie przypuszczał, że zastanie tam Tranville'a. Gość matki siedział przy stole, trzymając w ręku filiżankę herbaty i czytał gazetę.

- Dzień dobry - przywitał go Tranville.

Był sam w pokoju.

Jack mocno chwycił się framugi drzwi, by uśmierzyć wrzący w nim gniew. Nie odwzajemnił skinienia głowy. Tranville zaśmiał się i powrócił do lektury.

Chęć posilenia się i udowodnienia Tranville'owi, że nie tak łatwo uda mu się go onieśmielić, powstrzymała Jacka od natychmiastowego wyjścia z jadalni. Podszedł do stolika zastawionego obficie niż zazwyczaj. Oprócz jajek na miękko i chleba były tam



tego dnia wędzone śledzie i plastry szynki. Na widok śledzi Jack poczuł skurcze żołądka; równie gwałtowne jak te, które wzbudzał w nim widok Tranville'a. Sięgnął po jajka i kromkę chleba, którą posmarował masłem i dżemem malinowym.

Usiadł naprzeciwko Tranville'a i nalał sobie herbaty z imbryczka na stole.

- Wiem, że zadajesz sobie teraz pytanie, czy spędziłem tu noc. - Tranville z apetytem zjadł kawałek śledzia. - Owszem, bardzo miło upłynął mi czas.

Jack spiorunował go wzrokiem, lecz nie dał się sprowokować.

Tranville nie ustępował.

- Jeśli się nad tym zastanawiasz, to wiedz, że myślałem o obecności twojej siostry. - Wypił łyk herbaty. - Doszedłem do wniosku, że jest wystarczająco dorosła, by wyjść za mąż... - Roześmiał się. - Poza tym kiedy przyszedłem, już spała. A dotarłem późno, po zakończeniu przedstawienia.

Po przedstawieniu? A więc Tranville nie został z Arianą. Mimo że Jack zamierzał traktować Arianę jedynie jako modelkę pozującą do portretu, odetchnął z ulgą. Natychmiast jednak zawrzało w nim gniew na myśl o tym, że Tranville pocieszył się, przychodząc do matki.

- To dziwne, że wziął pan pod uwagę czyjeś odczucia.

- Twoja matka nie miała nic przeciwko temu.

Jack mocno chwycił się krawędzi stołu i spojrzał Tranville'owi prosto w oczy.

- Radziłbym uważać na słowa. - Nawet obietnica dana matce nie rozciągała się na wszystkie ewentualności.

Tranville uniósł ręce w pojednawczym geście.

- Dobrze wiesz, że darzę twoją matkę wielkim szacunkiem.

- Szacunkiem?! - Jack nie posiadał się z oburzenia.

Tranville zniżył głos do szeptu.

- To, co dzieje się między twoją matką a mną, nie powinno cię obchodzić. Radzę ci o tym pamiętać.

Niemal dokładnie te same słowa padły wcześniej z ust matki. Tranville plasnął dłonią w blat stołu.

- Powinieneś znać swoje miejsce, chłopcze - powiedział znacznie już głośniej. - Nie wtrącaj się w sprawy para Anglii.

Jack wychylił się w przód.

- Nie dopuszczę do tego, by matka cierpiała z pańskiego powodu.

Tranville postanowił zaprezentować oblicze człowieka rozsądku.

- Twoja matka rozumie moje potrzeby, chłopcze. To stwierdzenie powinno ci wystarczyć. - Sięgnął po plaster szynki i uniósł go do ust.

- Czy matka wie, że sypia pan z panną Blane?

Tranville uśmiechnął się.

- Ależ ja nie sypiam z panną Blane. Jeszcze nie. - Wypił łyk herbaty. - W innym przypadku by mnie tu nie było.

Tranville nie sypiał z Arianą? Ta wiadomość zaskoczyła Jacka, szybko jednak uzmysłowił sobie, że jego matka służy Tranville'owi do zaspokajania potrzeb wzbudzonych przez Arianę. Tak czy owak zachowanie tego człowieka doprowadzało Jacka do białej gorączki.

Odsunął krzesło, gotów rzucić się na Tranville'a, lecz w tym momencie do pokoju weszła pani Vernon.

- O, Jack, nie wiedziałam, że tu jesteś.

Wciąż trzęsąc się z oburzenia, podszedł do matki i ją pocałował.

- Przyszedłem na śniadanie.

Poklepała go po policzku.

- Wiesz, że zawsze jesteś tu mile widziany.

Zbliżyła się do Tranville'a, który również wstał.

- Dzień dobry, Lionel.

Pocałował ją w usta, zerkając przy tym z ukosa na Jacka.

- Pozwól, że przyniosę ci śniadanie.

Wysunął krzesło i pani Vernon zajęła miejsce przy stole.

- Będę ci bardzo wdzięczna. Poproszę o jajko.

Jack zacisnął dłonie w pięści.

Do jadalni weszła Nancy, przecierając zaspane oczy. Siostra, która rano zawsze była w nie najlepszym humorze, popatrzyła na Jacka i wymamrotała „Dzień dobry”, lecz zauważywszy Tranville'a, natychmiast się ożywiła.

- Och!

Tranville się skłonił.

- Dzień dobry, Nancy. Pozwolisz mi podać sobie śniadanie?

Sprawiała wrażenie zakłopotanej.

- Dziękuję, ale nałożę sobie jedzenie sama. Proszę usiąść. Kiedy wróciła do stołu, Tranville zerwał się na nogi i wysunął dla niej krzesło.

- Dobrze spałaś?

- Tak, dziękuję.

Podczas śniadania Nancy nieustannie przenosiła wzrok z matki na Tranville'a i z powrotem. W końcu pytająco spojrzała na Jacka.

Wzruszył ramionami.

Nancy wypila filiżankę herbaty i naląła sobie następną.

- Lordzie Tranville, wczoraj po południu widziałam pana na ulicy. Kim była towarzysząca panu młoda dama?

Jack z niepokojem popatrzył na matkę, która wpatrywała się w talerz.

Tranville odpowiedział bez zastanowienia:

- To musiała być panna Blane. Odprowadzałem ją do domu z pracowni Jacka.

Nancy w oszołomieniu pokręciła głową.

- Z pracowni Jacka!

Jack uznał za stosowne włączyć się do rozmowy.

- Lord Tranville zamówił u mnie portret panny Blane.

Nancy szeroko otworzyła oczy.

- To była młodsza panna Blane, ta, która grała Julię. Od razu wydała mi się znajoma.

Tranville pochylił się ku Nancy.

- Jestem przekonany, że młoda panna Blane odniesie wielki sukces i dorówna sławą swej matce.

- Rozumiem... - powiedziała cicho Nancy, wyraźnie skrepowana.

Jack sięgnął po kolejną kromkę chleba. Tranville wyciągnął kosztowny złoty zegarek.

- Robi się późno. Muszę już iść.

- Naprawdę musisz opuścić nas tak wcześnie, Lionelu? - Pani Vernon wyraźnie zmarkotniała.

Tranville pochylił się i pocałował ją w czubek głowy.

- Interesy czekają, moja droga. Obiecuję, że wkrótce znów cię odwiedzę. - Położył rękę na ramieniu Nancy. - Miło mi było cię widzieć. - Skinąwszy głową Jackowi, wyszedł z pokoju.

Nancy zmusiła się do uśmiechu.

- A więc młodsza panna Blane pozuje ci do portretu. Powiedz nam, czy jest tak piękna jak na scenie?

Jack starał się nie okazać żadnych emocji.

- Tak mi się wydaje.

- To wspaniale. A jak ci idzie malowanie?

- Dopiero zaczęliśmy pracę.

- Chciałabym zobaczyć ją z bliska. Kiedy przyjdzie do ciebie na sesję?

- Dzisiaj o drugiej.

- Mogę zajrzeć i ją poznać? - Popatrzyła na brata błagalnym wzrokiem. - Obiecuję, że wpadnę tylko na chwilę i nie będę cię rozpraszać.

Jack popatrzył na smutną, ściągniętą bólem twarz matki.

- Nie widzę powodu, dla którego miałbyś się nie zgodzić - powiedziała pani Vernon, choć wolałaby nie pozwolić córce na spotkanie z młodą, piękną kobietą, która lada chwila miała ją zastąpić w łóżu Tranville'a.

Jack nie potrafił znaleźć pretekstu do odmowy.

- Dobrze - powiedział w końcu. - Przyjdź o drugiej.

## Rozdział szósty

Nancy unosiła kolejne pęczki ziół na straganie w Covent Garden. W końcu wybrała bukietik lawendy, powąchała go i włożyła do kosza trzymanego przez jej przyjaciela Michaela. Sięgnęła do torebki po portmonetkę.

- Ja zapłacę. - Michael podał straganiarce monetę. - To będzie mój prezent dla ciebie.

- Dziękuję. Rozpieszczasz mnie.

- Cała przyjemność po mojej stronie.

Minęli kramy z warzywami i owocami. Okutane w wełniane chusty handlarki stały z czerwonymi od zimna policzkami. Ich oddechy zmieniały się w obłoczki pary, gdy zachwalały towar.

- Dziękuję, że mnie tu przyprowadziłeś - powiedziała Nancy. - Czasami mam wrażenie, że oszaleję, kiedy tak siedzę przez cały dzień w salonie, patrząc, jak mama pochyla się nad robótką.

- Powtarzam: cała przyjemność po mojej stronie.

Westchnęła i zapatrzyła się przed siebie.

- Coś cię trapi - zauważył Michael.

- Dlaczego tak sądzisz? - Popatrzyła na niego z niepokojem.

Michael nie dorównywał wzrostem jej bratu. Był też szczuplejszy, lecz Nancy mogła zawsze liczyć na jego przyjaźń. Teraz zaskoczył ją przenikliwością.

- Nic mnie nie trapi - odparła zdecydowanym tonem. Ujął ją pod ramię i zajrzał w jej łagodne niebieskie oczy.

- Mnie nie oszukasz.

Wydawał się szczerze zatroskany; nie wiedziała jednak, czy może mu się zwierzyć.

- Martwisz się o mamę? - zapytał.

Cofnęła rękę.

- Dlaczego tak ci się wydaje?

Uśmiechnął się pojednawczo.

- Tylko zgadywałem.

Szli w milczeniu, każde oddzielnie. Nancy przystanęła przed straganem, na którym znajdowały się klatki z jeżami. Te stworzenia stały się ostatnio bardzo popularne w Londynie, gdyż zjadały robactwo stanowiące plagę w miejskich domach.

Pochyliła się i dotknęła maleńkiego jeża, który wysunął ryjek zza krat. Podobało jej się, że Michael nigdy nie próbował jej zmusić do wyznań, jak miała to w zwyczaju mama, gdy chciała poznać przyczynę jej zmartwień. Mama, podobnie jak Michael, zawsze wiedziała, kiedy Nancy coś smuci. Tym razem nie mogła się zwierzyć matce.

Popatrzyła na Michaela, który uśmiechnął się współczująco.

- Och - wsunęła dłoń pod jego ramię - naprawdę nie wiem, co mnie niepokoi.

W odpowiedzi jedynie uściśnął jej rękę.

Gdy mijali kram z kwiatami, zatrzymał się i kupił mały bukiet dla Nancy. Często obdarowywał ją różnymi drobiazgami. Był jej najlepszym przyjacielem; jedynym, jakiego miała w Londynie. Mimo że spotkała go dopiero minionego lata, czuła się tak, jakby znała go całe życie. Postanowiła uchylić rąbka tajemnicy.

- Co wiesz na temat mojej rodziny? - spytała.

Nie odpowiedział od razu.

- Wiem, że twój ojciec zmarł, kiedy byłaś małą dziewczynką. I że... - Zawahał się.

- Wychowałem się w Bath. Wiem, że lord Tranville... utrzymywał twoją rodzinę.

W jego głosie nie wyczuła potępienia, co zachęciło ją do wyznań.

- Miałam za złe mamie, że przyjęła pomoc lorda Tranville'a, ale teraz jestem przekonana, że to wynik wielkiej namiętności, która ich połączyła.

Zerknęła na Michaela, aby się przekonać, czy na jego twarzy pojawi się wyraz powątpiewania, który tylekroć widziała u Jacka. Michael wydawał się jednak zajęty wyłącznie słuchaniem.

- Przyzwyczaiłam się do tego... - ciągnęła - to znaczy do wizyt, które od czasu do czasu składał mojej mamie, ale... myślę, że spędził z nią ostatnią noc, bo rano zjadł u nas śniadanie. To mnie zaniepokoiło.

- Dlaczego? - spytał Michael.

Przystanęła i spojrzała mu w oczy.

- Pamiętasz, jak wczoraj zobaczyliśmy go z tą młodą damą?

Kiwnął głową.

- To również nie daje mi spokoju - powiedziała, czując ściskanie w gardle. - To była młoda aktorka, która gra rolę Julii. Jack maluje jej portret.

- Jack maluje jej portret? - powtórzył Michael, zaskoczony.

Przytaknęła skinieniem głowy.

- Lord Tranville zamówił u niego portret. Myślę, że... że ona może mieć zakusy na lorda Tranville'a.

- Dlaczego tak sądzisz? - Rzeczowy, spokojny ton głosu Michaela podziałał kojąco na Nancy.

- To tylko przeczucie. Kiedy wspomniałam, że widziałam ją z Tranville'em, wszyscy zaczęli się dziwnie zachowywać. A Jack chyba najdziwniej.

Michael ujął zbłąkany kosmyk Nancy i wsunął go jej za ucho.

- Z pewnością istnieje jakieś inne wyjaśnienie tego, o czym mówisz. Proponuję, żebyśmy obmyślili plan i dowiedzieli się, co naprawdę się za tym kryje.

W jednej chwili opuściło ją całe napięcie.

- Pomożesz mi?

Uśmiechnął się do niej.

- Pomogę.

Ujęła go pod ramię i ruszyli ulicą.

- Co robisz dzisiaj o drugiej?

Tuż przed drugą Nancy i Michael zapukali do drzwi pracowni Jacka.

- Chyba nie gniewasz się, że przyszłam z Michael'em. - Nancy przestąpiła próg i zdjęła płaszcz.

- Oczywiście, że nie. - Jack podał rękę Michaelowi. - Nie masz dziś zajęć?

- Nie. - Michael postawił kosz na stoliku przy drzwiach. - Wybrałam się z twoją siostrą na targ.

- Kupiliśmy herbatniki. - Nancy powiesiła płaszcz. - Mogę nastawić wodę na herbatę? - Wyjęła pudełeczko z koszyka i podała Jackowi.

- Zostaniecie na herbatę? - Jack nie wydawał się uszczęśliwiony



Plan Nancy i Michaela przewidywał, że wypiją razem herbatę, by Nancy miała dość czasu na ocenę panny Blane.

- Będziemy mogli chwilę porozmawiać. - Przeszła do kuchni.

Jack udał się za nią.

- Przecież chciałaś jedynie poznać pannę Blane.

Uśmiechnęła się z miną niewiniątka.

- Byłoby nieuprzejmie, gdybym nie zamieniła z nią paru zdań.

Dołączył do nich Michael.

- Mój ojciec przesyła serdeczne pozdrowienia. Dostałem wczoraj od niego list.

Michael, jak zwykle, potrafił zmienić temat w najodpowiedniejszym momencie.

Nancy spojrzała na niego z wdzięcznością.

- Mam nadzieję, że dobrze się czuje.

- Wręcz doskonale. - Michael wskazał płótno rozpostarte na podłodze. - Potrzebujesz pomocy? Często pomagałem ojcu.

- Nie, dziękuję. Już skończyłem. Po prostu nie zdążyłem posprzątać.

Jack przyniósł szczotkę i zmiotł kawałki płótna i drewna z podłogi.

- Ja to wyrzucę. - Michael wyjął szufelkę z ręki Jacka. - Tylko powiedz mi, gdzie jest pojemnik.

- Za kuchennymi drzwiami. - Jack uniósł ramę obitą płótnem i oparł o ścianę.

- Dobrze nam idzie? - spytał szeptem Michael, mijając Nancy.

- Jak dotąd, doskonale. - Wychyliła się zza kotary. - Znalazłam tylko trzy filiżanki - zwróciła się do Jacka.

Poszukaj za słoikami z pigmentami - poradził. Przeszukawszy szafkę, zauważyła filiżankę i umieściła ją na tacy.

- Czy panna Blane zaraz tu będzie? Mogę już nalewać gorącą wodę.

Jack nie sprawiał wrażenia zachwyconego.

- Wczoraj przyszła punktualnie.

Nancy zaczerpnęła tchu, nie dając się onieśmielić.

- Muszę się przebrać. - Jack przeszedł do sypialni.

Do pracowni powrócił Michael.

- Rozumiem, że zostajemy na herbatę.

Nancy uśmiechnęła się.

- Oczywiście. - Wniosła tacę do pracowni. - Pomóż mi przesunąć meble.

Ustawili cztery krzesła wokół stolika. Nancy przyniosła kwiaty, które dał jej Michael.

- Teraz postawię je na stole, a potem wezmę do domu. - Znalazła pusty słoik, który posłużył za wazon. - Dziękuję, Michaelu. Będziemy mieli mnóstwo czasu, żeby ją ocenić.

Jack wyszedł z sypialni, zapinając surdut. Rozejrzał się po pokoju.

- Nie możecie długo tu zabawić. Mam pracę. Rozległo się pukanie do drzwi.

- Ja otworzę. - Nancy podbiegła do drzwi, zanim Jack zdołał zaprotestować.

W progu stał Tranville. Panna Blane trzymała go pod ramię.

- Lord Tranville! - Nancy posmutniała.

Potwierdzały się jej najgorsze obawy.

- Nancy! - Tranville pocałował ją w policzek i odsunął się, robiąc miejsce pannie Blane.

Ariana popatrzyła na Nancy i powiedziała:

- Jest pani siostrą...

- Jacka - wtrącił Tranville.

Nie odrywała wzroku od Nancy.

- Pamiętam pani portret z wystawy. - Wyciągnęła rękę. - Jestem Ariana Blane.

Pamiętała portret? Słowa aktorki sprawiły Nancy przyjemność. Dygnęła.

- Panna Vernon.

- Miło mi panią poznać.

Lord Tranville stał, gotów w każdej chwili pośpieszyć pannie Blane z pomocą przy zdejmowaniu peleryny, lecz szybko zdjęła ją sama i powiesiła na kołku obok okrycia Nancy.

Jack postąpił o krok.

- Pozwolą państwo, że przedstawię naszego przyjaciela. - Wskazał Michaela. -

Lordzie Tranville, panno Blane, to jest przyjaciel rodziny, pan Harper.

- To dla mnie wielki zaszczyt. - Michael się skłonił.

- Cieszę się, że mogę pana poznać - powiedziała panna Blane. Zabrzmiało to szczerze. - Wydaje mi się, że widziałam państwa wczoraj na ulicy. Co za zbieg okoliczności! Och, herbata na stole. - Zwróciła się do Jacka: - Nie trzeba było robić sobie tyle kłopotu.

- Moja siostra wszystkim się zajęła - wyjaśnił.

Lord Tranville natychmiast wysunął najwygodniejsze krzesło dla panny Blane.

- Nie mogę tu długo zabawić. - Zajął miejsce obok niej.

Michael przyniósł piątą filiżankę i krzesło, a Nancy rozlała herbatę.

Jak było do przewidzenia, najpierw poruszono temat pogody. Wszyscy wyrazili nadzieję, że luty będzie znacznie cieplejszy niż styczeń.

W pewnej chwili panna Blane odezwała się do Nancy:

- Pozwolę sobie powtórzyć, że jestem bardzo zadowolona, że widziałam pani portret. Nie pamiętam, kiedy coś wywarło na mnie tak wielkie wrażenie.

- Nancy to bardzo piękna dziewczyna - powiedział Tranville, tak jakby Nancy nie siedziała naprzeciw niego za stołem. - Jestem pewien, że uroda umożliwi jej korzystne zamążpójście.

Nancy pochyliła głowę, zażenowana. Jack poczerwieniał na twarzy.

- To są sprawy rodzinne - rzekł gniewnie.

Tranville wymownie się uśmiechnął.

- Jack, chłopcze, dobrze wiesz, że twoje sprawy rodzinne dotyczą również i mnie. Możesz być spokojny, że zadbam o odpowiednią partię dla twojej siostry. Moja pozycja stwarza duże możliwości. Znam odpowiednie osoby. Jestem pewien, że bez trudu znajdę niejednego kandydata chętnego do ożenku z twoją siostrą.

Nancy czuła, że palą ją policzki. Panna Blane roześmiała się.

- Jestem pewna, że pan żartuje. Przecież na pierwszy rzut oka widać, że panna Vernon bez niczyjej pomocy przyciągnie odpowiednich adoratorów.

Tranville popatrzył na nią przeciągle.

- Przyznaję, że prezentuje się bardzo atrakcyjnie. Jej młodość i uroda bardzo ułatwią mi zadanie.

Jack opanował się z najwyższym trudem.

- To nie należy do pańskich obowiązków.

Nawet Michael był wyraźnie zakłopotany.

- Niech pan przestanie, Tranville - skarciła go pogodnie panna Blane. - To już staje się mało zabawne. Gdyby był pan teraz na scenie, opuściłabym kurtynę i przywołała tancerzy baletu.

Tranville miał ochotę się bronić, lecz panna Blane szybko odwróciła się w stronę Nancy.

- Proszę mi powiedzieć, panno Vernon, czy widziała już pani magazyny dla dam na ten miesiąc? Panuje teraz moda na marszczone rąbki sukni, co bardzo mi się podoba. Muszę sprawić sobie taką suknię.

Nancy wiedziała doskonale, że panna Blane celowo zmieniała temat.

- Myślę, że to miła odmiana. - Popatrzyła na Michaela. - Co o tym sądzisz?

Wydawał się zaskoczony w nie mniejszym stopniu niż Nancy, lecz szybko podjął temat.

- Przypomina mi to ozdobniki występujące obecnie w rzemiośle artystycznym. To nowy trend.

Jack z podziwem wpatrywał się w pannę Blane.

- Michael jest studentem architektury w Royal Academy - wyjaśnił i spojrzał na lorda Tranville'a. - Pan Harper jest synem sir Cedrica. Zna pan sir Cedrica, artystę portretowego z Bath?

- Tego, który wprowadził cię do tego interesu? - spytał ironicznie Tranville. - I ma luje kuracjuszy przyjeżdżających do wód?

- Sir Cecil jest członkiem Royal Academy. - Jack spurpurowiał z oburzenia.

- A kapelusze? - Panna Blane ponownie zagadnęła Nancy. - Co pani sądzi o najnowszych fasonach kapeluszy?

Nancy nie miała nic do powiedzenia na ten temat, jednak zaczęła paplać coś o wstążkach i koronkach, aż wreszcie lord Tranville wstał.

- Muszę wyjść w ważnej sprawie. - Skłonił się zdawkowo Nancy, a potem wykonał znacznie głębszy ukłon przed panną Blane. - Zechcą mi państwo wybaczyć.

Jack wstał, lecz nie zadał sobie trudu, by odprowadzić nieproszonego gościa. Panna Blane wciąż mówiła coś na temat nakryć głowy. Gdy za Tranville'em zamknęły się drzwi, natychmiast urwała.

- Tak jest świetnie. - Wypiła łyk. - Czy pokazał już pan efekty naszej pracy siostrze i panu Harperowi?

- Nie. - Jack wciąż miał pochmurną minę.

- Proszę to zrobić koniecznie. - Chciałabym poznać państwa zdanie.

- Chętnie zobaczę rysunki - dodała Nancy.

Jack nie zdążył jeszcze ochłonąć po wypowiedziach Tranville'a na temat Nancy. Podobne zuchwalstwo nie mieściło mu się w głowie. Ten człowiek uważał, że ma prawo układać życie jego siostry! Wstał z ociąganiem.

- Szkice są w sypialni. Zaraz przyniosę.

Zniknął w głębi mieszkania.

Tranville wyraził nadzieję, że wybrany przez niego mężczyzna uzna Nancy za odpowiednią kandydatkę na żonę! Jack dobrze pamiętał kompanów generała z wojska. Byli to ludzie pokroju Tranville'a, mający na względzie głównie zaspokojenie własnych ambicji, a nie dobro podległych im żołnierzy.

Otworzył okazałych rozmiarów kufer, w którym trzymał rysunki. Szybko przejrzał prace z poprzedniego dnia i wybrał dziesięć. Odkładając pozostałe, zauważył róg skórzonej teczki, w której przechowywał rysunki z czasów wojny, z Badajoz.

Zamknął oczy, czując, że tak jak poprzedniego dnia powracają wyobrażenia strasznych chwil. Edwin zasłużył na karę za to, co zrobił, a Tranville powinien wstydzić się takiego syna.

Zatrzasnął wieko kufra. Jack, Deane i Landon postanowili zachować wszystko w tajemnicy. Dał na to słowo. Nieraz się zastanawiał, jak ułożyły się losy Francuzki i jej syna. Czy Deane'owi udało się umieścić ich w bezpiecznym miejscu? Czy przeżyli wojnę? Czy ta noc powracała do nich w koszmarach sennych, tak jak do niego?

Potrząsnął głową, starając się wyprzeć te myśli i zaniósł rysunki do pracowni. Michael zdjął ze stolika kwiaty i tacę, robiąc miejsce na szkice. Jack pokazywał rysunki po

kolei, a żywa dyskusja, następująca po każdej prezentacji, pomogła mu wrócić do świata, który dawał mu wytchnienie, do świata sztuki.

- Podoba mi się ta półleżąca poza - powiedział Michael. - Przypomina mi obrazy Wenus Tycjana.

Panna Blane roześmiała się.

- Panie Harper! Tamte dzieła przedstawiają nagą Wenus! Widziałam ryciny...

Michael zaczerwienił się.

- Miałem na myśli kompozycję.

Nakryła jego dłoń swoją.

- Wiem, że o to panu chodziło. - Spojrzała na Jacka. - Proszę sobie wyobrazić, że pańskie prace będą w przyszłości porównywane z dziełami Tycjana.

Jack pokręcił głową.

- Szczerze w to wątpię. - Popatrzył na studium leżącej Ariany. Nie było żadnych wątpliwości: przedstawił ją jak Tycjan nagą Wenus.

- Jest pan naprawdę utalentowany - powiedziała z przekonaniem Ariana.

Nancy wskazała rysunek.

- Jest bardzo ładny, ale nie ma w nim nic, co mogłoby nas przekonać, że widzimy Kleopatę. Myślałam, że zamierzasz namalować pannę Blane jako Kleopatę.

Ta uwaga przywiodła Jackowi na myśl opinię Tranville'a, wyrażoną poprzedniego dnia.

- To dopiero początek - uciał.

Ariana uniosła szkic.

- Nie wiem, jak powinna wyglądać egipska królowa. - Popatrzyła na Jacka. - Może naprawdę byłoby dobrze, gdybym ją przypominała?

- Na pewno w teatrze jest odpowiedni kostium - wtrąciła Nancy.

- Tak sędzę. - Ariana zamyśliła się. - Chciałabym wyglądać tak, jakbym zstąpiła z egipskiego malowidła.

W trakcie rozmowy w głowie Jacka powstała wizja portretu. Oczami wyobraźni ujrzał Arianą odzianą w luźną szatę, ze złotą biżuterią na szyi i nadgarstkach, na egipskim łożu, z piramidami w tle.

- W Royal Academy są ryciny przedstawiające egipskie fryzy i rzeźby - powiedział Michael. - Moglibyśmy je dzisiaj obejrzeć.

- Mógłby pan nam w tym pomóc? - zapytała Ariana.

- Oczywiście, że mógłby! - Nancy zerwała się na nogi. - Chodźmy tam od razu. Możemy, Jack?

Spodobał mu się pomysł obejrzenia dzieł sztuki z okresu, którego miała dotyczyć praca.

- Muszę tylko pójść po szkicownik i ołówek.

Wkrótce szli Stranem w stronę Somerset House. Wiatr znad Tamizy łopotał spódnicami dam i groził zerwaniem kapelusza Jacka. Michael i Nancy wysforowali się naprzód, pogrążeni w rozmowie, tak że ich głowy niemal się stykały. Uszu Jacka dobiegły strzępki zdań.

- Zupełnie się tego nie spodziewałam...

Nancy bez wątpienia mówiła o spotkaniu z Arianą. Jack powinien był się domyślić, że Tranville będzie jej towarzyszył. Portret stanowił jedynie część planu uwiedzenia Ariany. Zastanawiał się, czy Tranville sprawił jej już inne podarunki.

Dziwiło go zachowanie Ariany w obecności Tranville'a. Wydawała się go ignorować i dopiero jego śmiałe wypowiedzi na temat szukania kandydata na męża dla Nancy wywołały jej zdecydowaną reakcję. Przeklęty zuchwalec, pomyślał.

Ariana trzymała Jacka pod ramię.

- Wydają się bardzo szczęśliwi. Coś mi się widzi, że Nancy nie potrzebuje swatki.

- Co pani chce przez to powiedzieć? - Znów odniósł wrażenie, że Ariana czyta w jego myślach.

- Chodzi mi o tych dwoje. - Ruchem głowy wskazała Nancy i Michaela. - Myślę, że się kochają.

Popatrzył w ich stronę.

- Są przyjaciółmi. Michael jest naszym jedynym przyjacielem w Londynie.

- Przecież ma pan jeszcze innych bliskich ludzi.

- Na przykład...?



Popatrzyła na niego, wyraźnie rozczarowana. Przez dłuższą chwilę szli w milczeniu.

- Nie uważa pan Tranville'a za przyjaciela? On twierdzi, że nim jest.

Jack zeszywniał.

- Na pewno nie jest - rzekł stanowczo.

Potrząsnęła go za ramię.

- Zachowuje się pan tak, że mam ochotę spytać o to, co zaszło między wami, ale wątpię, czy uzyskam odpowiedź.

- To sprawa rodzinna.

Dobry nastrój gdzieś się ulotnił. Jack nie potrafił wymazać z pamięci obrazu Tranville'a siedzącego przy stole w jadalni matki. Nie po raz pierwszy Tranville wykorzystał matkę Jacka, tyle że tym razem biedaczka nie mogła mieć żadnych złudzeń.

Milczał.

Ciszę przerwała Ariana.

- Ilekroć Tranville pojawia się osobiście albo w rozmowie, pochmurnieje pan i sprawia wrażenie obrażonego na cały świat. Zdaje pan sobie z tego sprawę?

- Proszę mi wybaczyć - odpowiedział głosem zabarwionym ironią. - Postaram się być weselszy.

Trzepnęła go w ramię.

- Nie o to mi chodzi. Lubię pana, Jack. Chciałabym się z panem zaprzyjaźnić. Moglibyśmy miło spędzać czas...

- Łączy nas tylko portret - przerwał jej. - Nic więcej.

- Chodzi o moją przyszłość. Chciałabym, żeby obraz pomógł mi w odniesieniu sukcesu na londyńskiej scenie. A pan na pewno liczy na to, że dzięki niemu zyska nowe zamówienia. Obojgu nam zależy na pieniądzach i sławie, które może zapewnić nam pana dzieło.

- Zauważ, że mówisz o interesach, Ariano.

Szeroko otworzyła oczy, a na jej wargach pojawił się uśmiech. Dopiero wtedy uświadomił sobie, że zwrócił się do niej po imieniu, choć zaledwie przed chwilą zapewniał ją o konieczności zachowania odpowiedniego dystansu.

- Jack. - Wymówiła jego imię jakby dla potwierdzenia zmiany. - Twoje prace są bardzo dobre, ale wcale nie wyjątkowe. Stoisz w miejscu. Na szkicach wyglądam płasko, mam w sobie tyle życia co lalka. Na pewno potrafisz narysować mnie lepiej, ale musimy pokonać tę barierę, która nas dzieli.

- Nie ma żadnej bariery - zaprzeczył, choć dobrze wiedział, że Ariana ma rację.

- Tą barierą jest Tranville - dodała.

- W takim razie jest to przeszkoda nie do pokonania. Tranville płaci za malowanie. Jest w tym wszystkim równie ważny, jak ty czy ja.

Zagroziła mu drogę.

- Pieniądze nie dają mu pełni praw. - Położyła mu ręce na ramionach. - On nic dla mnie nie znaczy, Jack.

Kaptur zsunął się jej z głowy i jej twarz była teraz skąpana w miękkim świetle rozproszonym przez chmury przesłaniające słońce. Wiatr zwiewał kasztanowe kosmyki na policzki, u zielone oczy przybrały szarą barwę nieba. W jej oczach kryło się błaganie. Wspięła się na palce, przysuwając twarz do jego twarzy.

Spojrzał na jej usta, starając się zapamiętać ich barwę tego pochmurnego popołudnia. Pochylił się nad Ariana, zauważając jej długie ciemne rzęsy i objął ją w pasie.

Rozległ się turkot powozu. Jack drgnął i się cofnął.

Zobaczył, że jego siostra i Michael oddalili się na znaczną odległość.

- Musimy już iść - powiedział. Powstrzymała go jeszcze gestem dłoni.

- Czy w takim razie możemy być przyjaciółmi? I zapominać o Tranville'u, kiedy jesteśmy razem?

Patrząc na nią, Jack uświadomił sobie, że marzy o czymś więcej niż tylko o przyjaźni.

Niełatwo będzie mu zapomnieć o Tranville'u, jednak znacznie trudniej byłoby zwalczyć pożądanie, jakie wzbudzała w nim Ariana. Spoglądała teraz na niego z taką powagą i nadzieją, że nie był w stanie niczego jej odmówić.

- Dobrze, Ariano. Będę się starał.

## Rozdział siódmy

Ariana wyszła z Somerset House w towarzystwie Jacka. Przepelniało ją poczucie głębokiego zadowolenia. Jedynie na scenie czuła podobną lekkość i radość. Wprawdzie nie udało jej się przekonać Jacka, że może jej zaufać, jednak kilka razy zwrócił się do niej po imieniu i omal jej nie pocałował. Czuła skrzydła u ramion; miała wrażenie, że świat leży u jej stóp.

W Somerset House Jack szybko szkicował kolejne ryciny przedstawiające dzieła sztuki egipskiej. Był tak pochłonięty rysowaniem, że zapomniał o obecności Ariany, siostry i jej przyjaciela. Ariana nie miała nic przeciwko temu. Z zafascynowaniem obserwowała go przy pracy.

Teraz, gdy minęły cudowne chwile spędzone w Somerset House, żałowała, że niedługo będzie musiała się rozstać z Jackiem. Wracając na Adam Street, rozmawiali o egipskich rycinach.

- Nie wszystko mi się podobało - powiedziała Ariana, idąca pomiędzy Jackiem a jego siostrą. - Kobiety wyglądały bardzo dziwnie... - Zadrżała na wspomnienie ryciny przedstawiającej płaskorzeźbę królowej, tulącej do nagiej piersi chłopca równie wysokiego, jak ona.

Michael uśmiechnął się.

- Czy to znaczy, że nie chciałaby pani zostać przedstawiona z profilu, z jakimś dziwnym symbolem na czubku głowy?

- Chcę wyglądać królewsko i tajemniczo. - Popatrzyła na Jacka, który od dłuższego czasu milczał. - Co o tym sądzisz? Czy powinnam się dać namalować z profilu?

- Niekoniecznie.

Było aż nadto oczywiste, że nie przysłuchuje się rozmowie, pogrążony w zadumie.

- W akademii mamy zajęcia z projektowania klasycznej architektury, ale w rzeczywistości będziemy projektować współczesne budynki - ciągnął Michael. - Jack mógłby zastosować się do tych samych reguł.

- Czy to znaczy, że nie muszę pozować z profilu? - Ariana żartobliwie uniosła brew.

Jack uśmiechnął się.

- Nie musisz. Kleopatra będzie tak władcza i tajemnicza, jak sobie tego życzysz.

- Cieszę się, że egipskie kobiety nosiły rozpuszczone włosy - powiedziała Nancy. -

Ma pani takie piękne włosy... Będą wspaniale wyglądać na portrecie.

- Dziękuję za miły komplement, panno Vernon - odparła Ariana.

Bardzo polubiła siostrę Jacka, młodą, niewinną i pełną nadziei; dokładnie taką jak na portrecie. Czuła, że Michael co najmniej podziela jej zdanie na temat Nancy. Zwróciła się do Jacka:

- Może poszedłbyś ze mną do teatru. Obejrzelibyśmy kostiumy i rekwizyty i zastanowilibyśmy się, co mogłoby się przydać egipskiej królowej.

- Wspaniały pomysł - pochwalił Michael.

- Sama chętnie bym obejrzała teatralne kostiumy! Zgódź się, Jack - powiedziała z zapalem Nancy.

Jack popatrzył na Ariane.

- Skoro sobie tego życzysz...

Doszli do Adam Street. Nancy pociągnęła Michaela za rękaw.

- Mama będzie się zastanawiać, co się z nami stało. Niedługo obiad.

Michael najwyraźniej został wcześniej zaproszony na posiłek. Nancy i Michael pożegnali się i szybko odeszli. Ariana została z Jackiem.

- Odprowadzisz mnie do domu? - zapytała.

- Oczywiście - odparł bez zastanowienia.

- Bardzo przyjemnie spędziłam dzisiejszy dzień - wyjawiała.

Jack milczał, więc wymierzyła mu lekkiego kuksańca.

- Nic się nie stanie, jeśli mi powiesz, że tobie także było miło.

Popatrzył na nią i niespodziewanie się uśmiechnął.

- Bardzo przyjemnie spędziłem czas. Pomyślała, że już zdażyła się w nim zadurzyć.

Przeszli przez Maiden Lane. Ariana miała ochotę tańczyć z radości. Cóż by się stało, gdyby otworzyła serce przed Jackiem? Nie była już dziewiętnastoletnią niewinną gąską. Gdy stanęli przed drzwiami, chwyciła go za rękę.

- Proszę, wejdz na chwilę.

Nie zastanawiał się długo.

- Dobrze, ale tylko na górę.

Otworzyła drzwi, wciąż trzymając go za rękę. Nie była w stanie opanować rado-  
snego podniecenia. W holu spotkali Betsy niosącą naręczę prania.

- Panno Blane, jakiś dżentelmen czeka na panią.

- Dżentelmen? - Popatrzyła na Jacka, który zdążył już się cofnąć. - Kto to?

- Jakiś lord.

- Tranville - odgadł Jack.

- Nie jestem pewna; nie zapamiętałam - odpowiedziała służąca. - Nie wiem, kto go  
wpuścił. Czeka już ponad godzinę.

Ariana miała wrażenie, że spada w głąb studni.

- Jest w salonie?

- Tak - potwierdziła dziewczyna i wbiegła na schody. Jack ruszył do wyjścia.

- Do widzenia, panno Blane.

Wciąż trzymała go za rękę.

- Proszę, wejdz ze mną na górę.

- Masz gościa.

- Może zaczekać - powiedziała.

- Nie powinnaś okazywać mu lekceważenia.

- Odeślę go.

Pokręcił głową.

- Ale przyjdiesz obejrzeć kostiumy?

Spojrzał wymownie w stronę salonu.

- Jack, nie odmawiaj.

- Wybierz taki, który ci się podoba, i przynieś go do pracowni.

Nakryła jego dłoń swoją.

- Jack, proszę...

- Sama powiedziałaś, że ten portret jest dla nas życiową szansą. Powinniśmy po-  
prześcić na sprawach zawodowych.

- Dam sobie z nim radę.

- Obawiam się, że go nie doceniasz. Przyjdź jutro do pracowni po południu. - Jack przekreślił gałkę u drzwi. Dopiero wtedy Ariana uwolniła jego dłoń.

Zamknęła drzwi. Zdjęła płaszcz, kapelusz i rękawiczki i niedbale rzuciła je na najbliższe stojące krzesło. Kilka razy przemierzyła hol, starając się opanować skołatane nerwy przed spotkaniem z Tranville'em. Jack mylił się w ocenie tego człowieka. Owszem, Tranville miał wygórowaną opinię na swój temat, a na dodatek stał się ofiarą własnej pożądlivosti. Była pewna, że doskonale sobie z nim poradzi. Weszła do salonu. Tranville spał w fotelu; brodą dotykał torsu. Ariana chrząknęła, a on otworzył oczy i zerwał się na nogi.

- Panna Blane!

Stojąc w progu, powiedziała jak najspokojniej:

- Milordzie...

Postąpił krok w jej stronę.

- Gdzie się pani podziewała, moja droga?

Uniosła brwi, lecz pytanie pozostało bez odpowiedzi.

- Bałem się, że coś się pani stało.

- Dlaczego?

- Wstąpiłem do pracowni Jacka, ale nikt mi nie otworzył. Pomyślałem więc, że poszła pani do domu, i postanowiłem panią odwiedzić.

- Poszedł pan do pracowni? - zdziwiła się. - Przecież prosiłam pana, żeby tego nie robił.

- Och, dałem pani mnóstwo czasu. Prawdę mówiąc, chciałem spotkać się z Jackiem.

- Dał mi pan mnóstwo czasu? - powtórzyła. - Nie wiedziałam, że mój czas należy do pana.

- Źle mnie pani zrozumiała. Po prostu byłem w pobliżu i chciałem zobaczyć, jak postępuje praca.

- Był pan w pobliżu - powtórzyła z przekąsem.

- Jak najbardziej. - Zaczynał zdawać sobie sprawę z tego, że Ariana jest niezadowolona. - Proszę mi powiedzieć, gdzie pani była.

Milczała, nie chcąc wypowiedzieć słów, których mogłaby potem żałować.

- Oczekuje pan, że będę się tłumaczył z tego, co robię i dokąd chodzę? - spytała lekko podniesionym tonem.

- Ależ skąd - zapewnił ją łagodnie. - Byłem tylko ciekaw.

- Proszę usiąść, sir.

Nie odszedł daleko od fotela, w którym się zdrzemnął. Posłusznie usiadł.

Zajęła miejsce w fotelu stojącym w bezpiecznej odległości.

- Jestem bardzo zdenerwowana.

- Zdenerwowana? - Wychylił się ku niej, wyraźnie zatroskany.

Ariana zmusiła się do uśmiechu.

- Czegoś tu nie rozumiem. - Wiedziała, że zawsze opłaca się wziąć winę na siebie.

- Sądziłam, że ten portret nie łączy się dla mnie z jakimikolwiek zobowiązaniami wobec pana...

- Zapewniam panią, że tak jest.

- Myślałam, że zgodził się pan nie przychodzić do pracowni.

- Obiecałem, że nie będę państwu przeszkadzał w czasie pozowania.

Przechyliła głowę, jakby czegoś nie rozumiejąc.

- A gdybym pozowała w chwili, kiedy pan zapukał, to nie przeszkodziłby nam pan w pracy?

- Przecież pani tam nie było.

Musiała zachować czujność.

- Chodzi o to, że albo pana źle zrozumiałam, albo nie dotrzymuje pan słowa. -

Uśmiechnęła się. - A nie wierzę, że jest pan człowiekiem, który za nic ma dane słowo.

W jego oczach pojawiły się gniewne błyski.

- Oczywiście, że dotrzymuję słowa.

Wstała.

- To wspaniale!

On także wstał.



- W takim razie mogę nadal pozować do portretu... - znów się uśmiechnęła - nie bojąc się o to, że wydaje się panu, iż kupił zarazem moje zainteresowanie...

- Miałbym kupować pani zainteresowanie! - Tranville podniósł głos.

- ...i mam pańskie słowo na to, że nie będzie mnie pan szukał w pracowni i przeszkadzał w tym, co uważam za bardzo poważne przedsięwzięcie? - Bardzo zależało jej na zachowaniu prywatności.

Pozostało mu tylko kiwnąć głową na znak zgody, chociaż najwyraźniej mu się to nie podobało. Ariana postąpiła kilka kroków i stanęła przy drzwiach. Gapił się na nią, nie wierząc, że daje mu do zrozumienia, iż powinien teraz wyjść. Podeszedł do niej i uniósł jej dłoń do warg, po czym powiedział łagodnie:

- Darzę panią wielkim, szacunkiem. Wszystko, co robię, wynika z mojego podziwu dla pani, chęci spełnienia jej życzeń.

Dygnęła i wolno cofnęła rękę.

- Pochlebia mi pan, ale obawiam się, że muszę wyjawic, co mi leży na sercu. Moje uczucia nie zależą od wyświadczonych mi uprzejmości. Będę zmuszona zrezygnować z portretu, jeśli spodziewa się pan ode mnie jakiejś formy wynagrodzenia. - Ariana postawiła wszystko na jedną kartę. Gdyby Tranville zrezygnował z konterfektu, zniweczyłaby możliwość zyskania rozgłosu, a Jack utraciłby zamówienie.

Sprawiał wrażenie dotkniętego jej słowami. Zraniła jego próżność i mogła obawiać się zemsty. Musisz go udobruchać, powtarzała sobie w myślach. Dotknęła ramienia Tranville'a.

- Nie chodzi mi o pana, sir. Po prostu jestem świadoma swej wartości i nikt nie jest w stanie kupić moich uczuć. Dobrze pan wie, jak to jest w teatrze i jacy są niektórzy mężczyźni. Moim zdaniem, ktoś, kto stara się sprzedać za jak najwyższą cenę, jak na ironię traci. - Powiedziała to szczerze. - Nigdy nie przyjmuję prezentów, jeśli łączą się z nimi zobowiązania.

Zmarszczył czoło, jakby głęboko się zastanawiając nad jej zdumiewającym wyznaniem.

- Może pani nadal pozować do obrazu...

- Dziękuję. - Uśmiechnęła się zadowolona, że nie przegrała pojedynku. Wyciągnęła rękę. - Będzie mi miło spotkać się z panem w teatrze. - Miała nadzieję, że zrozumie, iż ona nie życzy sobie także jego wizyt w pensjonacie. - Z przyjemnością tam z panem porozmawiam.

Ścisnął jej dłoń trochę zbyt mocno.

- Życzę miłego wieczoru.

- Ja również, sir.

Skłonił się i wyszedł.

W końcu się go pozbyła. Cieszyłaby się z tego, gdyby nie fakt, że Tranville odstraszył Jacka.

Tranville wstępował na wąskie schody prowadzące do garderoby Daphne Blane. Uważał, że ten pokój powinien zostać przydzielony jej córce, która grała główną rolę kobiecą. Przystanął i głęboko zaczerpnął tchu na myśl o Arianie. Patrząc na nią, czuł się znów młody. Rozpalała jego zmysły jak żadna inna kobieta od czasu, gdy poznał młodą Mary Vernon.

Miał szczęście, że Mary była teraz tak blisko. To dzięki niej mógł współpracować z Jackiem, a w dodatku zaspokajała jego męskie potrzeby. Zachowanie Ariany wprowadzało go w zakłopotanie. Ta dziewczyna doprowadzała go do szaleństwa. Daphne Blane z pewnością miała wpływ na córkę. Była osobą wysoko ceniącą sobie zainteresowanie ze strony mężczyzn. Zapukał do drzwi.

Otworzyła mu służąca.

Daphne Blane odpoczywała na obitej czerwonym brokatem sofie. Miała na sobie jedwabny peniuar ozdobiony wizerunkami paw. -

- Proszę usiąść, Tranville. Cieszę się, że postanowił mnie pan odwiedzić.

- Uwielbiam cię odwiedzać, moja droga Daphne. - Sięgnął po stojące nieopodal drewniane krzesło, odwrócił je i usiadł na nim okrakiem, składając ramiona na oparciu. - Przeszedłem prosić cię o pomoc.

- O pomoc?

- Chodzi o Ariane.

- Co zrobiła tym razem?

- Zachowuje się tak, jakby miała ochotę mnie odtrącić - wyjął.

- Odtrącić... pana?

Roześmiał się.

- Mówi, że ma zbyt duże poczucie własnej wartości.

- Głupia dziewczyna.

- Porozmawiaj z nią - powiedział tonem, jakim zazwyczaj zwracał się do żołnierzy.

Oczy Daphne rozblęły gniewem.

- Pewnie jej się wydaje, że jest bardzo sprytna. Jestem przekonana, że pobiegłaby za panem, gdyby tylko poczuła, że przestał się nią pan interesować.

- Jestem wyjątkowo zdecydowany. Powiedz jej, że kupię jej biżuterię, jakieś cacko u Rundle'a i Bridge'a.

- Jest pan zbyt popędliwy. Powinien pan dać jej nauczkę. Proszę przez pewien czas trzymać się od niej z daleka.

Tranville uniósł się z krzesła.

- To nie wchodzi w rachubę.

Daphne chwyciła go za ramię.

- Staram się tylko panu wyjaśnić, co na nią podziała. Proszę przyprawić ją o zadość i obdarować biżuterią inną kobietę. - Uśmiechnęła się chytrze. - Na przykład mnie. Niech myśli, że jest pan mną zainteresowany. Chce grać moje role w przedstawieniach, więc z pewnością będzie też chciała pana.

Tranville zastanowił się nad tą radą. Ariana była ambitna. Mógłby jej pomóc w osiągnięciu celu, gdyby tylko tego sobie życzyła. Już jej pomagał.

Daphne skrzyżowała ramiona na piersi.

- Przyjechała do Londynu, żeby zająć moje miejsce na scenie. Gdyby nie ona, grałabym Julię, a zapewne otrzymałabym też rolę Kleopatry.

- Pomóż mi, a ja pomogę tobie. Byłbym szczerze zobowiązany - dodał. - Jeśli sprawisz, że spełnią się moje marzenia, następna sztuka będzie twoja. - Pod warunkiem, że córka nie będzie zainteresowana rolą, dodał w myślach.

- Pomogę, ale musi pan się zastosować do moich rad. Niech uważa, że pana utraciła.

Rozległo się pukanie do drzwi.

- Dziesięć minut, panno Blane.

- A więc umowa stoi - podsumował Tranville. - Nie zostanę dziś na przedstawieniu.

Podawała mu rękę.

- Doskonale. Proszę uzbroić się w cierpliwość, a zobaczy pan, że wszystko się ułoży.

Uniósł jej dłoń do warg.

- Dziękuję. - Gdy puścił jej rękę, powiedział niespodziewanie ostro: - Jestem zdecydowany zdobyć Arianę, ale nie lubię, jeśli ktoś się ze mną bawi w kotka i myszkę. W zależności od rozwoju wydarzeń będę hojnym darczyńcą albo groźnym wrogiem.

Daphne posłała mu harde spojrzenie.

- Ja również mam swoje wpływy, milordzie, i radziłabym mnie nie zwodzić.

Pożegnał się i zbiegł ze schodów. Nie chcąc spotkać się z Arianą, skierował się za kulisy, gdzie pracownicy teatru przygotowywali scenę do podniesienia kurtyny. Nie zamierzał pozwalać sobie na to, by ta smarkula publicznie okazała mu lekceważenie. „Romeo i Julia” wkrótce zejdzie z afisza. Już niedługo Ariana zacznie się przygotowywać do kwietniowej premiery „Antoniusza i Kleopatry”, a Jack będzie kończył pracę nad jej portretem. Kiedy obraz będzie gotowy i on ofiaruje go Arianie, przyjdzie czas na następny ruch. Osłodzi zawarcie układu brylantami i szmaragdami. Te pierwsze dodadzą jej blasku, a drugie będą wspaniale komponować się z jej oczami.

Wyszedł na zewnątrz. Powozy, którymi przybyli wpływowi miłośnicy teatru, odjeżdżały już sprzed budynku. Tranville był tak rozgoryczony, że potrzebował chwili wytchnienia. Kiedy zajechał pojazd, Tranville rzucił do woźnicy:

- Adam Street.

## Rozdział ósmy

Następnego dnia Jack zaniósł portret pana Slaytona do banku przy Fleet Street. Wracał pieszo, by oszczędzić na dorożce. Gdy skręcał ze Strandu w Adam Street, przed wejściem do jego domu zatrzymała się dorożka. Wsiadła z niej Ariana, dźwigająca dwa duże pudła na kapelusze. Postawiła je na chodniku i podała parę monet dorożkarzowi. Potem uniosła bagaż i ruszyła do drzwi. Przyśpieszył kroku, a jej twarz rozjaśniła się na widok Jacka.

- Witaj - zagadnęła wesoło. - Przejrzałam kostiumy.

Uwolnił ją od ciężaru.

- To dobrze.

Weszła za nim do wnętrza, rozpięła pelerynę i powiesiła ją na kołku. Zdejmując rękawiczki i kapelusz, zapytała:

- Chcesz zobaczyć?

Najwyraźniej postanowiła zachowywać się tak, jakby nic między nimi nie zaszło: nie przeżyli wzajemnej fascynacji, nie zaprosiła go do swojego pokoju, jakby nie przeszkodził im Tranville.

- Oczywiście. - On również mógł odgrywać swoją rolę. Postawił pudła na szeszlunku i zdjął płaszcz.

Otworzyła jedno.

- Tu są suknie.

Wyjęła trzy z nich i położyła je na szeszlunku. Były uszyte z tak cienkich tkanin, że ułożyły się we wdzięczne fałdy. Błyszcząca żółta suknia była wykonana z jedwabiu; dwie pozostałe - z muślinu. Ariana wskazała żółtą.

- Pomyślałam, że mieni się złociście, a złota szata jest bardzo odpowiednim strojem dla Kleopatry. - Zaprezentowała dwie inne. - Te mają klasyczny krój.

Jedna z nich wyglądała tak, jakby jej w ogóle nie było; przypominała raczej przezroczystą halkę przywierającą do ciała. Jeśli Ariana-Kleopatra miałyby pozować w tej sukni bez bielizny, bez wątplenia byłoby przez nią widać kolor skóry i brodawki piersi. Ta wizja nie dawała Jackowi spokoju; jako artysta marzył o tym, by móc namalować Ariana w tym właśnie stroju. Szybko przeniósł wzrok na drugie pudło.

- A co jest tutaj?

Otworzyła je i wyjęła złoty naszyjnik-obrożę, kilka złotych łańcuchów, dwie korony wysadzone klejnotami i kolorowe chusty. Łańcuchy i korony były tandetnie pozłacane; szkiełka imitowały szlachetne kamienie.

- Pomyślałam, że pomogą nam stworzyć atmosferę Egiptu. - Przyłożyła naszyjnik do jednej z białych sukien, tworząc obraz zapamiętany z rycin. - Kleopatra powinna być obwieszona biżuterią. - Ułożyła złote łańcuchy na drugiej muślinowej kreacji.

Wydawała się bez reszty pochłonięta doborem stroju i dodatków. Niezmiernie rzadko spoglądała na Jacka, zachowując się jak wzorowa współpracownica, tak jak sobie tego życzył. Powinno mu to przynieść ulgę, tymczasem było wprost przeciwnie.

Cofnęła się i krytycznie przyjrzała się toaletom.

- Co o nich sądzisz?

- Wszystkie się nadają - powiedział pozornie obojętnym tonem.

- A ja myślałam, że mi powiesz, która jest najlepsza. - Dotknęła żółtej tkaniny. - Naprawdę nie potrafię sama zdecydować.

Jack nie miałby kłopotów z wyborem. Tylko jedna odpowiadała mu i jako artyście, i jako mężczyźnie.

- Chyba powinnaś je przymierzyć.

- Dobrze. Bardzo chętnie.

Uniosła kostiumy z szeslonga, a Jack otworzył przed nią drzwi sypialni. Położywszy toalety na łóżku, odwróciła się.

- Obawiam się, że będę musiała cię poprosić o pomoc.

Gdyby te słowa zabrzmiały uwodzicielsko, Jack bez wątpienia by odmówił; jednak zwróciła się do niego takim tonem, jakby był jej garderobianą. Ciemnoniebieska suknia miała u góry haftki. Rozpinając je, Jack dotknął palcami jedwabistej skóry na szyi Ariany. Poruszyła się jak pieszczona kotka. Kiedy rozsznurował tył, Ariana oparła głowę o jego ramię. Jack poczuł przyływ podniecenia. Postanowił jednak nie okazywać, jak wielką przyjemność sprawił mu ten gest.

Ariana się odsunęła, a Jack wyszedł z pokoju i zaczął się przechadzać po pracowni. W pewnej chwili w drzwiach stanęła Ariana w żółtej kreacji.

- Znów potrzebuję twojej pomocy - powiedziała, odwracając się do niego plecami. Zasznurował suknię drżącymi palcami, a Ariana okręciła się, prezentując strój. Żółty jedwab zaszeleścił, tworząc barwną grę światłocieni.

- Jak ci się podobam?

- Załóż biżuterię.

Włożyła najpierw naszyjnik-obrożę, potem inne ozdoby, co chwila spoglądając w lustro. Powtórzyli próbę z przezroczystą toaletą z muślinu, która wywarła na Jacku ogromne wrażenie, mimo że Ariana miała na sobie koszulkę i gorset. Bez trudu potrafił sobie jednak wyobrazić zaróżowioną skórę prześwitującą spod muślinu - ta wizja przysparzyła go o dreszcz podniecenia. Drugi strój z muślinu składał się z dwóch kawałków tkaniny połączonych na ramionach i przepasanych prostym sznurem. Gdy Ariana weszła w tym do pokoju, muślin falował wokół jej nóg,

- Dobrze się czuję w tej sukni. - Wykonała kilka tanecznych kroków. - Chciałabym mieć ją na sobie na scenie. Jest bardzo wygodna.

Zauważywszy, że Jack bacznie się jej przygląda, znieruchomiała z uśmiechem na twarzy.

- Spróbuj z biżuterią.

Zapięła naszyjnik i podeszła do lustra.

- Mam pewien pomysł. - Obniżyła dekolt, odsłaniając ramiona. Popatrzyła na siebie w lustrze, po czym zerknęła na odbicie twarzy Jacka, czekając na jego ocenę.

Z uznaniem kiwnął głową.

- Bardzo mi się podoba.

- Mnie również. - Rozwiązała sznur u pasa i zastąpiła go złotym łańcuchem.

Ten pomysł również zyskał uznanie Jacka.

Uśmiechnęła się i wyjęła szpilki z włosów. Kasztanowe loki spłynęły kaskadą do połowy pleców. Zapało mu dech z wrażenia.

- Myślę, że powinnam trochę je podwinąć, żeby wyglądać bardziej egipsko - Sięgnęła po szpilki.

- Zostaw rozpuszczone - poprosił cicho Jack.

Popatrzyła na jego odbicie w lustrze. Tym razem nie potrafił ukryć fascynacji.



- Brakuje tylko korony.

Podał jej najskromniejszą, najmniejszą koronę ozdobioną trzema czerwonymi klejnotami, z których jeden umieszczony był wyżej niż pozostałe. Włożyła ją na głowę i oboje jak na komendę spojrzeli w lustro. Jack położył ręce na nagich ramionach Ariany.

- Jack? - wyszeptała.

Niechętnie się odsunął.

- A więc mamy Kleopatę.

- Też tak uważam. I co teraz?

Zamknął oczy, wyobrażając sobie wizerunek Ariany na płótnie.

- Połóż się na szezlongu. - Przysunął stół kreślarski. - Chciałbym to narysować.

Przybrała ustaloną pozę na szezlongu. Jack sięgnął po kawałek węgla i przystąpił do szkicowania. Dopiero po kilkunastu minutach ciszę przerwała Ariana.

- Czy Tranville cię dzisiaj odwiedził?

- Nie.

- To dobrze.

Znów zapanowało między nimi milczenie. Jack zastanawiał się, dlaczego Ariana zadała pytanie. Nie oczekiwał wyjaśnień, lecz miał kłopoty z osiągnięciem skupienia. Po chwili dodała:

- Poprosiłam go, żeby nam nie przeszkadzał.

- Tak mu powiedziałaś? Tranville nie lubi pouczeń.

- Przypomniałam mu, że zgodziłam się pozować do portretu pod warunkiem, że nie będzie się to wiązało ze zobowiązaniami. Wyraźnie dałam do zrozumienia, że moje uczucia nie są na sprzedaż.

Jack popatrzył na Ariane, nie wierząc własnym uszom.

- Nie wszystkie aktorki marzą o umizgach mężczyzn w Zielonym Pokoju.

- Co odpowiedział Tranville?

Wzruszyła ramionami, naszyjnik zsunął się niżej.

- Dał mi słowo. Myślę, że po prostu trzeba mu było przypomnieć, że poważnie potraktowałam jego zapewnienia o braku ograniczeń. Poprosiłam go też, żeby nie przeszkadzał nam w pracy. Jestem zachwycona, że tym razem najwyraźniej mnie posłuchał.

- Ariano, Tranville nie jest człowiekiem, który rezygnuje ze zdobycia tego, na co ma ochotę.

- Cóż, jest mężczyzną.

- Jest bezwzględny.

- Skąd wiesz? Pewnie nie będziesz chciał mi tego powiedzieć, ale co cię łączy z Tranville'em?

- Jest związany z moją rodziną.

- Wspomniał, że jest przyjacielem twojej matki.

- No cóż, można to tak nazwać. Kiedyś może istotnie nim był. Teraz chyba już rozumiesz, co nas łączy.

Pokiwała głową, dobrze wiedząc, co miał na myśli.

- Nie tylko o to chodzi, prawda?

- Na wojnie okazał nieposkromione ambicje i stawiał własne sprawy ponad dobro powierzonych mu ludzi.

- Był żołnierzem? - Sprawiała wrażenie zaskoczonej.

- Generałem brygady. Zanim odziedziczył tytuł.

- Był generałem? - Ariana się roześmiała.

Nie miał pojęcia, co ją tak rozbawiło.

- Myślę, że aktorki interesują go o wiele bardziej niż sam teatr i jego znaczenie dla kultury narodowej.

Nie potrafił powstrzymać się od uśmiechu. Nie chodziło mu o trafne spostrzeżenia na temat charakteru Tranville'a, lecz o to, jak cudownie wyglądała Ariana, gdy dopisywał jej humor.

- Tak jest ładnie.

- Co? - spytał zaniepokojony.

- Do twarzy ci z uśmiechem.

Powrócił do szkicowania, sięgając po pastele dla dodania koloru.

Ariana studiowała twarz pochłoniętego pracą Jacka. Był całkowicie skupiony na szkicowaniu, podobnie jak w Somerset House. Odniosła wrażenie, że powrócił myślami do spraw, do których nie miała dostępu. Martwiło ją to i smuciło. Zyskała pewność, że

zakochała się w tym artyście o zmiennych nastrojach. Choć był skryty, jego sztuka wyrażała bardzo wiele. Miała ochotę poznać jego tajemnice, zyskać jego zaufanie i móc pozwolić sobie wobec niego na szczerość.

- Jack, powinniśmy się wybrać do Egyptian Hall. Byłeś tam? - Budynek na Piccadilly miał fasadę w stylu egipskim.

- Nigdy tam nie byłem.

- Wybierzmy się w ramach naszych badań.

Nie przerywał pracy. Rozmazywał coś właśnie kciukiem na papierze.

- Mogliby nam towarzyszyć twoja siostra i Michael.

Oderwał się od rysowania, by zastanowić się nad tą propozycją.

- Moja siostra rzadko wychodzi z domu. Na pewno się bardzo ucieszy.

- Więc się zgódź. Po namyśle odparł:

- Zgadza się.

- To wspaniale. Zaplanujesz naszą wyprawę? Ja mogę w ciągu dnia, a niedługo będę też miała wolne wieczory, kiedy sztuka zejdzie z afisza.

- Kiedy to nastąpi? - zapytał.

- Gramy jeszcze tylko trzy przedstawienia; ostatnie w sobotni wieczór. Przyjdiesz? W roli mojego gościa?

- Nie. - Spochmurniał. - Jestem pewien, że będzie tam Tranville.

- W takim razie zaplanuj naszą wycieczkę. Na pewno wszystko będzie mi odpowiadało. - Nie zamierzała pozwolić, by cokolwiek im przeszkodziło.

Odłożył kawałek kredy, wstał i się cofnął. Trzymając się pod boki, przenosił wzrok z Ariany na rysunek i z powrotem. W końcu powiedział:

- Podejdź tu i zobacz.

Zsunęła się z szeszlona i stanęła obok Jacka.

- Och! - Na rysunku pokój zmienił się w egipski pałac. Za oknem sali rozpościerał się widok na białe domostwa. Leżąca na szeszlona Ariana została przedstawiona na pierwszym planie. Tylko jej skóra i złote ozdoby tworzyły barwne plamy na rysunku. W efekcie prezentowała się bardzo dostojnie, a jednak...

- To tylko szybki szkic - dodał tonem usprawiedliwienia Jack.

- Jest bardzo dobry. - Uważnie studiowała pracę.  
- Proszę, mów szczerze, Ariano.  
- Brakuje mu emocji.  
- To tylko szkic - powtórzył, wpatrując się w obraz.  
- Z pewnością powstanie z tego znakomity portret. - O ile uda się tchnąć weń życie, pomyślała.

Lekko ścisnęła go za rękę. Ku jej zdumieniu, otoczył ją ramieniem w pasie i przez dłuższą chwilę stali tak złączeni. Zegar na kominku wybił szóstą. Ariana wiedziała, że nadszedł czas rozstania.

- Zacząłem już przygotowywać blejtram - oznajmił. - Płótno musi wyschnąć, więc jutro nie będziesz pozować.

Dzień bez spotkania z Jackiem wydawał się Arianie stracony. Odwróciła głowę, by nie zauważyła smutku malującego się na jej twarzy.

- Być może Nancy będzie miała ochotę zwiedzić jutro Egyptian Hall - powiedział po chwili. - To byłby dobry dzień na tę wyprawę.

Nie chciała mu pokazać, jak bardzo uradowały ją te słowa.

- Tak uważam.

- Jeśli możesz chwilę zaczekać, pójdę zapytać, czy nasz plan odpowiada Nancy.

- Mogę pójść z tobą? - Zamierzała przekonać Nancy, gdyby zaszła taka potrzeba.

- Nie - odparł ostro. - Nie - dodał łagodniejszym tonem. - Moja matka... Najlepiej będzie, jak sam tam wstąpię. Po drodze złapię dorożkę dla ciebie.

Kiwnęła głową, zastanawiając się, czy matka Jacka wie o tym, że Tranville interesuje się młodą aktorką. Jeśli wiedziała, z pewnością nie chciałaby jej widzieć. Matka Ariany nienawidziła mężczyzn, którzy ją zostawiali, i wszystkich kobiet, które zajmowały jej miejsce u ich boku, zwłaszcza jeśli były młodsze. Uśmiechnęła się.

- Pójdę się przebrać. Zasznuujesz mi suknię przed wyjściem?

- Oczywiście.

Przeszła do sypialni i szybko zdjęła koronę i kostium sceniczny, włożyła własny strój i wróciła do pracowni. Jack stał przy oknie, z rękami skrzyżowanymi na piersiach.

- Potrzebuję pomocy pokojówki - zażartowała, unosząc włosy i prezentując smukłą szyję.

Jack szybko zasznurował suknię i zapiał haftki. Zaraz potem sięgnął po swój płaszcz.

- Niedługo wrócę.

- Nie musisz się śpieszyć. Zaczekam.

Po jego wyjściu przeniosła pudła do pokoju i włożyła do nich kostiumy. Potem umieściła korony i biżuterię w drugim pudle. Nie musiała odnosić ich do teatru przed ukończeniem portretu. Zamknąwszy pudła, usiadła na łóżku. Marzyła o tym, by leżeć obok Jacka, czuć jego ciepło na swej skórze, zasypiać w jego ramionach. Uważała to za jedną z najpiękniejszych cząstek składających się na życie z mężczyzną. Szybko wstała, Nie powinna o tym myśleć, zwłaszcza że jej porozumienie z Jackiem było oparte na kruchych podstawach.

Rozejrzała się po skromnie umeblowanej sypialni. Stało tam proste łóżko, komoda z dzbankiem i miednicą. Pokój pełnił zarazem funkcję składziku. Znajdował się tu także duży kufer, a pod ścianą Jack ustawił liczne obrazy. Nie potrafiła poskromić ciekawości.

Wszystkie dzieła przedstawiały bitwę. Nie ukazywały chwili zwycięstwa, jak obraz zaprezentowany na wystawie w Royal Academy, lecz walczących żołnierzy. Mieli twarze wykrzywione strachem, żądzą krwi i bólem. Nacierali na siebie z szablami i bagnietami. Wszędzie była krew. Jednak na każdym z obrazów Jack ukazał coś, co dramatycznie kontrastowało z koszmarnymi scenami. W tle jednego z nich namalował piękny kościół. Na drugim można było wypatrzyć zielone pola z pasącymi się owcami. Na trzecim widać było białe, tynkowane budynki przy wiejskiej uliczce. Uliczką płynęły strużki krwi, lecz nie odbierało to scenerii całego piękna. Przykucnęła, by dokładniej przyjrzeć się obrazom i poznać technikę autora. Bez wątpienia udało mu się oddać rozmaite emocje. Widać je było chociażby na twarzy przerażonego dziecka w oknie jednego z wiejskich domków.

- Co ty tu robisz? - W drzwiach pracowni stał Jack i patrzył na nią chmurnym wzrokiem.

Nie słyszała, jak wchodził, nie była w stanie udzielić mu odpowiedzi, mając obok siebie tyle wspaniałych dzieł sztuki.

- Są znakomite, Jack. Szczerze cię podziwiam. Dlaczego trzymasz je odwrócone przy ścianie? Powinieneś je wystawić.

Złożył ręce na piersiach.

- Nie tworzyłem ich z myślą o wystawach. - Sprawiał wrażenie udręczonego.

- W takim razie po co? - spytała niemal szeptem.

Podszedł do niej i stanął naprzeciw obrazów.

- Trudno mi to wyjaśnić.

- Potrafię zrozumieć trudne sprawy.

Uniósł obraz z kościółkiem w tle i odwrócił do ściany.

- Po powrocie z wojny nie mogłem się uwolnić od prześladujących mnie wizji, więc je malowałem.

- Malowałeś to, co czułeś - powiedziała, wiedząc, że nie potrafi sobie wyobrazić ogromu jego cierpienia. Wskazała postaci żołnierzy z uniesionymi szablami. - Nie wiem, jak to wytrzymałeś.

- Te obrazy nie pokazują nawet połowy tego, co widziałem - powiedział cicho. - Mam jeszcze szkice... - Machnął ręką. - Mniejsza o to.

- Chciałabym je zobaczyć.

Pokręcił głową.

- Musimy iść. Dorożka czeka przed domem.

Przeszła za nim do pracowni. Podał jej pelerynę i pomógł ją włożyć. Zapinając okrycie, gorączkowo zastanawiała się, w jaki sposób mogłaby rozproszyć ponury nastrój.

- Zastałeś Nancy w domu? Zgodziła się pójść z nami do Egyptian Hall?

- Tak. Zapyta dziś Michaela, czy będzie mógł do nas dołączyć.

Ucieszyła ją myśl o tym, że w tej sytuacji nazajutrz zobaczy się z Jackiem.

- Spotkamy się w pensjonacie o jedenastej. Czy to ci odpowiada?

- W moim pensjonacie?

- Masz coś przeciwko temu? - Wydawał się zaskoczony.

- Czy twoja matka zgadza się, by Nancy odwiedziła dom, w którym mieszkają aktorzy?

- Obawiam się, że cię nie rozumiem.

- Aktorzy i aktorki nie cieszą się szczególnym szacunkiem...

- Podobnie jak Vernonowie - skwitował z przekąsem Jack. Otworzył drzwi. Na ulicy stała dorożka.

- Żałuję, że wspólne chwile dobiegają końca. Chodź ze mną, Jack - poprosiła cicho, starając się nie pokazać mu, jak bardzo jej zależy na tym, by się zgodził. - Spędzimy razem wieczór. Przyjdź do teatru. Bądź moim gościem.

Popatrzył w stronę domu matki.

- Nikt dziś na mnie nie czeka. Uśmiechnęła się i pogładziła go po policzku.

- W takim razie pojedź ze mną. Cierpliwie czekała na jego decyzję.

- Chwileczkę, tylko zamknę drzwi na klucz - powiedział w końcu.



## Rozdział dziewiąty

Jack przekręcił klucz w zamku i dołączył do Ariany, czekającej na niego na ulicy. Pomógł Arianie wsiąść do dorożki i usiadł obok niej.

- Kazałem nas zawieźć na Henrietta Street.

- Doskonale. - Wsunęła mu dłoń pod ramię. - Zjemy obiad, a później pójdziemy do teatru.

Jack czuł się zdumiewająco swobodnie, siedząc obok Ariany w czasie krótkiej jazdy na Henrietta Street. Gdy zapłacił dorożkarzowi, Ariana znów ujęła go pod ramię i tak weszli do środka. W wieczornym świetle rysy jej twarzy były spowite szarością, lecz prezentowała się równie pięknie, jak za dnia. Miał ochotę uwiecznić jej wizerunek na płótnie przy różnych rodzajach oświetlenia.

- Bardzo się cieszę, że zdecydowałeś się tu przyjść - powiedziała. - Chodźmy do mojego pokoju. Tam posiedzimy do obiadu.

Trzymając się za ręce, wstąpili na schody. Ariana zaprowadziła go do swego pokoju i zamknęła drzwi. Puściła rękę Jacka, by zdjąć pelerynę. Rzuciła ją na krzesło, po czym zwróciła się do Jacka:

- Będę twoim kamerdynerem. Chcę ci się odwdzięczyć za to, że byłeś moją służącą.

Pomogła mu pozbyć się płaszcza.

Rozległo się pukanie do drzwi i męski głos zawołał:

- Ariana! Jesteśmy w salonie. Jedna z dziewczyn dostała butelkę madery.

- Cudownie! - Popatrzyła na Jacka. - Chcesz się napić wina przed obiadem? Tutejsi mieszkańcy są bardzo towarzyscy.

Pomyślał, że wino dobrze mu zrobi na rozpalone zmysły.

- Uczynię to, czego sobie życzysz.

Popatrzyła na niego z uwagą. Zastanawiał się, czy zdawała sobie sprawę z tego, że staczał z sobą wewnętrzną walkę.

- Mam ochotę na wiele rzeczy.

Pragnął jej, mimo że, zważywszy zaangażowane Tranville'a, mogło to oznaczać przede wszystkim kłopoty. Jednak Ariana była tak cudownie świeża i pełna życia, a Jack miał serdecznie dość bolesnych wspomnień wojny i śmierci. Zeszli ze schodów, złączyli ramionami, i skierowali się do salonu. Po wejściu do środka Jack natychmiast wypatrzył aktora, którego poznał w gospodzie i który zabrał go potem na przedstawienie „Romea i Julii”.

- O, Jack! - Henry podszedł do niego i wyciągnął dłoń na powitanie. - Co tu robisz?  
- Zwrócił się do kolegi, który tamtego wieczoru dołączył do nich po przedstawieniu: - Franklin, to jest Jack.

Przywitali się tak, jakby znali się od dawna. Jack został natychmiast przedstawiony dwóm obecnym w pokoju aktorkom: Susan, dziewczynie w wieku Ariany, i nieco starszej Eve.

- Jack maluje mój portret - oznajmiła Ariana. - Jest artystą i maluje mnie jako Kleopatę.

Henry poprowadził Jacka do stołu.

- Chodź, naleję ci madery.

Rozmawiali i pili wino, a gdy podano obiad, przeszli do jadalni. Tam wznieśli kolejne toasty, rozmawiając o teatrze - o tym, kto dostał rolę i co musiał zrobić, by ją sobie zapewnić.

Henry popatrzył na Arianę.

- Chciałbym wiedzieć, jak udało ci się przekonać Tranville'a, żeby dał ci rolę Kleopatry, nie idąc z nim do łóżka?

- Dostałam tę rolę dzięki moim umiejętnościom aktorskim.

Henry roześmiał się.

- Twoja matka klęła jak marynarz, kiedy się dowiedziała, że to nie ona będzie grała Kleopatę.

- Moja matka jest bardzo zazdrosna - wyjaśniła Ariana Jackowi.

- To prawda, ale jest bardzo dobrą aktorką, równie dobrą jak Sarah Siddons. - Henry dolał Jackowi wina. - Tranville musiał też sownie zapłacić Keanowi. - Mrugnął do Jacka. - Wynajmując artystę portretowego, ten głupiec wynajął sobie zarazem rywala.

- Tranville jest starym lubieżnikiem, podobnie jak większość mężczyzn przychodzących do Zielonego Pokoju - podsumowała Ariana.

Jack z podziwem przyglądał się swobodnie rozmawiającym aktorom. W jego rodzinie nie poruszano niewygodnych tematów.

- Trzeba jednak przyznać, że Tranville jest niewyobrażalnie wręcz bogaty - powiedziała z rozmarzeniem starsza aktorka. - To łakomy kąsek.

- Jest w typie mojej matki - dodała Ariana. Zwróciła się do Jacka: - Wiesz, że Tranville finansuje przedstawienie?

Spochmurniał.

- Przynajmniej będę miała swój portret.

Ariana dowcipnie odpychała złośliwe zaczepki na temat Tranville'a. Atmosfera powszechnej wesołości panująca w jadalni udzieliła się w końcu także Jackowi.

Po obiedzie całą gromadą udali się do teatru. Zaśmiewali się tak, że ich oddechy tworzyły obłoczki pary w zimnym powietrzu. Jack ponownie został zaproszony za kulisy. Ariana przedstawiła go panu Arnoldowi. Dyrektor wydawał się zadowolony, że Jack maluje wizerunek Ariany. Napomknął, że chętnie skorzysta z usług Jacka, który został również przedstawiony panu Keanowi, bez wątpienia podchmielonemu.

Gdy Ariana poszła się, przebrać, Jack usiadł na krześle, z którego miał dobry widok na scenę. Henry przyniósł mu butelkę wina i kieliszek. Pił trunek, starając się zapamiętać ruch i zamęt za kulisami. Wyobrażał sobie, że rysuje te sceny w stylu pełnych humoru obrazów Rowlandsona, przedstawiających liczne barwne postacie, nieodmiennie będące w ruchu. Podeszła do niego piękna kobieta w kostiumie pani Kapuleti.

- To pan maluje moją córkę? - spytała, pomijając zwyczajowe grzeczności.

Wstał.

- Tak. Jestem Jack Vernon.

- Daphne Blane.

- Pani sława wyprzedza panią. Od razu panią poznałem. Otaksowała Jacka spojrzeniem od stóp do głów.

- Zaczynam rozumieć... - Pokręciła głową. - Mimo wszystko moja córka nie wykazuje się rozsądkiem, stawiając pana przed... - Urwała, by po chwili dokończyć: - Przed innymi dżentelmenami.

- Jestem jedynie artystą malującym portret pani córki.

Uniosła brwi, dając mu do zrozumienia, że jej nie zwiedzie.

- No cóż. - Raz jeszcze przyjrzała mu się badawczym wzrokiem. - Proszę się postarać, żeby obraz był naprawdę udany.

- Zrobię, co w mojej mocy. To dla mnie wielka szansa.

Po niedługim czasie zaczęło się przedstawienie. Chociaż Jack oglądał je po raz trzeci, dopiero tego dnia mógł się nim nacieszyć. Ariana przeistoczyła się w Julię, zachowując jednak wiele swoich cech. Kiedy schodziła ze sceny, a nie musiała się przebierać, towarzyszyła Jackowi za kulisami. Nie była wtedy Julią, a po prostu Arianą. Inni aktorzy również dotrzymywali mu towarzystwa, dzieląc się kolejnymi plotkami, stanowiącymi główną treść ich rozmów. Gdy przedstawienie dobiegło końca, Henry zaproponował, by udali się do gospody. Ariana pokręciła głową.

- Nie mogę. Pan Arnold prosił, żebym porozmawiała z mecenasami teatru w Zielonym Pokoju. - Zwróciła się do Jacka: - Chodź ze mną. Przedstawię cię jako artystę malującego mój portret.

Tym razem w pobliżu nie było Tranville'a, który niegdyś zagroził mu drogę. Jackowi udało się zamienić parę słów z kilkoma wpływowymi dżentelmenami, którzy w przyszłości mogli zapewnić mu zlecenia. Ariana nie narzekała na brak chętnych do konwersacji. Wielu mężczyzn spoglądało na nią pożądliwie, chociaż z pewnością nie wszyscy z nich byli niegodziwcami pokroju Tranville'a.

- Poznałam dżentelmena, który interesuje się malarstwem historycznym - powiedziała Ariana, podchodząc do Jacka.

Jack został przedstawiony mężczyźnie w wieku Tranville'a.

- Maluje pan bitwy? I portrety? Zastanawiam się, czy nie zamówić u pana swego wizerunku w mundurze Gwardii Konnej.

- Mój ojciec służył w Gwardii Konnej - rzekł Jack.

Trudno mu było się skupić na rozmowie, gdyż przed chwilą wypatrzył w tłumie syna Tranville'a, Edwina.

- Pan Vernon? - upewnił się rozmówca Jacka. - W moich czasach był u nas John Vernon.

- To mój ojciec.

Spotkanie ze znajomym ojca powinno ucieszyć Jacka, lecz widok oszpeconej bliźną twarzą Edwina sprawił, że powróciły wspomnienia z Badajoz. Edwin, mocno już pijany, łypnął pożądliwie na przechodzącą baletnicę i wychylił się w jej stronę tak, że z trudem utrzymał równowagę.

- Co za niezwykle spotkanie. Tranville płaci panu za portret tej aktorki, prawda?

- Owszem - odparł Jack, obserwując Edwina, który przysunął się do jednej z aktorek z pensjonatu, Susan. - Proszę mi wybaczyć, sir.

Edwin bawił się długą wstążką zwisającą z rękawa sukni Susan. Przyłożył wstążkę do swej blizny.

- To rana z oblężenia Badajoz... - Szeroko otworzył oczy, widząc podchodzącego Jacka, który nie zadał sobie trudu, by się z nim przywitać.

- Chciałbym z tobą porozmawiać, Susan - powiedział. Popatrzyła na Edwina.

- Za chwilę...

- Teraz.

Edwin odzyskał pewność siebie.

- Nie spodziewałem się tu ciebie zobaczyć. Myślałem, że zostałeś wysłany do Indii Zachodnich albo gdzie indziej...

Z pewnością miał na myśli miejsca, w których żołnierze umierali na choroby tropikalne.

- Nawet mój ojciec jeszcze nie wie, że jestem w Londynie. Byłem w Paryżu - tłumaczył nieco bełkotliwie.

- W Paryżu! - Oczy aktorki rozbliły się ożywieniem.

- Chodź ze mną, Susan - zwrócił się do niej Jack.

Przeniosła wzrok z jednego mężczyzny na drugiego, lecz się nie poruszyła.

Edwin uśmiechnął się do niej szeroko, ukazując białe zęby.

- Ta młoda dama prowadziła ze mną bardzo miłą rozmowę. Nie jestem zadowolony z tego, że nie pozwoliłaś mi opowiedzieć o Paryżu.

- Jestem zmuszony wam przerwać. - Jack chwycił Susan za ramię.

- Jack, co ty robisz! - Starła się wyrwać.

Podeszła do nich Ariana.

- Co tu się dzieje? - spytała. Jack posłał jej znaczące spojrzenie.

- Muszę porozmawiać z Susan. Natychmiast. Ariana uśmiechnęła się.

- Ależ oczywiście. Przez ten czas zajmę tego dżentelmena rozmową.

Edwin popatrzył pytająco na Jacka, lecz po chwili z wyraźną satysfakcją przeniósł wzrok na Ariane.

- Będę zaszczycony.

Jack poczuł niepokój na myśl o tym, że zostawia Ariane w towarzystwie Edwina; wiedział jednak, że Ariana nie wyjdzie stąd z synem Tranville'a, podczas gdy Susan byłaby skłonna dotrzymać mu towarzystwa. Jack poprowadził ją w kąt salki.

- Trzymaj się z dala od tego faceta. Jestem pewien, że to nie jest ktoś, kogo chciałabyś poznać.

- To syn Tranville'a. Zapewne ma pieniądze.

- Nie warto się z nim zadawać.

- Dlaczego mam ci wierzyć?

Popatrzył na nią poważnym wzrokiem.

- Jest zdolny do okrucieństwa wobec kobiet.

- Co to znaczy?

- Ucieka się do przemocy. Naprawdę wiem, co mówię, Susan.

- Przedstaw mnie innemu dżentelmenowi, Jack. Wtedy zgodzę się zrezygnować z tamtego.

Podprowadził ją do byłego oficera Gwardii Konnej. Starszy mężczyzna był w siódmym niebie. Jack szybko przedarł się przez tłum ku Arianie, chcąc ją uwolnić od towarzystwa Edwina. W pewnej chwili szmer głosów obecnych w pomieszczeniu wydał mu się szumem ognia płonących budynków. Czyjś męski głos brzmiał jak strzały z

muszkietu. Kobięcy śmiech przeszedł w jęk. Znow powróciły wspomnienia z Badajoz. Jack nie był w stanie się poruszyć.

- Co się stało? - spytała zaniepokojona Ariana. - Wyglądasz tak, jakbyś był chory.

- Muszę stąd wyjść.

Chwyciła go pod ramię.

- Pójdę z tobą.

Zaprowadziła go do garderoby. Służąca pomogła jej się przebrać. Jeszcze stojąc za parawanem, zapytała Jacka o Edwina. Powtórzył jej to, co powiedział Susan. Wyszli na ulicę i skierowali się w stronę pensjonatu, lecz odgłosy bitwy wciąż rozsadzały Jackowi głowę. Spadł deszcze i ulice były mokre.

Ariana obejrzała się za siebie.

- Jack, pali się!

Natychmiast się odwrócił. Pożar wybuchł daleko od miejsca, w którym się znajdowali, lecz na niebie widoczna była pomarańczowa łuna, a wokół unosił się zapach dymu. Zapewne palił się magazyn nad rzeką. Gdzieś w pobliżu rozległ się trzask; być może wykoleił się jakiś wóz i rozsypały się przewożone towary. Jack poczuł się jak w Badajoz. Z krzykiem pociągnął Ariana pod mur, zmusił ją do przywarcia do ceglanej ściany i zasłonił swym ciałem. Widoki i odgłosy Badajoz były teraz tak wyraźne, że zachowywał się jak tam przed laty.

- Muszę się schować - powiedział chrapliwym głosem.

- Co się dzieje?

Nie był w stanie wymówić ani słowa. Ariana otoczyła go ramionami i mocno przytuliła. Przywarł do niej, rozpaczliwie bezradny.

- Jesteś bezpieczny. Nie musisz się ukrywać.

Ariana trzymała Jacka, dopóki nie wrócił do rzeczywistości. Cofnął się o krok.

- Chyba oszalałem.

- Powiedz mi, co się wydarzyło - poprosiła.

Zdjął kapelusz i przeczesał włosy drżącą ręką.

- Byłem w Badajoz.

- Miałeś wizję?



- Pewnie można to tak nazwać. Pamiętasz obrazy z mojej sypialni? Miałem wrażenie, że ożyły, a ja znajdowałem się gdzieś tam, pośród tego wszystkiego.

Wsunęła mu rękę pod ramię i przyciągnęła do siebie.

- Nie jesteś w Badajoz - podkreśliła spokojnym tonem. - Jesteś ze mną w Londynie.

Ruszyli przed siebie.

- To wszystko wydarzyło się dawno temu.

- Byłeś przerażony. Myślę, że gdybym była świadkiem wojennych scen, takich jak przedstawione na twoich obrazach, leż by mnie potem prześladowały we wspomnieniach. Musisz sobie uświadomić, że to już minęło.

Przeszli przez ulicę. Jack nie byłby w stanie podać jej nazwy, choć doskonale ją znał. Każdy krok wzbudzał w jego głowie odgłosy z Badajoz. Doszli do drzwi pensjonatu. Ariana wyjęła klucz z torebki i wzięła Jacka za rękę.

- Chodź ze mną.

- Nie powinienem...

Mocno ścisnęła jego dłoń.

- Posiedzisz w moim pokoju dopóty, dopóki nie poczujesz się lepiej. Zapewniam cię, że nikogo to nie zgorszy.

Zaprowadziła go na piętro do pokoju i zamknęła drzwi na klucz.

- Widzisz? Będziemy tu bezpieczni.

Zdjęła pelerynę i rękawiczki, a potem zapaliła świecę, przykładając knot do węgielka żarzącego się w palenisku. Po chwili zapaliła wszystkie pozostałe świece w pokoju. Jack był jej głęboko wdzięczny. Poczuł się znacznie lepiej. Pomogła mu zdjąć płaszcz, po czym podeszła do szafki w kącie pokoju i wyjęła z niej butelkę brandy i szklaneczkę.

- Czasami muszę napić się brandy, żeby uspokoić się po przedstawieniu i zasnąć - wyjaśniła.

Nalała mu trunku, nie pytając o zgodę. Trzymając szklaneczkę w jednym ręku, a butelkę w drugim, usiadła na łóżku, krzyżując nogi. Wskazała na wolne miejsce obok siebie.

- Chodź do mnie.

Zdjął buty i do niej dołączył. Upił duży łyk brandy.

- Opowiesz mi o Badajoz? - spytała.

- Nie mogę o tym mówić - powiedział, czując ogromne zmęczenie. - Są też rysunki, których nie mogę nikomu pokazać. A przede wszystkim powinienem powiedzieć ci „dobranoc”.

- Zaczekaj - poprosiła. - Najpierw odpocznij.

Pomogła mu zdjąć surdut.

- Możesz też zdjąć spodnie - zaproponowała, rozpinając je, gdy oparł się o poduszki.

- Muszę wracać do pracowni.

- Po krótkim odpoczynku. Obudzę cię za dziesięć minut.

- Dziesięć minut. - Łóżko było ciepłe i wygodne.

Pomyślał, że dziesięciominutowa drzemka dobrze mu zrobi.

Ariana pogładziła Jacka po włosach i zapatrzyła się na jego urodziwą twarz. Tak jak przypuszczała, zapadł w mocny sen, ledwie zamknął oczy. Przeraziły ją wizje Jacka. Badajoz... Starła się sobie przypomnieć wszystkie wiadomości na ten temat. Czy to aby nie tam brytyjscy żołnierze zhańbili się po bitwie, wyjątkowo brutalnie plądrując miasteczko?

Delikatnie musnęła palcami czoło Jacka, myśląc o obrazach stojących pod ścianą w jego sypialni. Jeśli wojenna rzeczywistość była gorsza niż na obrazach, trudno było wyobrazić sobie, co musiał wycierpieć Jack.

Cicho wyszła z pokoju i udała się do pokoju służącej. Obudziwszy biedaczkę, poprosiła ją o rozpięcie sukni i rozsznurowanie gorsetu, po czym wróciła do siebie. Jack wciąż spał. Ariana rozebrała się, a potem, usiadłszy przed lustrem, wyjęła szpilki, wyszczotkowała włosy i splotła je w warkocz. Nie włożyła nocnej koszuli. Dołożyła dwa kawałki węgla do ognia, zgasiła świece i położyła się na łóżku obok Jacka, ubrana jedynie w koszulkę.

Uwielbiała przebywać blisko niego. Ciężyły jej powieki, lecz nie chciała jeszcze zasnąć. Pragnęła jak najdłużej podziwiać tę spokojną teraz twarz, która jeszcze tak nie-

dawno była ściągnięta panicznym strachem. Już przy pierwszym spotkaniu była przekonana, że Jack ma bogatą osobowość. Tuż przed zapadnięciem w sen pomyślała, że bardzo się przywiązała do swego żołnierza-artysty.

Obudziła się, słysząc przeciągły krzyk.

- Puść ją! - Jack rzucał się na łóżku, jakby z kimś walczył. - Przestań!

Usiadła i chciała go dotknąć, lecz uderzył ją w ramię tak mocno, że opadła na łóżko. Bojąc się, że lada chwila Jack gotów jest wyrzucić jej lub sobie krzywdę, mocno ujęła go za rękę i nie dała się odepchnąć.

- Jack! Obudź się. To tylko sen.

- Pożar! Pali się!

Gotów był postawić na nogi cały dom. Usiadła na nim okrakiem i nakryła mu usta dłonią.

- Nie ma żadnego pożaru. Obudź się!

Gwałtownie usiadł na łóżku i chwycił ją za ramiona.

- Obudź się!

Otworzył oczy i rozejrzał się dookoła szalonym, nieprzytomnym wzrokiem.

- To był tylko sen.

Oszołomiony Jack zamrugnął powiekami, pomału odzyskując przytomność.

- Ariana?

Pogłaskała go po szyi.

- Cii... Już po wszystkim. To był tylko sen. - Ona również potrzebowała ukojenia.

- Ariana... - Wsunął palce w jej włosy i pocałował ją w usta.

Całował ją żarłocznie, z rozpaczliwą determinacją, jakby była jedynym elementem łączącym go z rzeczywistością. Z pasją odwzajemniała pocałunki. W pewnej chwili pociągnął ją tak, że znalazła się pod nim. Gdy zdarli z siebie koszule, gorączkowo przesuwał dłońmi po jej nagim ciele, niecierpliwie ugniatając piersi, a potem wsunął rękę pomiędzy jej uda, pieszcząc ją aż do chwili, gdy zaczęła wic się, jakby błagając o ugaszenie żaru, który w niej płonął. Gdy spełnił jej niewypowiedzianą prośbę, głośno zaczerpnęła tchu, a po chwili uniosła biodra, dopasowując się do miłosnego rytmu. W pokoju słychać było ich urywane oddechy.

Nie spodziewała się, że Jack wyzwoli w niej tak wielką namiętność. Ich miłość była dzika, gwałtowna; domagała się szybkiego spełnienia. Wkrótce targnął nimi spazm rozkoszy. W chwili największego uniesienia Jack pocałował Arianę, tłumiąc jej krzyk. Potem opadł na łóżko, a ona wtuliła twarz w zagłębienie jego ramienia.

Objął ją i przyciągnął do siebie.

- Nie powinienem był tego robić - powiedział.

Roześmiała się i położyła się na nim.

- To było wspaniałe!

Pogładził ją po plecach.

- Nie powinniśmy zostawać kochankami, Ariano.

Całowała go w czoło, nos, brodę.

- Dlaczego mielibyśmy pozbawiać się tak wielkiej przyjemności? Poza tym jest już za późno.

Po chwili znów stali się jednością.

TTLR

## Rozdział dziesiąty

Jack się obudził i poczuł miłe ciepło nagiego ciała śpiącej obok Ariany. Popatrzył na urodziwą twarz ukochanej, zastanawiając się, czy uda mu się oddać to piękno na płótnie. Spojrzał w stronę okna. Mdłe światło świtu sączyło się do wnętrza przez zasłony. Powoli uniósł się na łokciu. Ariana mruknęła coś przez sen. Jack natychmiast znieruchomiał i czekał, aż znów usłyszy jej spokojny, regularny oddech. Potem niemal bezszelestnie wstał z łóżka. Drewniana podłoga wydawała się lodowata pod jego bosymi stopami. Starannie okrył Ariane, po czym dołożył kilka kawałków węgla do ledwie tlącego się ognia.

Ubrał się szybko, starając się zachowywać jak najciszej. Przez cały czas nie odrywał wzroku od Ariany. W pewnym momencie się poruszyła.

- Wychodzisz? - spytała zaspanym głosem.

- Nie chciałem cię budzić.

Usiadła na łóżku. Bujne, splątane kędziory okalały jej twarz.

- Dlaczego już idziesz? Przecież nie będziesz dziś pracował nad portretem, a do Egyptian Hall wybieramy się później.

- O tej porze nikt mnie nie zobaczy.

- Nikt nie będzie miał nic przeciwko temu, że zostałeś u mnie na noc.

- Twoi przyjaciele uwielbiają plotki i nie ma dla nich tematów tabu. Uważam, że będzie lepiej, jeśli nikt się o tym nie dowie.

- Boisz się, że plotki dotrą do Tranville'a?

- Tak, właśnie tego najbardziej się obawiam. - Podeszedł do łóżka i odgarnął włosy z twarzy Ariany. - Przyjdę po ciebie z Nancy.

Chwyciła jego dłoń i uniosła ją do warg.

- Do zobaczenia, Jack.

Najchętniej wróciłby do łóżka. Nie bał się gniewu Tranville'a. Musiał się jednak opanować ze względu na dobro najbliższych mu osób - matki i Ariany. Doprowadzony do wściekłości Tranville gotów był wyrzucić na nich zemstę. Jack postanowił ograniczyć kontakty z Arianą do spotkań w pracowni.

Wyszedł z pensjonatu, nie napotkawszy nikogo. Miasto budziło się do życia; na ulicach pojawiły się rozmaite pojazdy oraz ludzie śpieszący do pracy. Sprzedawcy zachwalali towary, wołając: „Świeże bułki” albo „Holenderskie herbatniki”, gdy mijał ich stragany. Kupił korzenny piernik, zawinął go w chustkę i schował do kieszeni. Zamierzał zjeść go na śniadanie,

Poranne powietrze działało orzeźwiająco. Gdy przeszedł Strand, wchodząc w Adam Street, jego dobry nastrój natychmiast się ulotnił. Z domu matki wyszedł Tranville, kierując się w jego stronę. Podszedł do Jacka.

- Wcześniej dziś wstałeś.

- Podobnie jak pan.

Tranville zmusił się do nieszczerzego uśmiechu.

- W domu twojej matki wszyscy jeszcze śpią. - Cofnął się o krok i przyjrzał Jackowi tak, jakby go widział po raz pierwszy w życiu. - Wyglądasz tak, jakbyś spał w ubraniu. Gdzie ty byłeś?

Ich spojrzenia się spotkały.

- Nie zamierzam o tym rozmawiać.

- Byłeś z kobietą, prawda?

Jack nie odpowiedział.

- Mam nadzieję, że kobieta nie odciąga cię od pracy nad obrazem. Chcę zobaczyć, co udało ci się namalować do tej pory,

- Nie ma nic do oglądania - burknął Jack.

- Co takiego?! Wiesz, jak bardzo zależy mi na czasie. Mamy prawie marzec, a premierę planujemy na kwiecień.

- Wiem o tym.

Tranville wycelował palec w Jacka.

- Nie marnuj czasu. Jak skończysz, natychmiast mnie o tym powiadom, żebym mógł ocenić dzieło. Radzę ci się pośpieszyć.

- Na pewno pana powiadomię. Do tego czasu proszę przygotować wypłatę.

- Zrób to, o co proszę, a otrzymasz należne wynagrodzenie. - Tranville ruszył ulicą, lecz po chwili się zatrzymał. - Chcę, żebyś namalował dwa portrety. Jeden będzie moim prezentem dla panny Blane; drugi zostanie u mnie.

Jackowi nie spodobał się ten pomysł. Nie mógł spokojnie myśleć o tym, że Tranville będzie miał u siebie wizerunek Ariany.

- W takim razie podwajam cenę - powiedział ostrym tonem.

- Chcesz podwoić cenę? - sapnął Tranville. - Jestem pewien, że nie zajmie ci to dwa razy więcej czasu.

- W tej sytuacji nie będę mógł przyjąć innych terminowych zleceń. Decyzja należy do pana. Oczekuję, że połowa tej sumy wpłynie jutro - dodał Jack. - W przeciwnym razie przyjmę inne zamówienie.

Tranville zamyślił się, a po chwili machnął ręką, jakby odganiał muchę.

- Pieniądze nie mają dla mnie znaczenia. Zapłacę - powiedział i pośpiesznie się oddalił.

Jack odprowadził go wzrokiem.

- Idź do diabła - mruknął, kierując się do pracowni.

Tego popołudnia Ariana nie mogła się doczekać Jacka i jego siostry. Wreszcie ujrzała przez okno, że zbliżają się do drzwi pensjonatu. Wybiegła na korytarz.

- Betsy, idą moi goście! - krzyknęła do służącej. - Powiedz im, że zaraz zejdę. Niech zaczekają w holu.

- Dobrze, panienko.

Ariana szybko wróciła do pokoju i włożyła ciemnozielony płaszcz, który tego dnia został przyniesiony od modniarki. Całości dopełniały dobrany kolorystycznie zielony kapelusz i rękawiczki z żółtobrązowej skóry. Przyjrzała się swemu odbiciu w lustrze, mając nadzieję, że strój spodoba się Jackowi. Gdy stanęła u szczytu schodów, natychmiast natknęła wzrok przyglądającego się jej z dołu Jacka. Na wspomnienie chwil spędzonych w jego ramionach zrobiło się jej gorąco.

- Jestem gotowa. - Uśmiechnęła się do Nancy. - Miło mi znów panią spotkać, pan-  
no Vernon.

- Mnie również jest bardzo miło.



- Michael nie mógł przyjść?

- Ma ważne zajęcia.

- Szkoda.

Jack otworzył przed nimi drzwi i wyszli na ulicę.

- Piccadilly jest odległe o niecałą milę stąd. Czy mają panie ochotę się przejść?

- Spacer dobrze nam zrobi - uznała Nancy.

- Panno Blane? - zwrócił się Jack do Ariany. Ujęła go pod ramię.

- Doskonały pomysł.

Nancy ożywiła się na widok Egyptian Hall.

- Wygląda jak te egipskie budynki z rycin.

Fasada budynku miała przywodzić na myśl wejście do egipskiej świątyni; nad kolumnami przy wejściu stały dwa duże posągi Izydy i Ozyrysa. Obramowania okien zdobiły egipskie symbole, sprawiające wrażenie wykutych w kamieniu.

- Wygląda imponująco - orzekł Jack.

Kupili bilety wstępu i weszli do środka. Wkrótce znaleźli się w ogromnej dusznej sali, na środku której prezentowano ekspozycję dzikich zwierząt. Ptaki i mniejsze ssaki umieszczono w gablotach i szafkach gęsto zawieszonych na ścianach i ustawionych pod nimi.

Ariana rozejrzała się dookoła, nie kryjąc rozczarowania.

- Same martwe zwierzęta.

- Och! - Nancy podeszła do słonia i podtrzymując kapelusz, zadarła głowę. - Nigdy bym nie przypuszczała, że słonie są tak olbrzymie. - Okrążyła centralną część wystawy, przystając przy hipopotamie, niedźwiedziu polarnym i zebrze.

Ariana wsunęła Jackowi rękę pod ramię. Korciło ją, żeby go pocałować. Ich spojrzenia się spotkały. Wyrażały to samo - wielkie pożądanie.

- Lepiej będzie, jak obejrzę ptaki - rzekł Jack.

- A ja dotrzymam towarzystwa twojej siostrze.

Dołączyła do Nancy. Entuzjazm dziewczyny okazany na widok wielkich zwierząt zdążył już się ulotnić. Nancy szklanym wzrokiem wpatrywała się w zebkę.

- Jest bardzo podobna do konia - zagadnęła Ariana.

Nancy zamrugnęła powiekami, najwyraźniej wyrwana z rozmyślań.

- To prawda.

- Odniosłam wrażenie, że jest pani dzisiaj smutna, panno Vernon. Co się stało?

- Nic, naprawdę.

- Nie udało się pani mnie przekonać.

Nancy popatrzyła na niedźwiedzia polarnego.

- Chodzi o to, że lord Tranville zamierza znaleźć mi męża.

- Naprawdę?! - Ariana nie posiadała się z oburzenia.

Przeszły w stronę szafek z wypchanymi gadami.

- Na razie nie chcę wychodzić za mąż.

- Powiedziała pani Tranville'owi o Michaelu?

Nancy spłonęła rumieńcem.

- Pani mówi tak, jak by to był mój narzeczony, a jesteśmy tylko przyjaciółmi. Został mu rok do skończenia studiów, a potem musi u kogoś podjąć pracę. A poza tym... może wcale mnie nie chcieć.

- Nie chcieć pani? - Ariana nie miała żadnych wątpliwości co do tego, że Michael kocha Nancy.

- Z powodu mojej rodziny... Chyba zna pani naszą sytuację.

Ariana nie od razu zrozumiała, co Nancy ma na myśli, lecz po chwili dotarło do niej, że poza światem teatru romanse hańbiły kobietę, uniemożliwiając jej bywanie w towarzystwie.

Dwaj młodzi dandysi zaczęli natarczywie im się przyglądać, zbierając się na odwagę, by podejść.

- Powinniśmy dołączyć do pani brata - powiedziała Ariana.

Jack uśmiechnął się na ich widok i we trójkę wyszli z sali.

- Czy Nancy powiedziała ci, co ją martwi? - spytał szeptem Ariane.

- Podobno lord Tranville szuka dla niej kandydata na męża.

- Okropny człowiek - wycedził Jack.

Weszli do sali, w której zaprezentowano osobliwości mórz południowych. Znajdowały się tam wypchane gady, owady i ptaki, inne niż te, które były wystawione w

zwiedzonym poprzednio pomieszczeniu. Ariana miała ochotę przejść dalej, lecz Jack bardzo uważnie przyglądał się każdej muszli i kawałkowi rafy koralowej.

- Chodźmy - powiedziała cicho do Nancy, ujmując ją za ramię. - Będziemy obok - zwróciła się do Jacka.

Wystawiono tu eksponaty z Ameryki. Nad wszystkim górował posąg czerwono-skórego Indianina w stroju bojowym. Dwaj mężczyźni z zainteresowaniem przyglądali się rzeźbie. W jednym z nich Ariana rozpoznała Edwina Tranville'a; drugim był lord Ullman zasiadający wraz z lordem Tranville'em w komitecie Drury Lane. Ariana natychmiast ruszyła do drzwi, lecz zanim zdążyły wyjść z sali, wypatrzył je lord Ullman. Pomachał ręką i podszedł do nich.

- Panna Blane!

Lord Ullman był czterdziestokilkuletnim mężczyzną przeciętnego wzrostu.

- Panno Blane, cieszę się, że panią widzę. - Przeniósł wzrok na Nancy i raptem jego oczy zrobiły się okrągłe jak spodki. - Czy mógłbym zostać przedstawiony pani uroczej przyjaciółce? - Sprawiał wrażenie oniemiałego z wrażenia.

Ariana ściągnęła wargi. Lord Ullman najwyraźniej przypuszczał, że Nancy również jest aktorką. Popatrzyła na Edwina, który im się przyglądał, lecz nie zdecydował się podejść. Jack z pewnością nie życzyłby sobie znajomości siostry z Edwinem, uznała Ariana. Dokonała prezentacji, na której tak zależało Ullmanowi, mówiąc:

- Panno Vernon, to jest lord Ullman, znany mi z teatru.

- Jestem zauroczony. - Dżentelmen nisko się skłonił.

Nancy skinęła głową.

Ariana zwróciła się do lorda Ullmana:

- Nancy nie należy do zespołu. Przyszła tu z bratem, który jest artystą i maluje mój portret. Ogląda teraz eksponaty w sąsiedniej sali. - Była pewna, że Ullman straci zainteresowanie Nancy, dowiedziawszy się, że dziewczyna nie jest płochą aktoreczką. - Poprosiłam pana Vernona, żeby przyprowadził mnie tu na wystawę dzieł sztuki egipskiej. Zależy mi na tym, żeby portret Kleopatry miał odpowiedni klimat.

Lord Ullman nie odrywał wzroku od Nancy.

- Rozumiem.

- Właśnie mieliśmy zamiar wyjść - dodała Ariana.

Ullman wydawał się jej nie słyszeć.

- Towarzyszy pani swemu bratu, panno Vernon?

Nancy zmarszczyła brwi, zakłopotana.

- Jeśli mnie o to poprosi... - Cofnęła się w stronę drzwi.

Ullman uśmiechnął się.

- Jestem niezmiernie rad, że zdecydowała się pani mu dzisiaj towarzyszyć.

Nancy nie musiała odpowiadać na ten kłopotliwy komplement, gdyż podszedł do nich Edwin. Zmierzył Nancy nieprzychylnym spojrzeniem.

- Mam wrażenie, że ilekroć się obróczę, wpadam na Vernonów.

- Jest mi równie miło widzieć pana - odgryzła się Nancy.

Lord Ullman posłał Edwinowi karcące spojrzenie.

- Zachowałeś się bardzo nieuprzejmie, młody człowieku. Nie zamierzam tego tolerować.

Ariana dygnęła.

- Musimy już iść. Życzę panom miłego dnia.

Szybko oddaliły się w poszukiwaniu Jacka. Nancy podbiegła do niego i chwyciła go za rękaw.

- Że też akurat musiałam tu spotkać Edwina! - Popatrzyła na Arianę. - To syn Tranville'a. Znamy go od dzieciństwa. Był nieznośnym chłopcem, ciągle mi dokuczał i wszczynał bójki z Jackiem.

Jack wyjrzał na korytarz i zobaczył Edwina w drzwiach sąsiedniej sali. Przez chwilę mierzyli się spojrzeniami.

- Trzymaj się od niego z daleka - ostrzegł Nancy.

- Nie chcę być tu, gdzie on. Czy możemy już iść?

Jack popatrzył pytająco na Arianę.

- To, co widziałam, w zupełności mi wystarczy - stwierdziła, chociaż nie udało jej się zobaczyć ani jednego dzieła sztuki egipskiej.

Przeszli korytarzami do wyjścia i wkrótce znaleźli się na Piccadilly.

- Nie podoba mi się to, że Edwin już dwa razy zobaczył nas razem - szepnął Jack do Ariany.

- Wyjaśniłam jego towarzyszkowi, że przyszedliśmy tu w związku z pracą nad portretem. Wątpię, czy Edwin coś podejrzewa. - Była ciekawa, jakie jest źródło tak głębokiej niechęci młodych Vernonów do Edwina Tranville'a.

- Jestem zadowolona, że się od niego uwolniłam. - Nancy rozejrzała się po okolicznych wystawach. - Jack, czy mogę wejść do sklepu z perfumami?

Obejrzał się w stronę Egyptian Hall, chcąc się upewnić, czy Edwin ich nie śledzi.

- Dobrze. W takim razie wstąpię do pana Hewletta. - Wskazał sklep z artykułami dla artystów. - Spotkamy się przed wejściem do perfumerii.

Ariana podążyła za Nancy do sklepu z pachnidłami. Jej myśli krążyły wokół Jacka. Martwiło ją to, że czuł się prześladowany przez Edwina; pragnęła poznać przeszłość Jacka i jego obecne przekonania i poglądy.

- Chciałabym kupić próbkę dla mamy - powiedziała Nancy, gdy zbliżały się do kontuaru.

Miała na myśli małą fiolkę perfum, sprzedawanych w niewielkiej ilości, by klient mógł poznać wiele różnych kompozycji. Podeszła do właściciela sklepu i wdała się z nim w rozmowa o pachnidłach, co chwila wskazując kolejne złożone i emaliowane buteleczki. Rozmowa przedłużała się. Ariana podeszła do okna i zapatrzyła się na ulicę. Po pewnym czasie zobaczyła Jacka wychodzącego ze sklepu z farbami.

- Zaczekamy na panią na zewnątrz - zwróciła się do Nancy. Dziewczyna kiwnęła głową i uniosła buteleczkę o wydłużonej szyjce.

- Nancy dołączy do nas za kilka minut - powiedziała Ariana, gdy podszedł do niej Jack. Wciąż sprawiał wrażenie zaniepokojonego. - Przykro mi, że Edwin Tranville tak cię zdenerwował.

- Wybacz mi. Nie jestem dobrym towarzyszem.

- W zupełności wystarcza mi to, że mogę być z tobą. Chciałabym, żebyś dziś wieczorem do mnie przyszedł.

- To byłoby bardzo nierozsądne.

- Nic mnie nie obchodzi, czy ktoś nas zobaczy, czy nie - powiedziała śmiało.

- Nie możemy być widziani razem. Tranville gotów się za to na tobie zemścić. Możemy się spotykać jedynie w pracowni. Bądź u mnie jutro rano.

Skinęła głową na znak zgody. Jack mówił o pozwaniu, lecz marzyła o powtórzeniu tego, co działo się poprzedniej nocy. Wskazała pakunek, który trzymał w ręku, owinięty w brązowy papier i związany sznurkiem.

- Co kupiłeś?

- Kilka pędzli i farby. - Uśmiechnął się. - Całe mnóstwo bieli.

Domyśliła się, że te farby miały mu posłużyć do malowania jej portretu.

Nancy wyszła z perfumerii, niosąc prezent dla matki.

- Kupiłam piękną mieszankę zapachu róży, fiołka i jaśminu - wyjaśniła i popatrzyła na Jacka. - Mam nadzieję, że spodoba się mamie.

Jack otoczył ją ramieniem.

- Jestem tego pewny.

Wrócili na Henrietta Street. Ten dzień nie ułożył się w pełni po myśli Ariany, a w dodatku musiała czekać przez całą resztę popołudnia, wieczór i noc na ponowne spotkanie z Jackiem.

Tego wieczoru, po ciągnącym się dla niej w nieskończoność przedstawieniu „Romea i Julii”, Ariana pełniła swe obowiązki w Zielonym Pokoju. Był tam Tranville, zagrożony w rozmowie z lordem Ullmanem. Miała nadzieję, że Ullman nie wspomni Tranville'owi o jej wizycie w Egyptian Hall. Ku jej wielkiej uldze, Tranville do niej nie podszedł, chociaż wodził za nią wzrokiem jak kot za myszą. Przyłapując go na pożądliwych spojrzeniach, odwracała głowę. Niestety, w pewnej chwili drogę zagroził jej Edwin Tranville, ze szklaneczką w dłoni. Usiłowała go wyminąć, lecz jej to uniemożliwił. Uśmiechnął się szyderczo.

- Zastanawiam się, co by sobie pomyślał- mój ojciec, gdyby się dowiedział, że zadaje się pani z Vernonami.

- Czemu miałyby to interesować pańskiego ojca?

- Ullman o wszystkim mi powiedział. Mój ojciec, ten żaloszny dureń, ugania się za panią.

- Jeśli ojciec o niczym panu nie mówi, ja z pewnością też tego nie zrobię.

- Celną riposta. - Roześmiał się i duszkiem wypił zawartość szklaneczki. - Zanim mnie pani odprawi, pozwoli pani, że powiem jej coś o Jacku. Mimo że wysoko zadziera nosa, jego matka jest zwykłą dziwką.

Miała ochotę uderzyć go w twarz, dotknięta do żywego. Postanowiła jednak nie mieszać w to Jacka. Pochyliła się ku niemu i szepnęła:

- Kiedyś ktoś tak nazwał moją matkę, jej kochanek go zastrzelił.

Edwin cofnął się o krok.

- Radzę uważać na słowa, panie Tranville. Może pan zostać wyzwany na pojedynek o świcie. - Odeszła, by dołączyć do grupy skupionej wokół dyrektora Arnolda.

Obejrząwszy się przez ramię, zobaczyła, że Edwin zbladł i podszedł do ojca, wciąż rozmawiającego z Ullmanem.

TLR



## Rozdział jedenasty

Następnego dnia Jack wstał wcześnie, by przygotować blejtram przed przyjściem Ariany. Mając na sobie jedynie poplamioną farbami koszulę i spodnie, sporządził ramę i naciągnął na nią płótno. Pojawienie się Edwina zakłóciło ich wizytę w Egyptian Hall, lecz dzisiaj, o ile dopisze im szczęście, żaden Tranville nie przeszkodzi im w pracy.

Malowanie dawało mu niemal tyle samo radości i satysfakcji, co kochanie się z Arianą. Pragnął, by portret spełnił jej oczekiwania. Chciał, by stworzony przez niego wizerunek na zawsze utrwalił jej piękno, istotę jej osobowości. Kiedy obił ramy płótnem, umieścił blejtram na sztaludze i przeszedł do kuchni przygotować farby. Na kamiennej płytce zmieszał pigment z olejem lnianym i dodał kilka kropel terpentyny dla uzyskania odpowiedniej konsystencji. Zebrał mieszaninę szpachelką do pęczera i związał go, tak że potem, w razie potrzeby, nakłuwał go gwoździem, by wydobyć niewielką ilość farby naraz. Pozostałą część mikstury nałożył na drewnianą paletę.

Powróciwszy do sztalug, sięgnął po szeroki pędzel i zaczął pokrywać płótno cienkimi warstwami bieli. Kiedy płótno wyschnie, będzie mógł przystąpić do malowania. Niektórzy artyści kupowali teraz gotowe blejtramy, jednak Jack lubił przygotowywać je sam. Cieszyły go te proste czynności, pozwalające oderwać się od codziennych problemów. Nie bez znaczenia był też fakt, że mógł dzięki temu oszczędzić trochę pieniędzy. Ustawił szezlong tak, by światło padało nań pod odpowiednim kątem.

Kiedy wyjrzał przez okno, nie był zaskoczony widokiem Ariany patrzącej w jego stronę. Otworzył przed nią drzwi, zanim zdążyła zapukać.

- Jack! - krzyknęła, rozpromieniona.

Ledwie zamknęły się za nimi drzwi, wpadła mu w ramiona, nadstawiając usta do pocałunku. Szpilki wysunęły się z jej gęstych włosów, które opadły na plecy i ramiona. Jack odpiął haftkę peleryny, zsunął ją z ramion Ariany i pozwolił ześliznąć się na podłogę do jej stóp. Szybko wsunęła mu dłonie pod koszulę, niecierpliwie przebiegając nimi po plecach. Ściągnęła z niego koszulę i przywarła wilgotnymi wargami do jego torsu. W odpowiedzi uniósł jej spódnice.

W pewnej chwili Jack otworzył oczy i zorientował się, że okna, przez które do pracowni wpadało światło, pozwalają przechodniom na obserwację wydarzeń we wnętrzu. Chwycił Arianę na ręce i zaniósł do sypialni. Musieli przez chwilę przyzwyczajać się do ciemniejszego pomieszczenia. Jack położył Arianę na łóżku. Natychmiast się obróciła, prosząc, by pomógł jej się rozebrać.

Położył jej dłoń na ramieniu.

- Zaczekaj. To, co robimy, może mieć poważne konsekwencje.

- O czym ty mówisz? Przecież nikt nie wie, co robimy...

Delikatnie uniósł palcem jej podbródek.

- Chodziło mi o to, że możemy... mieć dziecko.

- Nie martw się. Trudno być w teatrze i nie słyszeć o takich rzeczach.

Poczuł ulgę.

- Rozsznurujesz mi gorset? - spytała, odgarniając włosy z pleców.

- Z rozkoszą. - Pocałował ją w kark, po czym przystąpił do dzieła.

Ściągnął jej suknię przez głowę i szybko uporał się ze sznurówkami gorsetu. Ariana zdjęła koszulkę i wkrótce wszystkie części garderoby tworzyły bezładny stos na podłodze. Miała teraz na sobie jedynie trzewiki i pończochy; wyglądała niezwykle kusząco. Jack ściągnął spodnie i stanął przed nią nagi, w całej męskiej krasie.

- Czy ty zdajesz sobie sprawę z tego, jaki jesteś wspaniała?

Kucnął, by zdjąć jej buty.

- To ja powinienem ci powiedzieć te słowa.

- Wiem, że jestem zbyt gadatliwa.

Powędrował dłonią wzdłuż jej nogi ku podwiązce.

- Zbyt piękna... tylko tyle...

Wsunęła mu palce we włosy, gdy ściągał jej pończochy. Kiedy wstał, opanowując się z najwyższym trudem, delikatnie pchnął Arianę na łóżko.

- Pragnę cię - wyszeptał jej do ucha, pieszcząc jej piersi.

Była już gotowa. Wtuleni w siebie, osiągnęli to rzadkie poczucie spełnienia, które możliwe jest tylko wtedy, gdy obie strony doskonale rozumieją swoje potrzeby. Po wszystkim Jack położył się na plecach i zamknął oczy. Usiłował stworzyć w swej wy-

obrażni obraz tego, co przeżyli, nadając mu kształt i kolor. Przypominało mu to dekoracje świetlne, które zeszłego lata widział w Vauxhall Gardens, barwne i wesołe.

Przytulił do siebie Arianę i obsypał ją pocałunkami.

- To było... - zaczęła.

Nakrył jej usta dłonią.

- Pozwól, że tym razem to ja będę zbyt gadatliwy. To było... bardzo miłe.

- Co za niedomówienie. - Roześmiała się. - Mam niewielkie doświadczenie w tych sprawach, ale określiłabym to jako coś cudownego.

- Nie masz doświadczenia?

- Przed tobą w moim życiu był tylko jeden mężczyzna, Jack. - Poglądziła go po twarzy. - Miałam wtedy dziewiętnaście lat. Był starszym aktorem, a nasza znajomość nie przetrwała tygodnia. Wiele mnie nauczył... ale nie było w tym miłości - dodała po chwili.

- Bałam się, że nie spodoba mi się żaden mężczyzna, dopóki nie poznałam ciebie.

Czyżby oparła się zakusom dżentelmenów tłumnie odwiedzających Zielony Pokój?

- zadał sobie w duchu pytanie Jack. Nawet w okazałym powozie, do którego wsiadła po wernisażu w Somerset House wtedy, gdy spotkali się po raz pierwszy? Musiał mieć niedowierzanie wypisane na twarzy, gdyż Ariana posmutniała.

- Moja matka jest znana z licznych romansów. Ja nie.

Poglądził ją po ramieniu.

- Wierzę ci. Jestem jedynie zdumiony, że udaje ci się od lat unikać tych wszystkich adoratorów.

- Odtrącam ich, starając się jednak za bardzo nie urazić ich próżności. Doszłam w tym do sporej wprawy. Między innymi dlatego nie boję się Tranville'a.

Usiadł na łóżku.

- Proszę cię, uważaj na niego i na jego syna. Był w teatrze wczoraj wieczorem?

- Tak, ale się do mnie nie odezwał. - Oparła się o Jacka. - Nie chcę, żeby rozmowa na jego temat zepsuła nasze spotkanie.

- Powinniśmy zabrać się do pracy - powiedział, kładąc głowę na jej ramieniu.

- Jeszcze tylko jeden pocałunek - poprosiła, przywierając do jego warg.

Znów udało jej się rozpaścić mu zmysły, lecz zmusił się do opanowania.

- Naprawdę musimy pracować. Ucieknie nam najlepsze światło.

Westchnęła z rezygnacją.

- Niestety, obawiam się, że masz rację.

Zsunęła się z łóżka i bosy przeszła przez pokój, prezentując kobiece wdzięki. Otworzyła pudło i wyjęła z niego białą muślinową suknię, na którą się zdecydowali.

- Na rycinach w Royal Academy of Art widziałam egipskie kobiety bez butów. Kleopatra powinna być bosa.

- Mam inny pomysł. Włóż tę drugą, muślinową.

- Tę drugą? - Nie kryła zaskoczenia. - Myślałam, że zdecydowaliśmy się na tę.

- To prawda. - Wstał i szybko się ubrał. - Chciałbym cię jednak jeszcze raz zobaczyć w tej drugiej.

- Dobrze, ale pamiętam, że w tamtej było widać gorset.

- Nie wkładaj gorsetu. Proszę, spełnij moją zachciankę. - Usiłował znaleźć jakiś powód chwilowej zmiany decyzji. - Ta szata jest przezroczysta. Chcę cię w niej zobaczyć.

Raptem Ariana stała się czujna.

- Chcesz, żebym ci pozowała bez bielizny?

Brzmiało to jak prośba o pozowanie nago, co nawet prostytutki uważały za rzecz wstydliwą.

- Nie. Chcę tylko popatrzeć.

Przez twarz Ariany przemknął zmysłowy uśmiech. Wyjęła suknię z pudła, włożyła ją przez głowę i odwróciła się w stronę Jacka. Sięgnął po złote łańcuchy, które przyniosła z teatru, i chwycił ją za rękę.

- Chodźmy do pracowni.

Pozwoliła mu się zaprowadzić do widnego pokoju, oświetlonego promieniami słońca. Jack przewiązał strój w pasie jednym z łańcuchów, a pozostałe okręcił wokół szyi Ariany. Potem długo jej się przyglądał ze wszystkich stron, zastanawiając się nad układem barw i grą światłocieni. Myśl o malowaniu Ariany w tym kostiumie była wyzwaniem, trudno jednak było poważnie rozważać aż tak śmiały pomysł.

- Chcesz mnie namalować w tym stroju? - spytała zdziwiona Ariana.

Patrzył na nią długo. Korciło go, by powiedzieć „tak”, jednak machnął ręką.

- Nie, włóż tamtą suknię.

Następne dwa tygodnie były jednymi z najwspanialszych w życiu Ariany. Popołudnia często zajmowały jej próby do „Antoniusza i Kleopatry”, a wieczorami była potrzebna w teatrze i pomagała przy różnych pracach. Bez przykrości chodziła nawet do Zielonego Pokoju. Jednak to ranki czyniły jej życie cudownym. Codziennie spotykała się z Jackiem, kochali się, a potem pozowała do portretu.

Czasami był tak skupiony na pracy, że w ogóle się nie odzywał; kiedy indziej znów opowiadali sobie różne historie dotyczące ich losów. Jack starannie dobierał tematy opowieści. Poznała więc wiele szczegółów z okresu przed śmiercią ojca, natomiast trudno było jej się dowiedzieć czegoś więcej na temat późniejszych wydarzeń. Mówił o wojnie w Hiszpanii i Portugalii, o tym, co tam widział, słyszał i czuł, ale nie opisywał bitew, w których brał udział.

Pozując, Ariana opowiadała o dorastaniu w szkole dla dziewcząt, o matce i jej licznych kochankach, o tym, jak uciekła ze szkoły, by dołączyć do zespołu teatralnego. Idylę mąciła jednak świadomość, że wizerunek nie w pełni zadowala Arianę. Z początku była zafascynowana tym, jak obraz pochłania coraz większą powierzchnię płótna, później jednak uzmysłowiła sobie, że czegoś w nim brakuje. Była rozczarowana, z czego Jack zdawał sobie sprawę.

Do tego dołączał się niepokój związany z faktem, że praca jest już niemal na ukończeniu. Ariana nie musiała już pozować, lecz oboje woleli nie poruszać tego tematu. Tego dnia po sesji wstała i przyjrzała się dziełu.

- Jack, portret jest wspaniały, ale... - Urwała.

- Ale co? - Wymówił to niemal oskarżycielskim tonem.

- Wiesz, o co mi chodzi. - Nie miała ochoty wciąż tego powtarzać. - Brakuje mu emocji.

Bezradnie rozłożył ręce.

- Maluję, co widzę.

Musiała przyznać, że był niezwykle bystrym obserwatorem. Płótno w przeważającej części było białe, jakby Kleopatra siedziała w pokoju wyłożonym białym marmurem,

lecz biel miała subtelne odcienie innych barw w miejscach zacienionych, w hieroglifach, w detalach pomieszczenia i stroju. Sama Kleopatra była pełna kolorów. Barwna była jej skóra, włosy, oczy obwiedzione czarnym konturem. Złota obroża na jej szyi błyszczała, a chociaż czerwone poduszki zajmowały niewiele miejsca na egipskim łożu, na którym spoczywała Kleopatra, doskonale podkreślały czerwień jej warg.

- Lekceważysz emocje, Jack - powtórzyła.

- Jestem pewien, że postępuję tak samo, jak wtedy, gdy malowałem Nancy.

- W obrazie Nancy jest coś, co ją ożywia. W jej twarzy widać młodzieńczy zapał, nadzieje związane z przyszłością.

- Ariano... Nancy mi pozowała, a ja malowałem to, co widziałem.

- W takim razie postrzegasz mnie jako osobę pozbawioną życia. - W jej głosie po-brzmiewała nuta pretensji. - Malując Nancy, nie bałeś się zaznaczyć, że ją kochasz.

- Oskarżasz mnie o to, że nie okazuję wobec ciebie żadnych emocji?

Udowodnił jej to, co do niej czuł, na tysiąc sposobów, chociaż nie wyznał jej miłości. Bolało ją to, że nie usłyszała słowa „kocham”.

- Jakie są twoje uczucia, Jack? - Wskazała portret. - Nie widać ich tutaj.

Podszedł do niej i chwycił ją za ramiona.

- Dziwię się, że musisz mnie o to pytać, Ariano. - Jego oczy wyrażały taką pasję, że zabrakło jej tchu. Dlaczego nie potrafił wyrazić ich na portrecie?

- Z jakiegoś powodu ten obraz zmusza mnie do zadawania takich pytań. - Zamyśliła się. - Co czujesz, kiedy mnie malujesz? O czym myślisz?

Puścił ją i przeczesał włosy palcami.

- O tym, że Tranville będzie miał twój portret i będzie codziennie na niego patrzył.

- Tranville - powtórzyła z goryczą w głosie.

Czy kiedykolwiek uda jej się uwolnić od Tranville'a? Mimo że już się nie naprzykrzał, wciąż czuła na sobie jego wzrok w Zielonym Pokoju i na scenie, gdy zasiadał w łoży. W czasie prób zdarzało mu się stać za kulisami i ją obserwować. Nie mówiła o tym Jackowi.

- Pamiętaj, że ja też będę miała portret - przypomniawszy mu. - Chciałabym, by odzwierciedlał to, co jest między nami, i żeby inni ludzie widzieli w nim te emocje, kiedy



będą go oglądać na rycinach. - Skierowała się do sypialni. - Idę się przebrać. Jeśli to już wszystko, wrócę do teatru.

Nie wiedziała, czy jest zła na Tranville'a za to, że się wtrąca, czy na Jacka, który pozwolił mu grać pierwsze skrzypce. Zdjęła suknię i rzuciła ją na łóżko. Zaczęła się ubierać w codzienny strój, gdy do pokoju wszedł Jack.

- Możesz zostać dłużej? - zapytał.

- Myślę, że powinnam już iść.

Podszedł do niej i położył jej ręce na ramionach.

- Masz rację co do portretu. Spróbuję innego rozwiązania. - Przesunął dłońmi wzdłuż jej ramion i objął ją w pasie. - Chciałbym, żebyś mi pozowała w tej przezroczy-  
stej sukni - Rozsznurował jej gorset. - Bez gorsetu.

Uniosła brwi.

- Nie mając nic pod spodem?

- Tak. Od dnia, w którym przyniosłaś tu te kostiumy, marzyłem o tym, żeby cię namalować w tym stroju. Może to jest najlepsze wyjście z sytuacji.

Wpatrywała się w niego z niedowierzaniem.

- Wiem, że naraziłbym cię na publiczne potępienie, gdyby końcowe dzieło poka-  
zywało twoją nagość, ale ją zamaluję. Na portrecie będziesz w tej drugiej białej sukni.

Wyobraziła sobie Jacka, wpatrującego się w każdy cal jej nagiego ciała i widzącego zarazem jej duszę. Ta wizja pobudziła jej zmysły. Serce mocno biło jej w piersi. To były te emocje, które chciała widzieć na portrecie. Zdjęła gorset.

- Zrób to! - zawołała. - Zaczniemy już teraz!



## Rozdział dwunasty

Nancy pożegnała się z Michaeliem na rogu Strandu i Adam Street. Miała nadzieję, że zdąży on na zajęcia w Somerset House. Poprosiła, by nie odprowadzał jej pod drzwi domu. Coraz trudniej było im się rozstawać. Starali się znaleźć kolejny temat do rozmowy, żeby opóźnić chwilę pożegnania.

Michael szybko ruszył ulicą. Uśmiechnęła się, odprowadzając go wzrokiem. W pewnej chwili odwrócił się i przystanął, jakby chciał się cofnąć. Uniosła wiązanek kwiatów, którą jej ofiarował, i pomachała mu na pożegnanie.

Cały Michael, pomyślała. Gotów spóźnić się na zajęcia z jej powodu. Co by bez niego zrobiła? Michael był jej najlepszym przyjacielem, o wiele lepszym niż jej koleżanki ze szkoły w Bath, które plotkowały za jej plecami o matce i lordzie Tranville'u. Gdyby nie Michael, Nancy nie opuszczałaby londyńskiego mieszkania. Odkąd ponownie zaczął u nich bywać Tranville, matka nie ruszała się z domu. Nancy z rosnącą niechęcią odnosiła się do jego wizyt. Tranville przyglądał się jej szacującym wzrokiem, jakby się zastanawiając, za kogo może ją wydać za męża. Z rozmarzeniem powąchała kwiaty od Michaela i powlokła się w stronę domu. Stanąwszy przed drzwiami, usłyszała, jak zegar wybija pierwszą. Obiecała matce, że wróci przed południem.

W holu dobiegł ją głos Tranville'a, dochodzący z salonu. Nancy szybko przeszła do tylnej części domu, chcąc uniknąć spotkania. Zamierzała zejść do kuchni schodami dla służby wstawić kwiaty do wody. Służący akurat szedł na górę.

- Witaj, Wilson - powiedziała. - Powiedz mamie, że wróciłam. Wstawię kwiaty do wazonu, a potem będę w swojej sypialni.

- Pani matka prosi, żeby przyszła pani do salonu, panienko - poinformował Wilson.

Nancy zstąpiła ze schodka.

- Pójdę tam później. Ma gościa.

Wilson zagrażał jej drogę.

- Pani matka wyraźnie podkreśliła, żeby panienka poszła do salonu, jak tylko wróci.

Nancy westchnęła.

- Pewnie chodzi o moje spóźnienie.

Wyciągnął ku niej rękę.

- Proszę podać mi swoje rzeczy. Zajmę się też kwiatami panienko.

Czyżby matka aż tak bardzo miała jej za złe spóźnienie? Stojąc na wąskich schodach, podała Wilsonowi bukiet, a potem kapelusz i rękawiczki. W końcu zdjęła płaszcz. Zdała sobie sprawę z tego, że zachowuje się jak dziecko, przed wejściem do pokoju zmusiła się do opanowania, przyglądała spódnicy i włosy.

- Nareszcie jesteś - powitała z przyganą w głosie pani Vernon, ledwie Nancy przestąpiła próg salonu.

W pokoju był też Tranville i drugi dżentelmen, w którym Nancy rozpoznała mężczyznę z Egyptian Hall, przyglądającego się jej niezwykle zuchwale.

- Moja droga, miło cię widzieć. - Tranville podszedł do Nancy i ujął jej dłoń. - Chodź się przywitać. Słyszałem, że miałaś okazję poznać lorda Ullmana.

Lord Ullman, czerwony na twarzy, skłonił się.

- Panno Vernon. Jestem zachwycony naszym ponownym spotkaniem.

- Dzień dobry, sir.

Pani Vernon wskazała fotel.

- Proszę, usiądź z nami. Właśnie sobie miło gawędzimy.

Nancy nie widziała powodu, dla którego jej obecność była niezbędna do kontynuowania miłej pogawędki, lecz posłusznie zajęła miejsce. Lord Ullman pochylił się w jej stronę.

- Jak się pani miewa w tak pięknym dniu, panno Vernon?

- Dziękuję, bardzo dobrze.

- Pani matka powiedziała, że wybrała się pani do sklepów - ciągnął.

- Byłam w Covent Garden.

- Kupiła coś pani?

- Tylko kwiaty.

Nie miała pojęcia, dlaczego Ullman wypytuje ją w ten sposób ani czemu matka się uśmiecha.

- Rozmawialiśmy o tobie - oznajmiła pani Vernon.

Nancy szybko popatrzyła w jej stronę, wyraźnie zaniepokojona. Lord Ullman poklepał jej dłoń.

- Były to same pochwały.

Lord Tranville wstał.

- Lord Ullman chciałby ci coś powiedzieć. - Wyciągnął rękę do pani Vernon. - Chodź, Mary.

Nancy nie chciała zostać w salonie sama z lordem Ullmanem.

- Mamo, zaczekaj...

W odpowiedzi pani Vernon posłała jej zadowolone spojrzenie i wyszła z pokoju. Tranville zamknął drzwi. Nancy popatrzyła na Ullmana, nie kryjąc przerażenia. Nigdy nie była sam na sam z mężczyzną za zamkniętymi drzwiami. Nie zdarzyło jej się to nawet przy Michaelu. Lord Ullman przysunął swój fotel, tak że zetknęli się kolanami, i ujął jej ręce w swoje dłonie.

- Moja droga panno Vernon, od chwili, kiedy zobaczyłem panią w Egyptian Hall, myślę wyłącznie o pani.

- Nie potrafię sobie wyobrazić... - zaczęła, usiłując wycofać dłonie.

Trzymał je jednak mocno, po czym jedną z nich uniósł do wilgotnych warg.

- Znalazłem się w okowach namiętności...

- Namiętności?! - Ullman był prawie w wieku Tranville'a.

Nie przestawał obcałowywać jej dłoni.

- Nie spocznę dopóty, dopóki nie powie pani, że zgodzi się zostać moją. Niczego tak nie pragnę, jak tego, by mieć panią.

Zerwała się na nogi.

- Proszę nic więcej nie mówić! - zawołała Nancy. - Jestem... jestem na to za młoda!

- Nie mogła uwierzyć w to, że matka dopuściła do tak szokującego wystąpienia Ullmana.

- Mam nadzieję wyjść za mąż, sir. Jestem za młoda na romans. Nie mogę się na to zgodzić.

Roześmiał się i kolejny raz uniósł jej dłoń do warg.

- Moja kochana dziewczynko, mój ty głuptasku. Nigdy nie ośmieliłbym cię obrazić tak nieprzystojną propozycją. Chodzi mi o małżeństwo. - Przyklęknął. - Panno Vernon, czy zgodzi się pani zostać moją żoną?

- Żoną?

Opadła na oparcie fotela. Ullman wstał i przysunął swój fotel jeszcze bliżej.

- Uzyskałem zgodę pani matki oraz lorda Tranville'a. To właśnie on pośredniczył w tej sprawie i uzgadniał szczegóły. Potrzeba tylko pani zgody.

Tranville bawił się w pośrednika? Co to mogło oznaczać? Czyżby lord Tranville ją sprzedał? Czy matka się na to zgodziła?

- Nie! - wykrzyknęła Nancy. Chciała mu odmówić, co jednak zrobi, jeśli matka będzie na nią zła z tego powodu? - Nie. To znaczy... nie mogę teraz odpowiedzieć. Proszę tego ode mnie nie wymagać. To wszystko spadło na mnie tak nagle...

- Rozumiem. Prawie w ogóle mnie pani nie zna. - Lord Ullman uśmiechnął się wyrozumiale. - Zapewniam panią, że jestem człowiekiem zamożnym. Mam stary tytuł, a moje zabezpieczenia są solidne. Jestem wdowcem i mam dwójkę wspaniałych dzieci, które bardzo potrzebują matczynej troski. Cieszę się doskonałym zdrowiem. Jeśli wolno mi tak powiedzieć, jestem wystarczająco żwawy na młodą żonę. Celem mojego życia będzie zadbanie o to, by niczego pani nie zabrakło i aby czuła się pani szczęśliwa.

Wystarczająco żwawy? Nancy poczuła mdłości. W niczym nie przypominał kochanków z jej marzeń. Był stary i gruby, a do tego miał bardzo rzadkie włosy.

- Proszę...

Wstał i uniósł palcem jej podbródek.

- Pożegnaj teraz panią. Ufam, że pani matka i lord Tranville będą potrafili przełamać pani dziewiczą nieśmiałość. - Lord Ullman pochylił się i pocałował ją w usta.

Nancy poczuła się tak, jakby całowała surową rybę. Wyprostował się.

- Pozwolę sobie na jeszcze jedno zapewnienie. Oczywiście nie spodziewam się żadnego posagu. Zawarłem z Tranville'em ugodę, że po naszym ślubie zapewnię utrzymanie zarówno pani, jak i pani matce. Proszę mi uwierzyć, że jestem bardzo hojny.

Tranville porozumiał się więc w sprawie uposażenia dla matki? Od nadmiaru wrażeń Nancy kręciło jej się w głowie. Dlaczego tak postąpił? Lord Ullman głęboko się

skłonił i wyszedł z salonu. Nancy otarła usta wierzchem dłoni. Pochyliła się, mając wrażenie, że za chwilę zwymiotuje.

Do pokoju weszli pani Vernon i Tranville.

- Nie zgodziłaś się, Nancy? - spytała wyraźnie niezadowolona pani Vernon. - Jestem zaskoczona.

Tranville zmierzył Nancy surowym spojrzeniem.

- Lord Ullman złożył ci uczciwą propozycję. Lepszą niż miałaś prawo się spodziewać.

Nancy popatrzyła na matkę.

- Chcesz, żebym przyjęła oświadczenia lorda Ullmana?

- Tak, oczywiście. Będziesz zabezpieczona finansowo na resztę życia...

- Podobnie jak ty! - wypaliła Nancy.

Tranville uznał za stosowne wtrącić się do rozmowy.

- Mniejsza o to. Mówimy tu o tobie, nie o twojej matce.

Nancy popatrzyła na niego, domyślając się, że matka nie miała pojęcia o tej części umowy.

- Przecież pan... - zaczęła.

- Cii! - Spiorunował ją wzrokiem. - Nie bądź nierozsądna. Nie odrzucaj tej propozycji, dziewczyno.

- To wspaniała okazja, Nancy. Nawet nie marzyłam o tak korzystnym zamążpójściu dla ciebie.

Nancy zerwała się na nogi.

- Muszę się nad tym wszystkim zastanowić. Proszę o czas do namysłu. - Ruszyła do drzwi.

- Lord Ullman nie będzie czekał w nieskończoność - rzekł Tranville.

Nancy wyszła do holu, nie wiedząc, co począć.

- Nancy?! - zawołała z salonu matka.

Z cichym okrzykiem Nancy otworzyła frontowe drzwi i wybiegła na ulicę bez płaszcza, kapelusza i rękawiczek. Nie zastanawiała się, dokąd pędzi; chciała jedynie znaleźć chwilę wytchnienia. Usłyszała za sobą kobiecy głos.

- Panno Vernon!

Ariana w dobrym nastroju, pełna optymizmu co do portretu, wyszła z pracowni akurat w chwili, gdy przebiegła obok niej siostra Jacka. Ruszyła za nią.

- Panno Vernon!

Dziewczyna wydawała się jej nie słyszeć. Kierowała się w stronę rzeki. Ariana złapała ją za ramię już blisko brzegu i odciągnęła ze ścieżki prowadzącej nad wodę.

- Co ty wyprawiasz? - wykrzyknęła Ariana. - Co się stało?

Odniosła wrażenie, że Nancy nie od razu ją rozpoznała.

- To pani, panno Blane...

- Chciałaś się rzucić do wody?

Nancy pokręciła głową.

- Chcę iść do Somerset House. Zobaczyć się z Michaeliem.

Ariana otoczyła Nancy ramieniem.

- Rozumiem - powiedziała łagodnym tonem. - Chcesz znaleźć Michaela, ale dlaczego tak ci na tym zależy?

- Och, panno Blane! To takie straszne. Co mam robić? - spytała i się rozszlochała.

Ariana pozwoliła się Nancy wypłakać i dopiero po pewnym czasie poprosiła ją o wyjaśnienia. Usłyszała wtedy opowiedzianą jednym tchem historię. Lord Tranville nakłonił lorda Ullmana do oświadczenia i zawarł z nim układ.

- Najgorsze jest to - chlipnęła Nancy - że moja matka chce, bym za niego wyszła. A on jest w takim wieku, że mógłby z powodzeniem być moim ojcem! - Zaniósł się łkaniem.

- Chwileczkę. Spokojnie. - Ariana leciutko klepała Nancy po plecach, dopóki dziewczyna trochę nie ochłonęła. - Jestem pewna, że uda się temu zaradzić.

- Nic już nie można zrobić!

- Musimy o wszystkim opowiedzieć Jackowi.

Nancy próbowała się cofnąć.

- Jack nienawidzi Tranville'a! Gotów wyzwać go na pojedynek.

- Jestem przekonana, że Jack ci pomoże.

- Nikt nie może mi pomóc. - Nancy ukryła twarz w dłoniach. Gdy je opuściła, westchnęła: - Dobrze. Powiemy Jackowi.

Ariana zdjęła pelerynę i otuliła nią trzęsącą się z zimna Nancy. Wzięła ją pod ramię i tak, ciasno przytulone, poszły do pracowni. Przez całą drogę Nancy nie zamykały się usta.

- Chodzi przede wszystkim o to, że jeśli wyjdę za lorda

Ullmana, to on będzie łożył na utrzymanie mamy. Lord Tranville zawarł ten warunek w umowie małżeńskiej. Jeśli odmówię, być może przestanie dawać mamie pieniądze i nie będziemy miały z czego żyć.

- Czy to znaczy, że lord Tranville nawet teraz utrzymuje twoją matkę? Myślałam, że ich... związek to przeszłość.

- Utrzymuje nas od śmierci naszego ojca. Gdyby nie on, bylibyśmy biedakami.

Ariana wiedziała, że matka Jacka była niegdyś kochanką Tranville'a, lecz dopiero teraz usłyszała, że Tranville finansował całą rodzinę.

- Mama wciąż kocha Tranville'a - dodała Nancy. - Jest dla niej najważniejszy.

Czyżby matka Jacka była na tyle płocha, by stawiać Tranville'a na pierwszym miejscu, przed swymi dziećmi? Ariana myślała, że tylko jej rodzicielka wołała mężczyznę od własnego dziecka.

- Całkowicie poświęciła się dla niego - ciągnęła płacząco Nancy. - Myślę jednak, że głodowalibyśmy bez jego pomocy, chociaż Jack jest innego zdania. - Popatrzyła na Ariana pytającym wzrokiem. - Sądziłam, że Jack pani o tym wszystkim powiedział.

- Zapewne nie wydało mu się to ważne.

Nancy spochmurniała.

- Naprawdę wierzyłam w to, że lord Tranville kocha mamę, ale gdyby tak było, nie przestałby się nią opiekować. Teraz przychodziłoby mu to tym łatwiej, że odziedziczył tytuł i włości. Mam wrażenie, że chce się mamy pozbyć.

Doszły do domu Jacka.

- Ariana? Nancy? Proszę, wejdźcie.

- Och, Jack! - Nancy rzuciła mu się w ramiona, a jej oczy znów napełniły się łzami.



Popatrzył pytająco ponad jej ramieniem na Arianę. Dała mu znak, żeby uzbroił się w cierpliwość.

- Usiądź. - Zaprowadził siostrę do szeszlona.

- Zrobię herbatę. - Ariana przeszła do kuchni.

Słyszała urywaną opowieść Nancy i gniewne odpowiedzi jej brata. Wniosła tacę z herbatą. Jack przechadzał się po pracowni nerwowym krokiem.

- Tranville posunął się za daleko. Czas, żebym z nim się rozprawił.

Nancy zbladła.

- Nie wolno ci go wyzywać na pojedynek!

- Zasłużył sobie na to.

- Nie!

Ariana postawiła tacę na stoliku i usiadła obok Nancy.

- Twój brat nie wyzwie Tranville'a na pojedynek. - Popatrzyła na Jacka. - Mam rację?

Nadal krążył po pokoju.

- Oczywiście, że masz, ale i tak dam mu nauczkę.

- Napijmy się herbaty i trochę ochłóńmy.

- Dziękuję za herbatę - rzucił gniewnie Jack, kierując się w stronę sypialni. - Muszę się przebrać.

Nancy walczyła ze łzami cisnącymi się jej do oczu.

- Jesteś pewna, że brat nie wyzwie Tranville'a na pojedynek?

Ariana mocno ścisnęła dłoń Nancy.

- Więcej niż pewna.

- Ale on go nie cierpi.

Ariana również znieubiła tego człowieka za to, że wniósł nieszczęście w dom ludzi, którzy stali się jej tak bliscy. Nalała Nancy herbatę.

- Proszę, napij się. Od razu poczujesz się lepiej. Nancy przełknęła łyk i westchnęła.

- Chciałabym opowiedzieć o tym Michaelowi.

- Kiedy zamierzasz się z nim spotkać? - spytała Ariana.

- Dzisiaj ma przyjść do nas na obiad, ale pewnie nie będzie okazji do rozmowy na osobności.

Jack wyszedł z sypialni.

- Nie spóźnisz się do teatru? - zwrócił się do Ariany.

Nancy podskoczyła, przerażona.

- Spóźnisz się przeze mnie!

Ariana poklepała ją po ręku.

- Aktorki mogą się czasami spóźniać. - Zmusiła Nancy do spojrzenia w jej stronę. - Może poszłabyś ze mną na próbę? To pomoże ci się uspokoić. - Popatrzyła na Jacka. - Mógłbyś potem przyjść po Nancy albo wróciłaby dorożką.

- Co ty na to? - zapytał Jack.

Kiwnęła głową, ocierając łzy.

- Mogłabym wrócić dorożką na obiad. Powiesz mamie, gdzie jestem? Wolałabym teraz się z nią nie spotykać.

- Dobrze. - Jack zapiął płaszcz. - Chodźmy. Chciałbym zastać Tranville'a u matki.

Ariana podała Nancy pelerynę, a sama otuliła się chustą, którą przyniosła z myślą o pozowaniu do portretu Kleopatry. Jack odprowadził je do Strandu i pomógł wsiąść do dorożki. Na szczęście była w pobliżu.

Ariana dotknęła jego policzka.

- Uważaj na siebie, Jack.

Nakrył jej dłoń swoją.

- Zazwyczaj ostrzegałem cię tymi słowami przed Tranville'em.

Odjeżdżając dorożką, Ariana patrzyła na malejącą sylwetkę Jacka w oddali. Udzielił jej się ponury nastrój Nancy, a na dodatek miała wrażenie, że traci szanse na wspólną przyszłość z Jackiem. Myśl o tym nie dawała jej spokoju.

## Rozdział trzynasty

Jack zdecydowanym krokiem podszedł do drzwi domu matki. Zastał Wilsona gotowego do wyjścia.

- Pani Vernon właśnie posłała mnie do pańskiej pracowni, panie Vernon. - Służący popatrzył gdzieś za Jacka. - Nie towarzyszy panu panna Vernon?

Jacka dobiegł głos matki, dochodzący z sypialni na końcu korytarza.

- Po prostu się martwię, Lionel.

- Nonsens. Uciekła do brata - powiedział Tranville. - Przestań o tym myśleć.

- Chciałam się tylko upewnić. - Pani Vernon wyszła z pokoju i zobaczyła stojącego w holu Jacka. Szybko podeszła do niego. - Czy Nancy jest z tobą?

- Nie, mam. Poszła do teatru z panną Blane.

- Z panną Blane? - W progu sypialni stanął Tranville.

Czyżby Tranville był z matką w łóżku w czasie, gdy wciąż nieznany był los jej córki? A matka się na to zgodziła? Ci dwoje budzili w Jacku coraz większe obrzydzenie.

- Chciała zobaczyć próbę. - Jack przenosił wzrok z matki na Tranville'a i z powrotem. - Widzę, że pod jej nieobecność nie tracili państwo czasu.

- Jack! - Policzki pani Vernon zabarwił rumieniec.

- Mój drogi chłopcze... - zaczął z namaszczaniem Tranville, przybierając poważny wyraz twarzy.

Jack podszedł do drzwi salonu.

- Chciałbym z państwem porozmawiać.

Wilson z aprobatą popatrzył na Jacka, po czym zwrócił się do jego matki:

- Czy będę pani potrzebny?

- Nie, Wilson. Możesz odejść. - Pani Vernon podążyła za synem do salonu.

Tranville wszedł do środka i zamknął za sobą drzwi.

- Nie masz prawa odzywać się do swojej matki albo do mnie tym tonem - powiedział z przyganą w głosie. - W dodatku w obecności służby.

- Przestań, Tranville - uciął Jack. - Służący już dawno przestali się dziwić temu, co się dzieje w tym domu. Trudno ich zaszokować. Przyszedłem, bo leży mi na sercu los siostry. Chcę się dowiedzieć, o co chodzi z tym aranżowanym małżeństwem.

- To wspaniała propozycja - powiedziała słabym głosem pani Vernon.

- Kiedy się o niej dowiedziałaś, mamó? - spytał Jack. Popatrzyła na niego, najwyraźniej zaskoczona pytaniem.

- Lionel powiedział mi o tym dziś rano.

- Czy kiedy ci to mówił, sprawa była przesądzona? - dopytywał się.

- Oczywiście. Lionel wszystkim się zajął. Jack zwrócił się do Tranville'a:

- Poczył pan ustalenia w sprawie małżeństwa mojej siostry, nie kontaktując się przedtem z rodziną? Co dało panu do tego prawo?

Oczy Tranville'a błysnęły złowrogo.

- Troska o twoich bliskich. Czy to ci nie wystarcza?

- Lord Ullman jest człowiekiem zamożnym - wtrąciła matka.

- To możliwe - odparł Jack. - Jeśli ma dobry charakter i Nancy zechce go poślubić, nie będę stawiał przeszkód. Jednak nic o nim nie wiemy.

Tranville postąpił krok w jego stronę.

- Jak śmiesz wątpić w moje dobre intencje?! Ullman jest dżentelmenem w każdym calu. Zająłem się sprawą małżeństwa twojej siostry, by jej pomóc.

- Nancy niczego nie zabraknie w tym związku - przekonywała pani Vernon. - Będzie zabezpieczona do końca życia.

- Mamó, to raczej tobie nie zabraknie niczego, jeśli Nancy wyjdzie za tego dżentelmena. To ty zyskasz zabezpieczenie.

- Mam tego dość! - warknął Tranville.

- Ja zyskam zabezpieczenie? - powtórzyła ze zdziwieniem pani Vernon. - Nie wiem, co masz na myśli.

- W umowie małżeńskiej lord Ullman zgadza się łożyć na twoje utrzymanie. Czyżby Tranville ci o tym nie powiedział?

- Czy to prawda, Lionel?

Tranville posłał mordercze spojrzenie Jackowi, lecz przemówił do pani Vernon łagodnym, uspokajającym tonem:

- Mary, nie chciałem zawracać ci głowy takimi szczegółami...

- Moja matka jest opiekunką Nancy - przerwał mu Jack. - Powinna zawczasu poznać wszystkie szczegóły umowy małżeńskiej, a zwłaszcza te, które dotyczą jej samej.

Tranville nakrył jej dłonie swoimi.

- Wiedziałem, że nie lubisz rachunków.

- Ale wolałabym o tym wiedzieć.

- Jako brat Nancy powinienem zająć się zabezpieczeniem majątkowej strony umowy.

- Ty? - Tranville się roześmiał. - A jakie masz o tym pojęcie?

- Żyję na tym świecie i wiem, co ile kosztuje. Poza tym znam moją siostrę.

- Nie wiedziałam, że nie zamierzasz dłużej mnie utrzymywać, Lionel - wtrąciła pani Vernon.

Chciał ją objąć, lecz się cofnęła.

- Mary, najdroższa. Nie wycofuję się ze złożonej ci obietnicy. Zdecydowałem się na to posunięcie z Ullmanem, gdyż w gruncie rzeczy stanowi ono spełnienie danego ci słowa. W innym przypadku nigdy bym na to nie przystał.

- To pozwoli panu zaoszczędzić mnóstwo pieniędzy - zauważył sarkastycznym tonem Jack.

- To nie ma znaczenia - odparł Tranville. - Miałem na względzie reputację twojej matki.

- Moją reputację! - wykrzyknęła pani Vernon.

- Pozwalając Ullmanowi finansować twoje wydatki, przywracam ci dobre imię - tłumaczył. - Zrozum, nikt nie będzie widział niczego złego w tym, że twój zięć bierze cię na utrzymanie. W ten sposób i ty, i twoja córka zostaniecie zaakceptowane w towarzystwie. Małżeństwo Ullmana z Nancy pozwoli wam odzyskać dobre imię. - Uśmiechnął się przepraszająco. - Myślę, że będzie ci trudno się ze mną nie zgodzić.

- Jak dotąd nie martwiłeś się o naszą reputację.

- W istocie w ogóle to pana nie obchodziło - dodał Jack.

Tranville posłał mu gniewne spojrzenie, lecz zaraz potem otoczył ramieniem panią Vernon.

- Najdroższa, na pewno rozumiesz, że sytuacja się zmieniła. Po odziedziczeniu tytułu mam obowiązek ponownie się ożenić...

Szarpnęła się.

- Ponownie się ożenić?

Jack postąpił krok w stronę Tranville'a.

- Ty wstrętny hipokryto! - rzucił. - Podjął pan rozmowy z Ullmanem, chcąc się uwolnić od zobowiązań wobec mojej matki, by móc się bez przeszkód ożenić.

Oczy pani Vernon napęły się łzami.

- Czy to prawda?

Tranville popatrzył nienawistnie na Jacka, po czym przeniósł wzrok na panią Vernon.

- Jestem zdecydowany zadbać o to, by tytuł został w rodzinie, a to oznacza, że muszę mieć potomka. Chcę spłodzić synów. Wojna omal nie zabrała mi mojego jedynaka. Rana, którą odniósł Edwin, mogła go kosztować życie.

- Nie chcę o tym więcej słyszeć. - Mary Vernon się odsunęła. - Wybacz mi, ale muszę wydać kucharce dyspozycje dotyczące obiadu.

Ledwie zamknęły się za nią drzwi, Tranville natarł na Jacka.

- To ci się nie udało.

- Mnie? - Jack zaśmiał się gorzko. - Cała odpowiedzialność za to, co się stało, spoczywa na pańskich barkach.

- Nie zamierzam przeproszać za to, że zaaranżowałem dla twojej siostry korzystne małżeństwo, na które, prawdę mówiąc, nie zasługuje, ani za to, że zapewniłem zabezpieczenie finansowe jej i waszej matce.

- Niech mnie pan nie próbuje zwieść. Wcale nie leży panu na sercu dobro mojej matki. Opracował pan ten plan, by zerwać wszystkie więzy łączące pana z byłą kochanką, by jakaś młoda dama, równie nieszczęśliwa, jak moja siostra, mogła się łudzić, że przyrzeka jej pan wierność.

- Pozwalasz sobie mnie szkalować? Chyba zapomniałeś, kim jestem! - wykrzyknął wściekły Tranville.

- Dobrze wiem, kim pan jest. Trzyma pan przy sobie moją matkę na wypadek, gdyby kiedykolwiek jej pan potrzebował.

- Ty parszywy draniu! - Twarz Tranville'a nabiegła krwią. - Tak mi dziękujesz za to, że pomagałem twojej rodzinie?! Twoja siostra ma i tak wiele szczęścia, że jakikolwiek mężczyzna, a co dopiero mówić o parze Anglii, chce się z nią ożenić.

Jack zbliżył twarz do twarzy Tranville'a.

- Moja siostra może napełnić dumą każdego mężczyznę. Jest wspaniała.

- Ty niewdzięczniku! - wybuchnął Tranville. - Uratowałem twoją matkę przed życiem w nędzy.

- Nawet gdyby to była prawda, mógł pan jej pomagać, nie domagając się zapłaty w łóżku. - Jack z trudem panował nad gniewem. Miał ochotę dopuścić się rękoczynów. Ostatnio podobny gniew ogarnął go w Badajoz, gdy przyłapał Edwina na próbie gwałtu. Nadmiar emocji sprawił, że znów usłyszał echa wystrzałów.

W kącikach ust Tranville'a zgromadziła się ślina.

- Dzięki moim pieniądзом zostałeś posłany do szkoły, a potem kupiłem ci stopień oficerski...

Jack nie zwracał uwagi na łomotanie w głowie.

- Moja matka zaoszczędziła te pieniądze...

- Bo byłem tak hojny, że mogła sobie na to pozwolić! Jack starał się wrócić do rzeczywistości.

- Proszę się nie chełpić hojnością - podniósł głos, próbując zagłuszyć zgiełk panujący w jego głowie. - Moja matka spłaca panu dług, kiedy tylko przyjdzie panu na to ochota.

Jack toczył bitwę na dwóch frontach; walczył z sobą i Tranville'em.

Nancy wysiadła z dorożki i podeszła do drzwi. Z salonu niosły się podniesione głosy Jacka i lorda Tranville'a. Nie znosiła kłótni, jednak tym razem musiała się w nią włączyć. Zachowała się jak tchórz, uciekając. Dorosła kobieta uznałaby, że musi sobie pora-



dzić z sytuacją. Planowali przecież jej małżeństwo. Musiała zabrać głos we własnej sprawie. W holu dokładnie słychać było każde słowo.

- Niech mi pan nie próbuje powiedzieć, Tranville - dobiegł ją głos Jacka - że to Ullman zaproponował, iż będzie utrzymywał moją matkę. To pan to wymyślił, mając na względzie swój przyszły ożenek.

Nancy znieruchomiała. Tranville zamierzał się ożenić? To z tego powodu lord Ullman miał utrzymywać jej matkę?

- Wyjaśniłem ci już wystarczająco wiele, bezczelny szczeniaku! - wykrzyknął Tranville. - Zrobiłem to dla twojej matki i siostry, ze względu na szacunek, jakim je darzę!

- Bzdury - podsumował Jack. - A co będzie, jeśli moja siostra odrzuci oświadczyzny Ullmana? Co się wtedy stanie? Nadal będzie pan utrzymywał moją matkę?

- Twoja siostra byłaby głupia, odrzucając te oświadczyzny! - zawołał Tranville. - Jeśli twoja siostra odrzuci Ullmana, przestanę finansować waszą matkę.

Nancy głęboko zaczerpnęła tchu. Co stanie się z matką, jeśli Tranville odmówi jej wsparcia?

- Tak zamierzasz dotrzymać słowa danego mojej matce?

- Jeśli o mnie chodzi, dotrzymuję słowa, aranżując małżeństwo z Ullmanem.

Nancy zaczęła powoli się cofać w stronę wyjścia.

- Jeśli chodzi o mnie, to zarówno moja matka, jak i siostra właśnie uwolniły się od pana. Ja zadbam o ich utrzymanie.

- Ty?! - Tranville się roześmiał. - To się wkrótce okaże. Zniszczę cię. Wystarczy jedno moje słowo...

Nancy zakryła uszy dłońmi i wymknęła się z domu. Już na ulicy nasunęła na głowę kaptur peleryny Ariany, którą wciąż miała na sobie, i powoli ruszyła w stronę Strandu. Tranville okazał się inny, niż myślała. Gdyby kochał jej matkę, nie zostawiłby jej bez pensa przy duszy, aby ożenić się z inną. Zależało mu jedynie na rozkoszach łoża, to wszystko. Nancy zakryła usta i wzięła kilka głębokich oddechów. Tranville wykorzystywał jej matkę, szukając uciech cielesnych, a Ullman, mówiąc o tym, że jest jeszcze dość żwawy, aby mieć młodą żonę, pragnął jej z tego samego powodu. Ullman jej nie

kochał. Ani matka, ani brat nie mogli jej obronić. Tranville pociągał za sznurki i bawił się Vernonami jak kukiełkami, które widziała kiedyś na targu.

Gdyby odrzuciła oświadczyzny Ullmana, złamałaby życie matce, a kariera artystyczna Jacka ległaby w gruzach. Po niedługim czasie nie mieliby z czego żyć. To na niej spoczywała teraz odpowiedzialność za los rodziny. Musiała przyjąć oświadczyzny Ullmana. Łzy spłynęły jej po policzkach; czuła się potwornie samotna. Skierowała się w stronę Somerset House.

Chciała spotkać się z Michaeliem, powiedzieć mu, jak zasadniczo zmieniło się jej życie od czasu ich beztroskiego spaceru w Covent Garden. Tym razem nie biegła ślepo po pomoc do Michaela, jak tego popołudnia. Chciała jedynie, by wiedział o tym, co ona musi zrobić ze względu na dobro rodziny. Kiedy przeszła przez Southampton Street, mężczyzna idący od strony Covent Garden otarł się o nią, chwycił ją za ramię i pociągnął tak, że stanęła twarzą do niego.

- Nasza mała Nancy Vernon.

Miała przed sobą złośliwie wykrzywioną, oszpeconą blizną twarz Edwina Tranville'a. Cuchnął whisky.

- Sama na ulicy! - Roześmiał się. - To mój szczęśliwy dzień.

- Puść mnie, Edwin - poprosiła.

Najwyraźniej nie miał tego zamiaru. Pchnął ją na ścianę budynku.

- Chcę dostać buziaka od ulicznicy.

- Edwin, przestań! - Nancy próbowała wyrwać się z jego uścisku.

Uniosła nogę i wymierzyła cios obcasem w stopę Edwina. Gdy się cofnął, uderzyła go w twarz. Nie mając rękawiczek, zadrapała paznokciami jego bliznę. Zawył z bólu i chwycił się za policzek. Nancy pchnęła go tak mocno, że zatoczył się na ścianę domu. Puściła się pędem, zdając sobie sprawę z tego, na jakie niebezpieczeństwa narażona jest na ulicy samotna kobieta. Słyszała za sobą krzyk Edwina, lecz nie odwracała głowy. Przebiegła całą drogę do Somerset House i schowała się w jednym z przejść, by się przekonąć, czy Edwin jej nie goni.

Nie zdziwiło jej to, że nigdzie go nie było. Edwin uciekał z krzykiem, ilekroć ktoś podejmował walkę. Oparła się o ścianę, z trudem łapiąc oddech. Bała się wyłonić ze swej kryjówki, jednak musiała się koniecznie zobaczyć z Michaeliem.

Słońce wisało nisko nad horyzontem, a cienie wydłużyły się złowieszczo. Niedługo nauczyciel Michaela powinien skończyć zajęcia. Nancy postanowiła wyjść z kryjówki. Liczni studenci opuszczali budynek. Niektórzy, przechodząc obok, zwracali na nią uwagę, przyprawiając ją o lęk. W końcu zobaczyła Michaela, śmiejącego się z jakiejś żartobliwej uwagi przyjaciela. Nie widziała jego niebieskich oczu z tej odległości, lecz była pewna, że rozbłysły ożywieniem, a w kącikach wokół nich utworzyły się drobniutkie zmarszczki. Nareszcie czuła się bezpieczna.

Zaczekała, aż się zbliżył.

- Michael?

Kilkanaście par oczu z zaciekawieniem zwróciło się w jej stronę. Kilku kolegów Michaela gwizdnęło.

- Nancy? - Michael podszedł do niej. - Przestańcie! - krzyknął do kolegów. - To moja znajoma.

Rozległy się śmiechy, lecz Nancy nie zwróciła na nie uwagi. Liczyło się tylko to, że znalazła Michaela.

- Co tu robisz? - spytał, wyraźnie zatroskany. - Coś się stało?

- Odprowadzisz mnie do domu, Michaelu? - Miała ochotę jak najszybciej zejść z oczu jego towarzyszom.

- Oczywiście. - Pomachał ręką w ich stronę. - Do jutra!

- Dobrej nocy! - zawołał ktoś, a reszta zawtórowała śmiechem i przeciągłym wy-ciem.

Czekał, aż Nancy zacznie mówić. Postanowiła nie opowiadać mu o zdarzeniu z Edwinem. Zacerpnąwszy tchu, wyjaśniła Michaelowi, dlaczego ośmieliła się przyjść tu sama, nie zważając na grożące jej niebezpieczeństwo. Opowiedziała mu wszystko, włącznie z tym, że Tranville nie zamierza dłużej utrzymywać jej matki.

- Co mogę zrobić, Michaelu? - zapytała. - Myślisz, że mam rację, zgadzając się na małżeństwo?

- Nie poradzę ci w tej sprawie - odpowiedział zmienionym głosem.

Jego twarz wydała jej się obca i nieprzyjazna. Wyglądał jakoś... inaczej.

- Chcesz za niego wyjść za mąż? - spytał po dłuższej chwili.

- W ogóle nie myślałam o małżeństwie, ale doszłam do wniosku, że muszę go poślubić dla dobra mamy.

Szli w milczeniu. Michael wpatrywał się w czubki swych butów. Adam Street była już blisko. Gdy wejdą do domu, nie będzie miał okazji szczerze porozmawiać z Nancy.

- Nie powinienem dzisiaj składać wizyty w twoim domu.

- Nie rób mi tego! - zaprotestowała.

- Twoja rodzina ma wiele spraw do omówienia. Nie chciałbym przeszkadzać.

Przeraziła się, że jeśli Michael teraz się z nią pożegna, to nie zobaczy go do końca życia. Serce biło jej szybko, jak po biegu. Nie była w stanie złapać tchu. Zrobiło jej się ciemno przed oczami i ugięły się pod nią kolana.

- Nancy!

Poczuła, że Michael obejmuje ją ramionami.

- Muszę usiąść - wydyszała.

Nie wypuszczał jej z objęć.

- Jesteśmy niedaleko Savoy Chapel. Usiądźmy tam. Gdy drzwi ustąpiły, Michael pomógł Nancy wejść do kaplicy. Zajęli miejsca w jednej z tylnych ławek.

- Nie zostawiaj mnie, Michaelu. Nie opuszczaj mnie. - Łzy popłynęły jej z oczu.

- Nie zostawię cię - zapewnił. - Odprowadzę cię do domu.

- Nie o to mi chodziło. - Trudno jej było się wysłowić. - Jeśli... czy jak wyjdę za mąż, pozostaniesz moim przyjacielem?

Objął ją i mocno przytulił.

- Skoro musisz wyjść za mąż... - Głos mu się załamał. Wziął głęboki oddech. - Na zawsze pozostaniesz w moim sercu.

Ta odpowiedź uspokoiła Nancy, mimo że nie była pewna jej znaczenia.

Jack postanowił wrócić do pracowni. Po wyjściu Ariany poczynił znaczące postępy nad nową wersją portretu. Nie był jednak w stanie kontynuować swego dzieła, wciąż targał nim niepokój. Musiał zobaczyć się z Arianą; potrzebował jej pocieszenia i optymizmu.

zmu. Wyszedł z domu i skręcił w Strand, jednak nie dostrzegł żadnej dorożki. Udał się więc pieszo na Charles Street i do Drury Lane Theatre, nie zwracając uwagi na rozbrzmiewające w jego głowie odgłosy bitewne z Badajoz.

Wszedł do teatru tylnymi drzwiami i pokonał labirynt korytarzy prowadzących za kulisy. Nikt nie kwestionował jego prawa do pojawienia się w tym miejscu. Ariana wraz z Edmundem Keanem odgrywali scenę z pierwszego aktu.

- Nie tak szalona jestem, jak się zdaje. Antoniusz zawsze będzie Antoniuszem.

Kean odpowiedział:

- I zawsze wiernym swojej Kleopatrze. Przez wzgląd na miłość, na słodkie jej chwile. Nie traćmy czasu na cierpkich rozmowach.\*

\* przeł. Leon Ulrich

To nie są słodkie chwile, pomyślał Jack. Rozejrzał się dookoła, a choć nigdzie nie dostrzegł Nancy, czuł, że znów panuje nad sobą. Ariana zobaczyła go, schodząc ze sceny, i natychmiast do niego podeszła.

- Nie spodziewałam się tu ciebie - rzekła cicho. - Co z Tranville'em?

- Powiedziałem mu, co o tym wszystkim myślę. Gdzie jest Nancy?

- W ogóle jej tu nie było. Wzięła dorożkę i pojechała do domu.

- Nie dotarła do domu.

- Powinnam była z nią zostać, ale wydawała się spokojna i opanowana. Była zdecydowana wrócić do siebie. - Chwyciła go za ramię i pociągnęła w stronę drzwi. - Znajdź Michaela. Idę o zakład, że Nancy pojechała do niego.

Wziął ją w ramiona, nie zastanawiając się nad tym, kto może ich teraz widzieć.

- Co za dzień!

Mocno przytuliła go do siebie.

- Nie mogę ci pomóc w poszukiwaniach; zaraz wracam na scenę.

- Wiem. Przyjdź jutro, najwcześniej jak będziesz mogła. Ujął jej twarz w dłonie i pocałował ją w usta.

Gdy się cofnął, pogłaskała go po policzku.

- Zobaczysz, że kiedy wrócisz, Nancy będzie w domu waszej matki z Michaelem.

Kiwnął głową, lecz nie wierzył słowom Ariany. Tego dnia był w stanie uwierzyć jedynie w nieszczęśliwe zakończenia.

## Rozdział czternasty

Następnego ranka Ariana wstała wcześniej i natychmiast udała się do pracowni. Tak bardzo martwiła się o Nancy i Jacka, że niewiele spała. Mogło się wydawać dziwne, że troszczyła się o innych bardziej niż o samą siebie. Minęła dom pani Vernon z nadzieją, że Nancy leży bezpiecznie we własnym łóżku i nic jej nie grozi. Miała świadomość, że nie powinna była pozwolić jej samej wracać. Przyspieszywszy kroku, dotarła pod drzwi pracowni i otworzyła je kluczem otrzymanym od Jacka.

Stał przy sztaludze, w samych pończochach bez butów, w koszuli poplamionej farbami, z pędzlem w dłoni. Od czasu, gdy pozowała mu w kostiumie bardziej nieprzyzwoitym od nocnej koszuli, tyle zdążyło się wydarzyć, że prawie zapomniała o portrecie.

Kiedy weszła do środka, oderwał wzrok od obrazu i powitał ją uśmiechem.

- Zjawiasz się naprawdę wcześniej.

Zdjęła płaszcz i powiesiła go na kołku.

- Nie mogłam spać.

Podbiegła do Jacka i dała się zagarnąć w ramiona, nie dbając o to, że farba może zabrudzić jej suknię.

- Tak się martwiłam. Znalazłeś Nancy?

Wypuścił ją z objęć i pokiwał głową.

- Było tak, jak przeczuwałaś. Wróciła do domu.

- Co się z nią działo?

- Podobno wybrała się na spacer. Zmieniła się - dodał. - Od czasu, gdy była tutaj, do momentu, gdy znalazła się u matki, zaszła w niej dziwna przemiana. Oznajmiła, że postanowiła przyjąć oświadczyzny Ullmana, jako powód podając chęć bycia szanowaną i noszenia pięknych strojów.

Ariana nie kryła zdumienia.

- Co mówiła na temat Michaela?

- W ogóle o nim nie wspominała. Powiedziała tylko, że zostawił wiadomość, że nie będzie go na obiedzie. - Zmarszczył czoło. - Dochodzę do wniosku, że musiałaś się pomylić co do Michaela i Nancy. Nie proponował jej niczego poza przyjaźnią.

- Och, wcale się nie mylę - oznajmiła z uporem. - Nancy i Michaela łączy wielka miłość, choć mogą nie zdawać sobie z tego sprawy.

- Jeśli rzeczywiście, jest to uczucie skazane na niepowodzenie. - Przejechał dłonią po twarzy. - Próbowałem ją przekonywać chyba ze dwie godziny, ale nie chciała słuchać moich argumentów. Upierała się, że zostanie hrabiną.

- Nie mogę w to uwierzyć.

- Moja matka posłała już wiadomość Tranville'owi, żeby dziś po południu przyprowadził Ullmana. Nancy ma przyjąć jego oświadczenia.

- To okropne.

- Wszystko przez Tranville'a, a matka w każdej sprawie go popiera. Nawet po tym... - Urwał gwałtownie.

- Nawet po czym?

Odsunął od siebie Arianę i sięgnął po pędzel.

- Tranville planuje powtórnie się ożenić.

Z wrażenia otworzyła usta.

- Powtórnie się ożenić! - Dawno nic jej tak bardzo nie zaskoczyło. W teatrze nie było mowy o tym, by się do kogoś zalecał.

Jack skupił uwagę na płótnie, a i ona spojrzała na nie po raz pierwszy od poprzedniego dnia.

- No, no!

Portret daleki był jeszcze od skończenia, ale i tak różnił się od tego, który Ariana widziała ostatnim razem. Wprawdzie nadal była na nim Kleopatram, ale jej twarz przedstawiona na obrazie tchnęła zmysłowością, jakby egipska królowa spoglądała na kochanka.

- Zapowiada się piękniej, niż mogłabym sobie wymarzyć - powiedziała.



- Zostało jeszcze mnóstwo do zrobienia. Muszę popracować nad efektem przejrzystości szaty.

Udało mu się tak doskonale oddać odcień skóry pod muślinową powłoką, że Ariana niemal poczuła na sobie jedwabistą lekkość tkaniny. Jack starannie udrapował fałdy sukni, więc portret nie miał w sobie żadnej sprośności.

- Wspaniały. - Objęła go od tyłu. - Udało ci się!

Jack odwrócił się do niej twarzą.

- Muszę dokończyć tło i dopracować resztę. Żałuję, że nie mogę wykorzystać każdej sekundy dziennego światła, ale chcę być obecny podczas wizyty Ullmana u siostry.

- Nawet jeśli Nancy przyjmie dziś oświadczyzny Ullmana, wciąż może zmienić zdanie, zanim go poślubi.

- Nie wydaje mi się to prawdopodobne - odparł z ponurą miną.

Ariana uścisnęła go.

- Nie marnujmy czasu. Pomóż mi rozpiąć suknię. Przebiorę się w kostium i będziesz mógł przystąpić do pracy.

Jeszcze żaden obraz nie wychodził spod pędzla Jacka tak szybko. Przyjemnie ożywiony, pracował intensywnie aż do popołudnia. Kiedy zegar wydzwonił połowę godziny, uświadomił sobie, że czas pójść do matki. Wytarł pędzel i wrzucił do słoika z terpentyną.

- Rozumiem, że na dzisiaj koniec. - Ariana przeciągnęła się, rozprostowując zdrętwiałe od pozowania członki.

- Niestety. - Jack nakrył paletę kawałkiem płótna. - Czekają na mnie w domu matki...

- ...bo ma przyjść lord Ullman - dokończyła za niego Ariana - Żałuję, że nie mogę porozmawiać z Nancy. Może odkryłabym, dlaczego zmieniła zdanie.

Jack zabezpieczył paletę, żeby farba nie wyschła do następnego dnia.

- Ja też żałuję. - Ściągnął poplamioną farbami koszulę i wziął Arianą w ramiona. - Czuję się jak przeniesiony do innego świata. Nie istnieje nic poza obrazem i tobą.

Zarzuciła mu ręce na szyję. Pocałowała go tak, że zapomniał o wszystkim. Dotykając pod cienką tkaniną kostiumu jej cieplej, delikatnej skóry, poczuł, jak ogarnia go fala pożądania.

- Mamy czas? - wymruczała z ustami przy jego wargach.

- Mamy. - Wziął ją na ręce i zaniósł do łóżka.

Akt miłosny, który się między nimi rozegrał, był zmysłowy i zachwycająco intensywny. Ściganie się z czasem stanowiło dodatkową podniecie. Kiedy oboje osiągnęli spełnienie, Jack, tuląc Ariane, myślał z niechęcią o tym, że się z nią rozstanie.

Zegar wybił kolejny kwadrans.

- Musisz się pośpieszyć - przypomniała mu Ariana.

Wyśliznąwszy się z jego objęć, wstała i zaczęła zbierać ubranie z podłogi.

Podobnie jak w uprawianiu miłości, nabrali wprawy również w ubieraniu się nawzajem. Ariana wyciągnęła z szuflady komody świeżą bieliznę dla Jacka, on w zamian pomógł jej zasznurować gorset i zapiąć suknię. Kiedy wkładał czystą koszulę i odświeżone spodnie, a na to kamizelkę i surdut, starannie poskładała jego strój do malowania oraz swój kostium i umieściła w specjalnym pudle.

- Nie spóźnisz się do teatru? - spytał Jack, wiążąc fular.

- Nie, mam mnóstwo czasu. - Upięła włosy. - Życzyłabym ci szczęścia w tej sprawie, ale nie wiem, jakie rozwiązanie w tej sytuacji można uznać za szczęśliwe.

Wrócili do pracowni. Nagła chmura sprawiła, że w pomieszczeniu zrobiło się ciemniej.

- Może wszystkich nas trafi piorun i skończą się zmartwienia.

Ariana potrząsnęła nim gwałtownie.

- Nie mów takich rzeczy! Nawet żartem. Nie chcę, żeby coś się stało tobie albo twojej rodzinie. Powinieneś wierzyć w to, że wszystko jakoś się ułoży.

Odpowiedział jej spojrzeniem pełnym sceptycyzmu.

- Powtórz - poprosiła.

- Wszystko jakoś się ułoży - rzekł posłusznie, po czym ją pocałował.

Ariana uśmiechnęła się z zadowoleniem i założyła kapelusz. Kiedy już wyszli na zewnątrz, Jack oznajmił:

- Pójdę z tobą, żeby ci złapać dorożkę.

- Idź do matki. Ja sobie poradzę.

Dochodzili do domu pani Vernon, gdy z naprzeciwka ukazali się Tranville z Ullmanem.

- Teraz cię nie zostawię - mruknął Jack.

Ullman przyspieszył kroku, jednocześnie rozplývając się w uśmiechu.

- Panna Blane! Jakże miło panią widzieć. - Zerknął pytająco na Jacka.

- Lordzie Ullman, pozwoli pan, że przedstawię panu Jacka Vernona - dokonała prezentacji Ariana.

Jack skinął uprzejmie głową, natomiast Ullman, nie przestając się szeroko uśmiechać, wyciągnął do niego rękę.

- Portret... Jakoś wcześniej nie skojarzyłem. Jestem zachwycony, że pana poznałem i że zobaczę pańską uroczą siostrę. Zachwycony.

Oblicze Tranville'a miało znacznie mniej przyjacielski wyraz. Spojrzał koso na Jacka i spytał:

- Obiecywałeś, że portret będzie gotowy niedługo, kiedy więc będzie go można odebrać?

- Za dwa tygodnie - odparł Jack. Raczej nie należało się spodziewać, że Tranville o nim zapomni. - Jeśli pan zapłaci, ma się rozumieć.

- Zapłacę. - Tranville popatrzył na niego z nieskrywaną złością.

Jack skłonił się Ullmanowi.

- Zaraz przyjdę do mojej matki. Odprowadzę tylko pannę Blane do dorożki.

Tranville ochoczo zajął miejsce u boku Ariany.

- Ja zapewnię eskortę pannie Blane. Idź z lordem Ullmanem.

- Nie sądzę.

- Nie złość mnie - ostrzegł go Tranville.

Jack odruchowo zacisnął dłoń w pięść, gotowy do walki. Ariana stanęła pomiędzy nimi.

- Niech pan idzie z lordem Ullmanem. Powinien pan się zająć siostrą. Dziś to jej sprawy są najważniejsze.

- Miłego dnia, panno Blane - powiedział Ullman, uchylając cylindra na pożegnanie.

Odchodząc w towarzystwie Tranville'a, Ariana obejrzała się i posłała Jackowi uśmiech, który miał mu dodać otuchy.

- Proszę wejść - zwrócił się Jack do Ullmana, zapraszającym gestem wskazując na drzwi.

Wilson odebrał od nich wierzchnie okrycia, po czym Jack wprowadził gościa do salonu, Ullman spojrzał na portret Nancy, wiszący na ścianie salonu.

- Jest taka piękna. To pan ją malował? - W jego głosie dało się słyszeć zaskoczenie.

Jack poczuł się urażony, mimo iż zachowanie Ullmana świadczyło, że nie zdaje sobie sprawy z niestosowności swego pytania.

- Owszem. To jedna z moich wczesnych prac.

Ullman podszedł bliżej do obrazu i przyjrzał mu się uważnie.

- Dobry, słowo daję.

Ta deklaracja nie wystarczyła, by Jack nabrał o nim lepszego mniemania.

- Proszę usiąść, sir - zachęcił - i proszę mi opowiedzieć o pańskim zainteresowaniu moją siostrą.

- Nie potrafię tego wyjaśnić. Tamtego dnia, kiedy ją ujrzałem w Egyptian Hall, poczułem się, jakbym zobaczył anioła. Nie mogłem przestać o niej myśleć. Wyznaję, że nie śmiałem mieć nadziei znów ją zobaczyć, dopóki sobie nie przypomniałem... koneksji pomiędzy pańską rodziną a lordem Tranville'em. Wtedy zwróciłem się do niego o radę, co robić.

- Dziwne, że nie zwrócił się pan z tym do mnie.

Ullman poczerwieniał.

- Ja... Tranville występował w pana zastępstwie, jak twierdził.

- Tranville ręczy za pański charakter, ale radzę pamiętać, że jeśli w jakikolwiek sposób uchybi pan mojej siostrze, będzie pan miał do czynienia ze mną. Dziesięć lat służyłem w wojsku. Naprawdę potrafię bronić mojej siostry, i to na różne sposoby.

W tym momencie do salonu weszła pani Vernon, a obaj mężczyźni wstali.

- Lordzie Ullman, jak miło znów pana widzieć. - Rozejrzała się po pokoju. - Lionel nie przyszedł z panem?

- Będzie tu wkrótce, mamó - oznajmił Jack.

- Poprosiłam Wilsona, żeby podał herbatę.

Kamerdyner wniósł zastawę i kiedy pani Vernon napełniała filiżanki, we trójkę rozmawiali o pogodzie, minionej, obecnej i tej przewidywanej. Jack niemal się ucieszył, kiedy Tranville wreszcie stanął w progu. Mary Vernon powitała go z chłodną uprzejmością, kontrastującą jaskrawo z jego wyjątkowo dobrym humorem. W tę już nienaturalnie gęstą atmosferę wkroczyła Nancy, blada jak kreda, z ciemnymi kręgami pod oczyma.

- Przepraszam, że kazałam wszystkim na siebie czekać - powiedziała głosem niewiele głośniejszym od szeptu.

Jack zerknął na jej portret; różnica była tak uderzająca, jakby chodziło o dwie zupełnie inne osoby. Zniknęła niewinność, ożywienie, radość życia, istota natury siostry, którą według Ariany zdołał uchwycić i przenieść na płótno.

Ullman podszedł do Nancy, wziął ją za rękę i podprowadził do krzesła.

- Panno Vernon, czekanie było drobnostką, skoro nagrodą jest możliwość zobaczenia pani.

Nancy w istocie wyglądała tak, jakby potrzebowała asysty w przejściu przez pokój.

- No, no. - Tranville klasnął w dłonie. - Sądzę, że powinniśmy zostawić Nancy samą z lordem Ullmanem na jakiś czas. Mają pewne sprawy do omówienia.

Jack zapomniał, że to Tranville o wszystkim decyduje. Martwił się o siostrę.

- Nancy...

Napotkawszy spojrzenie brata, nieznacznie potrząsnęła głową.

Tranville i matka skierowali się już w stronę wyjścia.

- Chodź, Jack - rzucił Tranville przez ramię.

Jack pochylił się nad siostrą i udając, że całuje ją w policzek, szepnął jej do ucha;

- Nie musisz tego robić. Potrafię zadbać o ciebie i mamę. Posłuchaj mnie...

- Nie - szepnęła ze złością.

- Jack? - dobiegł z holu głos matki.

Z ociąganiem opuścił salon.

- Możemy poczekać w bawialni - zaproponowała matka.

Bawialnia sąsiadowała z jej sypialnią. Tranville wszedł do środka i od razu skierował się do szafki, z której wyjął butelkę porto i kieliszek.

- Napijesz się, moja droga? - zwrócił się do pani Vernon.

Zaprzeczyła ruchem głowy, jednocześnie odwracając wzrok.

- A ty?

Jack nie miałby nic przeciwko temu, żeby się napić, ale nie życzył sobie być częstowany przez Tranville'a winem należącym do matki.

- Raczej nie - odparł.

Tranville wyciągnął jakieś papiery z wewnętrznej kieszeni surduta.

- Chcesz przeczytać umowę, Mary?

Pani Vernon przecząco pokręciła głową.

- A może ty rzucisz okiem i powiesz mi, czy wszystko jest jak trzeba?

Jack dokładnie przeczytał dokument. Każda ewentualność była przewidziana i ujęta z korzyścią dla jego siostry.

- Wydaje mi się, że jest w porządku. - Odłożył dokument na stół.

- Będzie zabezpieczona na całe życie? - spytała pani Vernon.

- Tak - musiał przyznać Jack.

- Zatem powinnam podpisać?

- Wstrzymaj się.

Ostatecznie istniała możliwość, że Nancy jednak zmieni zdanie. Czekali w ciszy, przerywanej jedynie nieco fałszywym nuceniem Tranville'a, które nieznośnie działało Jackowi na nerwy, omal nie doprowadzając go do szaleństwa. W końcu Wilson z pośepną miną stanął w drzwiach.

- Panna Nancy mówi, że mogą państwo wrócić.

Tranville zgarnął ze stołu papiery i cała trójka skierowała się do salonu. Kiedy weszli do środka, Nancy odwróciła się do nich z oczyma pełnymi łez.

- Mamo - odezwała się żałośnie słabym głosem - możesz mi życzyć szczęścia.

## Rozdział piętnasty

Tranville poklepał się po kieszeni surduta, wyczuwając przez materiał niewielkie pudełeczko. Uśmiechnął się do siebie. Zamierzał zrobić to nieco później, ale popołudniowe spotkanie z Arianą upewniło go, że nie powinien zwlekać. Początkowo planował czekać dopóty, dopóki portret nie zostanie ukończony i wówczas oficjalnie podarować jej go w prezencie, ale Jack się guzdrał. Tranville uznał, że dwa tygodnie to stanowczo za długo i należy od razu przystąpić do działania.

Przeszedł przez foyer teatru. Było jeszcze wcześnie, zaledwie kilka osób przybyło, żeby obejrzeć wieczorne przedstawienie. Miał się spotkać z Ullmanem. Skierował się do swojej łoży. Nie zamierzał pokazywać się za kulisami, uznał, że lepiej będzie odnaleźć Arianę później w Zielonym Pokoju.

Rozejrzał się po widowni, wodząc wzrokiem po bogato złoconych zdobieniach, soczyście czerwonej kurtynie, rzędach eleganckich łóż. Wyobraził sobie, że trzy tysiące widzów oklaskuje Arianę w roli Kleopatry, a on po premierze przyjmuje gratulacje w Zielonym Pokoju i wyrazy uznania za swoją przenikliwość, która pozwoliła mu odkryć najnowszą londyńską gwiazdę.

Ullman wszedł do łoży. Miał posępną miną.

- Dobry wieczór, Tranville.

- Spodziewałem się, że będziesz dziś wieczorem skakał z radości. Tylko mi nie mów, że się nie zaręczyłeś.

- Chodzi o to, że przed wejściem spotkałem lorda Darnleya. Najwyraźniej panuje spore poruszenie w związku z prawami zbożowymi. Bardzo się martwi, że może dojść do zamieszek.

- Bzdury. Niepotrzebnie wpada w panikę. Lud nie odważy się wznieść protestu.

Ullman nie wyglądał na przekonanego.

- Zastanawiam się, czy nie powinienem wysłać panny Vernon... to znaczy mojej drogiej Nancy... na wieś. Mogłyby obie z matką zamieszkać w mojej posiadłości. Zapoznać się z dziećmi.



Tranville pomyślał, że nieobecność Mary w mieście może być dla niego korzystna. Była jedyną osobą, która psuła mu nastrój, nie chcąc się pogodzić z faktami. Powinna przecież zrozumieć, że jego życie się zmieniło, a mężczyzna tak pełen wigoru jak on potrzebuje młodej żony. Kiedy Mary była jeszcze na tyle młoda, aby urodzić mu synów, był żonaty. Niegdyś doskonale rozumiała jego męskie potrzeby i nigdy nie narzekała na to, że zdradzał ją z innymi kobietami. Nie miał pojęcia, dlaczego z czasem zrobiła się zgryźliwa.

Przestał myśleć o Mary i wyobraził sobie Arianę przygotowującą się do wieczornego występu na scenie. Już niedługo, pocieszył się w duchu, będzie w jej garderobie patrzeć, jak się przebiera. Klepnął Ullmana w ramię.

- Jestem pewien, że pani Vernon i Nancy spodoba się wycieczka na wieś.

- Rzecz w tym, że ja muszę zostać - rzekł Ullman. - Sprawy, które mają być omawiane w Izbie Lordów, są zbyt ważne.

Tranville przytaknął ruchem głowy, jakkolwiek nie wydawało mu się możliwe, by człowiek taki jak Ullman mógł mieć wpływ na ewentualne decyzje, jakie należało podjąć w kwestii praw zbożowych.

- Możesz wysłać panie same.

- Zastanawiam się nad uzyskaniem specjalnego pozwolenia na przyśpieszony ślub. Byłoby znacznie lepiej, gdyby Nancy wyjechała na wieś jako moja żona.

W tym momencie w łoży pojawił się Edwin.

- Żeni się pan, Ullman? - Usiadł obok ojca, opierając stopę na barierce. - Kimże jest ta dama?

- Byłeś obecny przy tym, jak ujrzałem ją po raz pierwszy. Żenię się z panną Vernon.

- Nancy Vernon! - Edwin gwałtownie się wyprostował. - Coś podobnego!

Tranville ścisnął syna za ramię i pochylił się do jego ucha.

- Będziesz trzymał język za zębami albo obetnę ci pensję.

- Myślę o uzyskaniu zezwolenia na natychmiastowy ślub - dodał Ullman.

Edwin posłał mu wymowne spojrzenie.

- Ma pan powody, żeby się tak śpieszyć?

Ullman zaczął mówić o prawach zbożowych i groźbie niepokojów z mieście. Tranville przeglądał trzymany w ręku program, szukając nazwiska Ariany. Na próżno. Ariana, grająca niewielką rolę, nie była wymieniona w obsadzie. To się miało niebawem zmienić; w przyszłości to ona, nie jej matka, będzie grać główne role.

Trzy godziny później pan Arnold zajrzał do garderoby.

- Drogie panie, czas się pokazać w Zielonym Pokoju. Pośpieszcie się trochę, z łaski swojej.

Przedstawienie się udało; Ariana i trzy inne aktorki grające role drugoplanowe odpoczywały po występie. Wszystkie poza Arianą podniosły się zgodnie z życzeniem Arnolda, zaczęły szybko zmywać sceniczny makijaż i wkładać najlepsze suknie. Ariana pozostała na miejscu, nie mając ochoty się ruszyć.

- Ariano, dość marudzenia - skarcił ją pan Arnold. - Oczekuję was w Zielonym Pokoju za pięć minut. Panowie się niecierpliwią.

Po jego wyjściu jedna z dziewcząt spytała:

- Nic cię nie obchodzą ci czekający panowie, prawda?

- Jest za bardzo wpatrzona w swojego artystę - dodała Susan.

- Macie mi to za złe?

- Jest całkiem przystojny, ale nigdy nie będzie miał tyle pieniędzy, co lord Tranville - stwierdziła rzeczowo Susan. - Widziałam dziś Tranville'a, był z nim syn. Nie rozumiem, dlaczego twój artysta nienawidzi Edwina.

- Na twoim miejscu posłuchałabym jego ostrzeżeń - stwierdziła Ariana.

- Zamierzam, ale tylko dlatego, że Edwin za dużo pije. Nadal planujesz złamać serce jego ojcu?

- Szczęściara - odezwała się jedna z aktorek - Żałuję, że to nie ja wpadłam mu w oko.

Ariana nie miała nic przeciwko temu, żeby inna kobieta zajęła się Tranville'em. Pragnęła jedynie wrócić do domu i położyć się do łóżka. Wiedziała, że im szybciej pójdzie spać, tym prędzej nadejdzie ranek i będzie mogła pójść do Jacka, by dowiedzieć się, co z Nancy. Ociągała się jeszcze przez jakieś pięć minut, po czym wreszcie przeszła do Zielonego Pokoju.

Tranville zbliżył się do niej, gdy tylko stanęła w progu.

- Mogę z panią porozmawiać, panno Blane?

Nie miała najmniejszej ochoty na rozmowę z Tranville'em, ale Arnold zauważył, że zjawiała się z opóźnieniem, i nie byłby zadowolony, widząc, iż zlekceważyła tak ważną osobistość.

- Oczywiście, sir. - Odsunęła się od drzwi.

- Chciałbym porozmawiać na osobności. Proszę poświęcić mi kilka minut.

- Oczywiście - powtórzyła.

Sądziła, że rozmowa odbędzie się w korytarzu, ale Tranville zaprosił ją do swojej łoży. Było tam dość ciemno, mimo że paliło się jeszcze kilka świec. Zachęcił ją, żeby usiadła, po czym, ku jej zaskoczeniu, padł przed nią na kolana i wyciągnął z kieszeni surduta aksamitne pudełeczko.

- To prezent dla pani. - Włożył jej puzderko do ręki.

Poczuła się nieswojo.

- Nie może pan...

Chwycił jej dłonie i przysunął się tak blisko, że miała jego twarz tuż przed oczyma.

- Proszę otworzyć - polecił.

Nagle wydał jej się groźny; przypomniała sobie ostrzeżenia Jacka. W puzderku znajdowała się połyskująca brylantami i szmaragdami bransoletka.

- To nie dla mnie - wyszeptała Ariana. Była pewna, że pokazuje jej klejnot, być może oczekując jej opinii.

- Ależ jak najbardziej dla pani. - Wyjął bransoletkę z pudełeczka. - Widzi pani? Pasuje do pani oczu.

Odsunęła jego dłoń.

- Nie przyjmuję prezentów. Nie zmieniłam zdania w tej kwestii. - Wstała.

Chwycił ją za nadgarstek i zmusił, by ponownie usiadła.

- Źle mnie pani zrozumiała. To jedynie drobna próbka tego, co mogę pani dać.

- Niczego od pana nie chcę.

- Proszę pozwolić mi wyjaśnić. - Urwał, jakby szukał w głowie odpowiednich słów. - Ullman sprawił, że zacząłem o tym myśleć. Proponuję pani małżeństwo.

- Małżeństwo! - wykrzyknęła.

- Tak. Proszę mi zrobić zaszczyt i zostać moją żoną.

Ariana odniosła wrażenie, że ziemia nagle usuwa jej się spod nóg.

- Nie może się pan ożenić z aktorką - podsunęła mu pierwszy argument, jaki przyszedł jej na myśl.

Tranville ze śmiechem poklepał ją po ręce.

- Dlaczego nie? Czyż Elizabeth Farren nie poślubiła lorda Derby'ego?

- Wszystko jedno. Ja nie mogę.

- Czy Jack mówił pani o mnie?

- Jack?

Tranville boleśnie ścisnął dłonie Ariany. Przestraszyła się.

- To on nastawił panią przeciwko mnie, tak? Przysięgam, że go zniszczę.

Nie mogła pozwolić, żeby obwiniał Jacka, musiała temu jakoś zaradzić.

- Artysta, który maluje mój portret, nie ma z tym nic wspólnego. Chodzi o mnie. O moją aktorską karierę.

- Proszę się nie obawiać. Będzie pani miała swoją szansę. Pani rola w „Antoniuszu i Kleopatrze” będzie sensacją. Nie pozbawiłbym pani tego momentu chwały.

- A potem? - spytała, choć dobrze znała odpowiedź.

- Jako baronowa będzie pani zbyt zajęta różnymi ważnymi sprawami, żeby myśleć o teatrze. Dzięki pani urodzie i moim wpływom będziemy stanowić parę o potężnej sile oddziaływania. Będzie pani wydawać wielkie bale i gościć na obiadach postaci znaczące w polityce. Możemy podróżować. Do Paryża, Neapolu, Wiednia.

Jedna cała noc z Jackiem miała dla Ariany większą wartość niż całe życie z tym człowiekiem. Jack był jedynym znanym jej mężczyzną, dla którego mogłaby rozważyć porzucenie sceny.

- Lordzie Tranville, czyni mi pan naprawdę wielki zaszczyt. Muszę bardzo starannie rozważyć pańską propozycję.

- Nie może pani po prostu się zgodzić? - Uniósł brwi w wyrazie zdumienia.

Musiała się wykazać ostrożnością i sprytem.

- Nie od razu.

Puścił jej dłonie.

- Potraktuję to jako zgodę.

- Nie może pan, ale bardzo poważnie zastanowię się nad pańskimi oświadczeniami.

- Nie widzę powodu, żeby zwlekać z odpowiedzią. - Rozłożył ręce. - Mogę pani podarować cały świat.

- Nie chciałby pan chyba, żebym panu odmówiła pod wpływem impulsu, prawda? Rezygnacja ze sceny to dla mnie bardzo poważna decyzja. Muszę być jej pewna.

- Nie będzie pani brakowało aktorskiego życia. Jak mam panią przekonać? - Zniecierpliwiony Tranville porwał Arianę w objęcia i pocałował.

Żołądek podszedł jej do gardła. Gwałtownie odepchnęła Tranville'a od siebie.

- Jeśli będzie pan sobie pozwalał wobec mnie na takie zachowanie, sir, to nie uwierzę, że ma pan uczciwe zamiary. Nie dam się podstępem wciągnąć w romans.

- To nie żaden podstęp. - Z trudem skrywał irytację. - Chcę, żeby pani została moją żoną, i nic mnie przed tym nie powstrzyma.

- Powinnam już pójść, sir, jeśli mi pan wybaczy - powiedziała, wstając.

On także się podniósł i wcisnął jej do ręki aksamitne pudełeczko z cenną bransoletką.

- Musi pani przyjąć mój prezent.

Oddała mu bransoletkę.

- Jeśli zdecyduję się przyjąć oświadczyzny, wtedy przyjmę też podarunek. A teraz proszę mnie odprowadzić do Zielonego Pokoju albo pozwolić, żebym mogła tam wrócić sama.

Przywarł do niej mocno.

- Odprowadzę panią, moja najdroższa.

Z trudem zniosła jego towarzystwo w drodze powrotnej do Zielonego Pokoju, gdzie nie dość, że tkwił przy jej boku, to jeszcze zdradził swe intencje jej matce. Daphne najpierw popatrzyła na Arianę z dezaprobatą, a później, gdy Tranville był zajęty rozmową z Arnoldem, odciągnęła ją na stronę.

- Głupia - zaatakowała ją gniewnym szeptem. - Nie przyjęłaś oświadczyzn od razu? Mogłyśmy być zabezpieczone na całe życie.

No tak, oczywiście. Matce bardzo by się podobał związek z baronem, zwłaszcza tak bogatym.

- Nie zamierzam porzucać teatru - wyjaśniła Ariana.

Daphne zaśmiała się tak głośno, że kilka osób odwróciło głowy, spoglądając w ich stronę. Widząc to, nachyliła się do ucha córki.

- Teatr jest niczym. Powiedz „tak” i wyjdź za niego najszybciej, jak się da, zanim odzyska rozum. - Po tych słowach odeszła z urażoną miną.

Ariana przerwała rozmowę Tranville'a z Arnoldem.

- Jeśli panowie zechcą mi wybaczyć, życzę dobrej nocy.

Oddaliła się szybko i już sądziła, że udało jej się uciec, kiedy Tranville ją dogonił.

- Mój powóz czeka na panią, najdroższa.

Była zmuszona pozwolić mu się odwieźć, a kiedy dojechali do miejsca jej zamieszkania, znów ją pocałował. W końcu udało jej się od niego uwolnić i szybko weszła do domu. Z salonu przez szparę w zasłonach obserwowała, jak pojazd odjeżdża. Wolno poszła na górę, żałując, że jest środek nocy, i nie mając pojęcia, co robić. Musiała poczekać do rana, żeby opowiedzieć o wszystkim Jackowi.

Jack wszedł do Siedmiu Gwiazd nieopodal Lincoln's Inn Fields, ostatniej z tuzina mrocznych, hałaśliwych gospód, jakie odwiedził w poszukiwaniu Michaela. Wędrował niemal całą noc ciemnymi ulicami Londynu, zaczynając od Somerset House i zataczając coraz szersze kręgi. Przez cały czas osaczały go straszne wspomnienia z Badajoz, ale im się nie poddawał.

Jack odkrył, że Michael nie pojawił się tego dnia na zajęciach w akademii. Nie było go też w mieszkaniu. Jeden z jego kolegów architektów powiedział Jackowi, że poprzedniego dnia widział Michaela z jakąś młodą kobietą. Nie przyszedł wtedy na obiad. To był dzień, kiedy Nancy postanowiła wyjść za Ullmana. Nietrudno się było domyślić, że poszła do Michaela i powiedziała mu o swoich planach. Jack przeszedł przez ciasne wnętrza gospody, sprawdzając każdy stolik, podejrzewając w duchu, że trudzi się na próżno. Poważnie rozważał zaniechanie dalszych poszukiwań, ale też nie miał ochoty wracać samotnie na ciemne ulice i zmagać się z natrętnymi obrazami z przeszłości. Na-

gle w najodleglejszym kącie pomieszczenia dostrzegł Michaela, tkwiącego samotnie przy stoliku, z kuflem piwa w dłoni.

- Szukałem cię - oznajmił Jack, siadając naprzeciw niego.

Dopiero wtedy Michael podniósł wzrok. Uniósł kufel w geście toastu.

- Napij się piwa.

Jack złożył zamówienie u dziewczyny obsługującej gości i powrotem skupił uwagę na Michaelu.

- Nikt cię nie widział przez cały dzień.

- Poszedłem na bardzo długi spacer. Przez całe Mayfair. Studiowałem znajdujące się tam obiekty architektoniczne. - Pociągnął łyk piwa. - Na Mount Street są szczególnie ciekawe domy. Chciałem się dokładnie zapoznać z ich stylem i konstrukcją.

Na Mount Street znajdował się dom Ullmana, uprzytomnił sobie Jack.

- Muszę przyznać, że tamtejsze rezydencje prezentują się imponująco - ciągnął Michael - ale raczej nie mam szans zamieszkać w żadnej z nich. - Osuszył kufel do dna i poprosił o następny.

Jack przyjrzał mu się z ukosa.

- Jesteś pijany?

Michael odpowiedział słabym uśmiechem.

- Chciałbym. Niestety, więcej spacerowałem, niż piłem. To dawało Jackowi nadzieję, że będzie w stanie go przekonać.

- Przyszedłem porozmawiać z tobą o mojej siostrze. Wiem, że Nancy szukała cię tamtego dnia, więc domyślałam się, że powiedziała ci o Ullmanie.

- Życzę jej szczęścia.

- Ona nie jest szczęśliwa. - Jack pochylił się nad stolikiem. - Jest w rozpacz, a mimo to nie mogę jej odwieść od tego szaleństwa.

- Nie jest szaleństwem małżeństwo z człowiekiem, który może jej zapewnić luksus - powiedział grobowym głosem Michael.

- A ty ożeniłbyś się z kobietą, której nie szanujesz, wyłącznie dla jej pieniędzy?

- Mógłbym - odparł wyzywająco Michael.



- Nie zrobiłbyś tego, a Nancy nie powinna wychodzić za Ullmana. Znasz charakter mojej siostry, jej romantyczną naturę. Chcę wiedzieć, co zamierzasz uczynić w tej sprawie.

- Ja? - Michael uniósł brwi w wyrazie zdziwienia. Nic nie mogę uczynić. Nie mam nic do zaoferowania kobiecie. Muszę poświęcić jeszcze rok na studiowanie, a i potem nie od razu będę w stanie osiągać przyzwoite dochody.

- Wiesz, że bogactwo nic nie znaczy dla Nancy - powiedział Jack. - Wybrała tak, żeby zadowolić matkę...

- Więcej niż zadowolić. - Michael pociągnął kolejny łyk z kufła. - Czyżbyś nie wiedział, że Tranville obetnie fundusze twojej matce i pozbawi cię szans rozwoju jako artystę, jeśli Nancy nie wyjdzie za mąż zgodnie z jego wolą?

Nancy zdawała sobie sprawę z zagrożenia ze strony Tranville'a? Jack poczekał, aż Michael znów na niego spojrzy.

- Nie możemy pozwolić, żeby Tranville nas szantażował i zmuszał do tego, byśmy poświęcili szczęście Nancy. Ja zadbam o moją matkę, Michaelu, a ty musisz zapewnić byt Nancy.

- Nie mogę...

- Pomogę wam na tyle, na ile będę w stanie. Przypuszczam, że twój ojciec także udzieli wam wsparcia. Nancy zadowoli się jedną skromną izbą, jeśli tylko będzie ją dzielić z tobą. W istocie uzna taką sytuację za wielce romantyczną. Michael pokręcił głową.

- Nigdy nie dała mi niczego takiego do zrozumienia. Żadnych romantycznych uczuć...

- Pobiegnę najpierw do ciebie, czyż nie? Powiedziała ci więcej o powodach swej decyzji niż rodzinie. Po co by to robiła, gdyby nie żywiła do ciebie uczucia?

- Darzy mnie przyjaźnią - odparł Michael.

- Akurat. - Jack chwycił go za rękę. - Posłuchaj. Ty, ja, Nancy, moja matka wszyscy jakoś przeżyjemy niezależnie od gróźb Tranville'a. Będziemy mieli co jeść, w co się odziać i nie zabraknie nam dachu nad głową. Z czasem powinno być łatwiej. Spójrz mi prosto w oczy i powiedz, że nie kochasz Nancy, a pójdę sobie i nie będę cię niepokoił.

Michael popatrzył mu w oczy, po czym rzekł wyraźnie i z naciskiem:

- Kocham twoją siostrę nad życie.

Sir Cecil, ojciec Michaela, powiedział kiedyś Jackowi, że powinien szukać w swojej sztuce objawienia, tego szczególnego momentu, który pozwoli mu zrozumieć, co odróżnia jego dzieła od utworów innych artystów. Uważał, że sir Cecil opowiada banialuki dopóty, dopóki Ariana nie wskazała mu tego, co miał znaleźć. Nagle poczuł ciepło w całym ciele, jakby go ktoś owinął kocem. Słowa Michaela odsłoniły prawdę: kochał Ariane nad życie.

Miał ochotę wskoczyć na stół i tańcząc z radości, obwieścić całemu światu, że kocha Ariane i jest gotów żyć z nią w jednej skromnej izbie, jeśli tylko będą razem. Z trudem opanowując podniecenie, przeniósł wzrok na Michaela, który zacisnął palce tak mocno, jakby w nich trzymał nie uchwyt kufla z piwem, a linę ratunkową.

- Kocham Nancy na tyle, by zrobić to, co jest dla niej najlepsze. Kocham ją na tyle, by uszanować jej życzenie, nawet jeśli to oznacza, że muszę pozwolić jej odejść. Słowa Michaela ostudziły entuzjizm Jacka.

- Nie mieszaj uczucia z poczuciem obowiązku - rzekł spokojnie. - Moja siostra uważa, że musi się poświęcić dla matki i dla mnie, ale nie łudź się, że chce być żoną Ullmana. Nie kieruj się tym, co ci powiedziała, tylko tym, co do ciebie czuje. Romantyczna natura Nancy każe jej wierzyć, że jest jedyną osobą, która może uratować matkę i brata, a ty jesteś jedyną osobą, która może ją uratować. Pozostaje kwestia, czy wystarczy ci męstwa, by spróbować?

Michael sprawiał wrażenie zgnębnego.

- Nie mogę ci na to odpowiedzieć w tej chwili.

- Nie masz zbyt wiele czasu - przypomniał mu Jack. - Nancy sprawia wrażenie zdeteminowanej, więc nie będzie odwlekać ślubu.

## Rozdział szesnasty

Ariana weszła do pracowni Jacka wcześniej rano. Ku swemu zaskoczeniu, nie zastała go stojącego przy sztaludze. Zasłony były wciąż zaciągnięte, a pomieszczenie puste. Powiesiła płaszcz na kołku przy drzwiach. Z sypialni dobiegł odgłos głośnego chrapania. Uśmiechając się pod nosem, przeszła na palcach przez pracownię do sypialni i stanęła przy łóżku. Jack leżał na plecach, z jedną ręką zarzuconą nad głowę, z kołdrą zwiniętą między nogami. Jak wtedy, gdy się kochali, był zupełnie nagi. Z czułością przyjrzała się bliznom znaczącym jego pierś; przypominały, że nie zawsze zajmował się sztuką.

Usiadła na brzegu łóżka i delikatnie obwiodła palcem ślad po jakiejś francuskiej szabli. Mogła przynajmniej się cieszyć, że już nigdy nie będzie musiał stawiać czoła okropnościom wojny. Jack poruszył głową i wymamrotał coś niewyraźnie. Następnie otworzył oczy. Przez chwilę patrzył na Arianę bez słowa, a potem z uśmiechem wyciągnął do niej rękę. Z radością się do niego przytuliła.

- Dzień dobry, Jack.

Szła do pracowni, zamierzając opowiedzieć mu o Tranville'u, ale teraz nie potrafiła zrobić tego tak od razu, ledwie się obudził.

- Cóż za miły widok - powiedział głosem jeszcze trochę zachrypniętym od snu.

Kiedy złączył ich pocałunek, Ariana przysięgła sobie w duchu, że znajdzie sposób, aby wszystko między nimi dobrze się ułożyło. Nie mogła przecież pozwolić, żeby Tranville decydował o ich losie. Pragnęła kochać Jacka i nawet nie była w stanie sobie wyobrazić, iż kiedyś mogliby się rozstać. Wprawdzie nigdy nie wyznał jej miłości, ale okazywał, co do niej czuje, za każdym razem, kiedy na nią patrzył i jej dotykał. Gdy ją mallował.

Przerywając pocałunek tylko na moment, żeby zaczerpnąć tchu, Jack zdołał rozebrać Arianę, rozrzucając ubranie wokół łóżka. Poczowała dotyk jego ust na piersiach, lekkie muśnięcia dłoni wędrujących po całym ciele. Doskonale wiedział, jak jej sprawić największą przyjemność. Mogła tylko mieć nadzieję, że pieszczoty, którymi ona go obdarzała i które przychodziły jej równie naturalnie, jak oddychanie, budzą w nim podobne doznania.

To zbliżenie było dla niej szczególnie, ponieważ ich związek, już i tak dość skomplikowany i utrzymywany w sekrecie, miał się stać jeszcze trudniejszy przez oświadczenia Tranville'a. Jednak Jack nie pozwolił jej myśleć o troskach, zadbał o to, by całkowicie poddała się zmysłom. Dzięki porozumieniu obywatelom się bez słów przyjęli tempo, niespieszne, a jednak równie intensywne, jak poprzedniego dnia, kiedy brak czasu kazał im szybko dążyć do spełnienia.

Kiedy Arianie się zdawało, że nie jest w stanie znieść więcej, narastająca rozkosz osiągnęła szczyt i Ariana bezwiednie krzyknęła. W tym samym momencie Jack wypełnił ją swym nasieniem, zastygając w bezruchu.

- Mógłbym się przyzwyczaić do takiego budzenia - powiedział z czułością, zagarniając ją w ramiona.

Pocałowała go w wilgotną od wysiłku skórę.

- Byłam zaskoczona, że jeszcze śpisz. Spodziewałam się, że zastanę cię przy sztaludze.

Przygarnął ją do siebie mocniej, zwlekając z odpowiedzią.

- Bardzo późno wczoraj wróciłem - rzekł wreszcie.

- Tak? - zdziwiła się. Zwykle unikał chodzenia ulicami po zmroku. - Znowu miałeś te swoje wizje?

- Prawie. Słyszałem dźwięki. Czulem, że jeszcze trochę i staną mi przed oczyma.

- Ale nie było aż tak źle jak poprzednio?

- Nie.

Przez chwilę leżeli w milczeniu, ciasno ze sobą spleceni.

- Musimy wstać i zabrać się do pracy - odezwał się w końcu Jack.

Podniósł się z łóżka i poszedł do kąta, gdzie stała miednica i dzbanek, żeby się umyć. Ariana w tym czasie wyciągnęła suknię z przezroczystego muślinu.

- Dlaczego wróciłeś tak późno? - spytała, wkładając strój przez głowę.

- Szukałem Michaela.

- I znalazłeś go? - Spięła w talii pas ze złotych łańcuchów.

- Owszem i próbowałem go namówić, żeby wyperswadował Nancy małżeństwo z Ullmanem, ale nie jestem pewien, czy to zrobi. - Ubrał się szybko. - Przyznał, że jest w niej zakochany. Tamtego dnia po wyjściu od ciebie Nancy poszła do Michaela.

Adriana bynajmniej nie była tym zaskoczona.

- Biegła do Michaela, kiedy ją znalazłam po raz pierwszy.

Przeszli do pracowni. Jack odciągnął zasłony i ustawił sztalugę tak, by mieć najlepsze światło. Ariana zaparzyła herbatę i znalazła w kuchni herbatniki, które podała Jackowi na śniadanie. Przełknął je pośpiesznie i gotowy do pracy, zaczął wyciskać farby na paletę.

Ariana, odniósłszy naczynia do kuchni, przystanęła w drzwiach oparta o framugę.

- Muszę ci coś powiedzieć - zaczęła.

- Ja też mam ci coś do powiedzenia, ale ty mów pierwsza.

- Odkryłam, z kim Tranville zamierza się ożenić.

- Z kim?

- Ze mną.

Jack patrzył na nią, jakby nie mógł uwierzyć własnym uszom.

- Z tobą?

Przytaknęła ruchem głowy.

- Oświadczył mi się wczoraj wieczorem.

- I co mu odpowiedziałaś?

- Że potrzebuję czasu na rozważenie jego propozycji.

Jack wpatrywał się w nią bez słowa. Dopiero co zakiełkowała w nim nadzieja, że czeka ich wspólna przyszłość. Już miał się zgodzić na ujawnienie ich związku.

Adriana wytrzymała jego badawcze spojrzenie.

- Ani myślę przyjąć jego propozycję.

Odwróciwszy się, Jack rzucił przez ramię:

- Jest bogaty. Byłabyś baronową.

- Skoro uważasz, że te rzeczy nie mają znaczenia dla twojej siostry, to dlaczego miałyby mieć dla mnie? - spytała tonem, który zabrzmiał ostrzej, niżby sobie tego życzyła.

Nadzieje na przyszłość z Arianą nagle się rozwiały. Co Tranville mógł zrobić Arianie, gdyby mu odmówiła? Co zrobiłby matce? Jack stanął twarzą do ukochanej.

- Czym Tranville ci groził, gdybyś za niego nie wyszła?

- Groził? - Jej głos przybrał nienaturalnie wysokie brzmienie. Odchrząknęła. - Uprzedził, że jeśli za niego nie wyjdę, skończy się moja kariera na scenie.

- Powinniśmy pracować.

Ariana podeszła do szezlongu i przyjęła pozę, w której występowała na obu portretach. Z jej twarzy nie zniknął wyraz troski. Jack nabrał na pędzel białej farby i zaczął ją nanosić na płótno, ale efekt wyglądał jak przypadkowe pacnięcia.

- Zmuszę go do tego, żeby zmienił zdanie - oznajmiła Ariana. - Zrobię to tak, że będzie przekonany, iż to jego pomysł, nie mój.

Jack nie widział szans na ich wspólne szczęście. Gdyby wyszła za Tranville'a, byłaby dla niego stracona, a gdyby nie wyszła, Tranville nigdy by nie darował Jackowi, że mu ją odebrał. Znalazłby sposób, aby pozbawić Ariane wszystkiego, na czym jej zależało.

- Nie martw się - powiedziała cicho. - Proszę.

Starął się skupić na pracy.

- To nie jest dobra wiadomość, niezależnie od tego, co zdecydujesz.

- Niezależnie od tego, co zdecyduję? - Nie potrafiła ukryć żalu. - Przecież wybór jest tylko jeden.

Przetrwali ranek, ale głównie milczeli, pogrążeni w niewesołych rozmyślaniach. Kiedy zegar na kominku wybił pierwszą, Jack ogłosił koniec sesji. Ariana powiedziała, że musi iść na próbę. Pomagając jej się przebrać z kostiumu w zwykły strój, miał ochotę zapomnieć o Tranville'u, rodzinie, teatrze, a nawet o sztuce i wciągnąć Ariane z powrotem do łóżka. Jednak nawet jej nie pocałował.

- Jutro nie będziesz mi potrzebna - oznajmił. - Za dzień lub dwa powinienem skończyć obraz. Spojrzała na niego pytająco.

- Przecież uprzedziłeś Tranville'a, że dokończenie pracy zajmie ci jeszcze dwa tygodnie.



- Na ostatnie poprawki i sporządzenie kopii będę potrzebował dwóch tygodni, ale nie ma konieczności, żebyś mi pozowała.

Ariana sprawiała wrażenie zaskoczonych i rozczarowanych.

- Jutro większą część dnia spędzę z Ullmanem - próbował się tłumaczyć Jack. - Uparł się, żeby nam pokazać miejską rezydencję i Bóg jeden wie co jeszcze.

- Rozumiem - szepnęła.

Kilka minut później, obserwując, jak Ariana idzie ulicą w stronę Strandu, Jack zrozumiał, co musiał czuć Michael, rozstając się z Nancy.

Nancy zaszyła się w swoim pokoju. Owinęła się wełnianym szalem, ponieważ w kominku dogasały ostatnie grudki żaru, wiadro na węgiel było puste, a nie chciało jej się wstać, żeby wezwać służbę. Siedziała więc, wpatrując się w płomień pojedynczej świecy stojącej na stoliku, samotna i przygnębiona. Znienacka rozległo się pukanie, a po nim głos Wilsona.

- Przyszedł pan Harper, panienko.

Michael!

- Zaraz zejść! - zawołała przez zamknięte drzwi. - Powiedz mu, żeby zaczekał.

Spojrzała na swoją suknię, zastanawiając się, czy jest odpowiednia; przebieranie się tylko by opóźniło moment spotkania, uznała więc, że może wystąpić w tym, co ma na sobie. Przeniosła świecę na toaletkę i szybko poprawiła fryzurę. Niewiele brakowało, by rano odesłała służącą, nie pozwalając sobie upiąć włosów. Przyjrzała się odbiciu swojej twarzy w lustrze, rozmasowała cienie pod oczyma i uszczypnęła policzki, starając się przydać im nieco koloru. Wyglądała okropnie. Pomyślała, że właściwie nie powinna się pokazywać w takim stanie, ale zaraz sobie przypomniała, co jej powiedział Michael, gdy kiedyś wzdragła się pójść z nim na zakupy z powodu rzekomo nieodpowiedniego wyglądu. Zapewnił ją wówczas, że zawsze i wszędzie prezentuje się ślicznie.

Podniesiona na duchu miłym wspomnieniem, zbiegła po schodach i zatrzymała się przed drzwiami do salonu. Uświadomiła sobie, że to spotkanie będzie dla niej bolesne, bo znów będzie musiała się z nim rozstać. Zajrzała do środka przez uchylone drzwi. Michael stał nieruchomo, z opuszczoną głową. Serce ścisnął jej lęk. Wyglądał jak tamten



człowiek, który przyszedł powiedzieć mamie, że ojciec nie żyje. Była wtedy bardzo mała, ale zapamiętała ten dzień.

- Michael?

Wyprostował się i uśmiechnął trochę smutno.

- Przyszedłem sprawdzić, czy przypadkiem nie masz ochoty trochę się przewietrzyć.

- Mam wielką ochotę - odparła.

Wilson musiał krążyć w pobliżu, ponieważ natychmiast ukazał się w drzwiach z jej płaszczem, kapeluszem i rękawiczkami. Wkrótce znaleźli się na ulicy.

- Dokąd chciałabyś pójść? Do sklepów? - Mówił jak tamten dawny Michael, który zabierał ją na spacer po mieście.

- Wiesz, co bym chciała? Żeby było takie miejsce jak park w Bath przy Royal Crescent, z mnóstwem drzew i zieleni. Chcę poczuć wiosnę w powietrzu. - Po raz ostatni, dodała w duchu. Wiedziała, że jej prawdziwe życie skończy się wraz z poślubieniem Ullmana.

Michael nie odpowiedział od razu.

- Moglibyśmy pójść do St James's Park. Jest tam mnóstwo zieleni.

- W takim razie chodźmy! - Wzięła go pod rękę. Michael ściągnął brwi.

- Nie jestem pewien, czy twojej matce się to spodoba. Ten park ma szczególną reputację.

- Szczególną reputację?

- Cóż, mówiąc krótko, dwoje ludzi może tam znaleźć pełne odosobnienie - wyjaśnił.

- Nie musimy mówić mojej matce - odparła, patrząc mu w oczy.

Przez chwilę szli w milczeniu, które przerwał Michael.

- Wczoraj wieczorem widziałem się z Jackiem.

- Tak?

- Powiedział mi, że niedługo wychodzisz za mąż.

- Mamy się pobrać na podstawie specjalnego pozwolenia. Tak jest szybciej. - Pozwolenie zwalniało z obowiązku czytania zapowiedzi w rodzimych parafiach narzeczonych przez trzy kolejne niedziele.

- To znaczy, że możesz wziąć ślub już za dwa tygodnie.

Nancy tego się obawiała; często z Michaeliem myśleli jednocześnie o tym samym.

Nie odzywali się aż do Charing Cross.

- To takie romantyczne miejsce - powiedziała Nancy.

- Romantyczne? - Ton Michaela świadczył, że nie podziela opinii Nancy. - Oznacza miejsce, gdzie wystawiono trumnę królowej Eleonory, zanim ją pochowano w Katedrze Westminsterskiej.

Nancy wymierzyła mu lekkiego kuksańca.

- Romantyczne było to, że król Edward oznaczył te wszystkie miejsca krzyżami.

- I to ma być romantyczne? - spytał Michael ze śmiechem. - Muszę ci uwierzyć na słowo.

Rzuciła mu karcące spojrzenie.

- Och, droczysz się ze mną.

- Brakowało mi tego - wyznał, dotykając jej dłoni. Nancy poczuła łzy wzbierające pod powiekami.

- Pośpieszmy się, bo nigdy nie dotrzemy do parku - powiedziała.

Trzymając się za ręce, biegiem pokonali ostatnią część drogi i w końcu zdyszani stanęli na szerokiej parkowej alei. Kilka innych osób spacerowało, korzystając z ładnej pogody, ale nie można było mówić o tłoku. Na gałęziach pojawiały się wiosenne pąki. Widok gęsi pływających majestatycznie po lśniącej, niebieskiej wodzie jeziora zaparł Nancy dech w piersi z zachwyty.

- Musimy znaleźć ławkę, żebyś mogła odpocząć - zauważył Michael.

Wcale nie czuła się zmęczona, ale pozwoliła, by podprowadził ją do ławki ustawionej przodem do jeziora. Otaczały ją krzewy pokryte delikatnym puchem świeżej zieleni. Siedząc, nie widzieli reszty spacerowiczów, mieli wrażenie, że są sami na świecie, tylko we dwoje.

- Cieszę się, że mnie tu przyprowadziłeś - wyznała szeptem Nancy. Wiedziała, że zachowa to wspomnienie na resztę życia.

- Chciałem się znaleźć z tobą sam na sam, żeby porozmawiać.

Nancy nie zamierzała rozmawiać. Cóż mogła mu powiedzieć? Pragnęła po prostu z nim być, udając, że ta chwila będzie trwała wiecznie.

- Chcę się upewnić, że jesteś szczęśliwa - dodał Michael, patrząc jej w oczy.

- Szczęśliwa? - Głos jej się załamał, łzy nie dawały się dłużej powstrzymać.

Patrzył na nią z bólem, a potem wolno objął ją i przytulił do piersi.

- Gdybym... gdybym tylko mógł ci coś ofiarować, nie pozwoliłbym, żebyś wyszła za Ullmana. Sam bym się z tobą ożenił. Nie mam pieniędzy, a muszę skończyć studia, bo jak ich nie skończę, to w ogóle pozbawię się perspektyw. Za bardzo cię kocham, żeby cię narażać na niedostatek, jaki musiałabyś znosić, będąc moją żoną. Nie potrafię znieść samej myśli, że będziesz należeć do innego mężczyzny.

Zarzuciła mu rękę na szyję i zajrzała głęboko w oczy.

- Naprawdę mnie kochasz, Michaelu?

- Całym sercem.

Nancy ogarnęły uczucia, jakich nigdy wcześniej nie zaznała. Jeszcze tego ranka wydawało jej się, że coś w niej umiera, a teraz blisko Michaela, czuła się żywa jak nigdy dotąd. Wciągnęła głęboko powietrze, napawając się jego dobrze znanym, cudownym zapachem.

- Myślałam, że jesteś moim przyjacielem. Teraz wiem, że się myliłam. Jesteś moją miłością, jedyną miłością.

W oczach wciąż miał wyraz cierpienia, ale pochylił się i nakrył jej usta pocałunkiem. Nagle jednak oderwał się od Nancy i odsunął ją od siebie na odległość ramienia. Odczuła to tak, jakby ją opuścił, wyjeżdżając do dalekiego kraju.

- Nie ufam sobie, Nancy. Musimy być ostrożni. - Oddychał ciężiej niż po niedawnym biegu.

Zrozumiała, co miał na myśli. To, co się między nimi działo, mogło się wymknąć spod kontroli. Nancy zaczynała się domyślać, jakich przyjemności dostarczała pełna cielesna bliskość z właściwym mężczyzną. Łzy znów napłynęły jej do oczu.

- Nie chcę przestawać, Michaelu. Nie chcę się z tobą rozstawać już nigdy, ale cóż zrobić?

- Nie mogę ci zaoferować nic oprócz swojej miłości - powiedział drżącym głosem.

- Nie mam pieniędzy ani pozycji. Nie mam perspektyw dopóty, dopóki nie skończę studiów.

- A potem wrócisz do Bath i obejmiesz posadę, która na ciebie czeka? - Wiele razy wspominał jej, że pewien architekt z Bath, dobry znajomy jego ojca, jest skłonny zatrudnić go w swojej firmie.

- Tak - odpowiedział już pewniej, próbując wziąć się w garść.

Z trudem powstrzymując szloch, Nancy pomyślała, że za rok Michael będzie gotów do małżeństwa.

- Gdyby tylko nie była to sytuacja bez wyjścia...

- Jack twierdzi, że sytuacja wcale nie jest bez wyjścia. Sądzi, że może utrzymać ciebie i matkę.

- Wiem, ale Tranville przysięgł, że go zniszczy, a mamę pozostawi bez środków do życia. - Nie dodała, że w jej przekonaniu Tranville był zdolny zniszczyć także Michaela.

- Czy mogę narażać ich przyszłość na takie ryzyko? Nigdy bym sobie nie wybaczyła, gdyby przeze mnie ucierpieli.

Michael odwrócił wzrok.

- Gdybym tylko mógł wam pomóc... Za rok, przysięgam, potrafiłbym utrzymać ciebie i twoją matkę, a mój ojciec mógłby pomóc Jackowi w znalezieniu pracy.

- Jesteś taki dobry. - Wzięła go za rękę. - Jakże żałuję, że nie możemy cofnąć czasu i znów znaleźć się w Bath.

Uśmiechnął się lekko, ściskając jej dłoń.

- Nancy, my się nie znaliśmy w Bath.

- Ale teraz już byśmy się znali.

- Gdzie jest posiadłość lorda Ullmana? - spytał łamiącym się głosem.

- W Lincolnshire - odparła Nancy.

Daleko od Bath. Już nie zobaczy Michaela. Gdyby mieszkała bliżej, mogłaby go czasami widywać i z nim porozmawiać. Wiedziała, że on nigdy nie przyjedzie do Lincolnshire. Łzy popłynęły raz jeszcze, Michael znów ją do siebie przytulił.

- Przykro mi, Nancy. Tak bardzo mi przykro.

## Rozdział siedemnasty

Ariana była przygnębiona przez całe popołudnie, na szczęście jednak nikt nie zauważył, że nie pamięta roli, wejść ani w ogóle niczego z wyjątkiem tego, że gdy wcześniej opuszczała pracownię, Jack odwrócił spojrzenie. Pan Kean oznajmił, że nie czuje się najlepiej, i zakończył próbę, zanim jeszcze się zaczęła.

Wieczorem nie została w pokoju dla aktorów, lecz od razu poprosiła Henry'ego, aby odprowadził ją do domu. Kazała mu przysiąc, że dochowa tajemnicę, i opowiedziała o oświadczeniach Tranville'a. Natomiast nie wyjawiała, że zakochała się w Jacku.

- Ech, najlepsza plotka stulecia, a mnie nie wolno jej powtórzyć. - Henry przewrócił oczami i westchnął.

- To nie taka znowu ważna wiadomość - odparła ze śmiechem.

Z pobliskiej gospody dobiegły ich gniewne głosy. Na ulicach dawało się wyczuć napięcie, którego nie było, gdy szła tą samą drogą z Jackiem. Wszystko przez prawa zbożowe. Izba Lordów debatowała nad projektem mającym zapobiec spadkowi cen ziarna. Odkąd skończyła się wojna, napływające z Europy zboże powodowało obniżkę cen, więc właścicielom ziemskim groziło, że będzie im coraz trudniej utrzymać posiadłości. Niestety, przyjęcie projektu, który zgłoszono, zakończyłoby się podwyżką cen chleba.

- Chcemy chleba! - usłyszała Ariana z wnętrza lokalu.

Henry szedł obok, sprawiając wrażenie obojętnego na wzburzenie, które ogarnęło ulice.

- Powinnaś była zatrzymać tę bransoletkę - powiedział jakby do siebie.

Popatrzyła na niego z rozdrażnieniem.

- Dobrze wiesz, że nie przyjmuję takich prezentów.

Pogroził jej palcem.

- A powinnaś. Ze sprzedaży takiego cacka mogłabyś utrzymać się przez rok albo i dwa lata.

- Wierz mi, że zatrzymanie jej kosztowałoby mnie więcej. Tranville przyczepia się do człowieka jak pijawka. Nawet jeśli nie ustąpi mu się ani o cal, on wydrze dla siebie cały łokieć.

Gdy mijali kolejną gospodę, ze środka wytoczył się mężczyzna i omal na nich nie wpadł. Był pijany.

- Poślemy tych wszystkich wielkich panów do diabła, wspomnicie moje słowa! - zawołał.

Ariana odskoczyła przestraszona. Henry zręcznie pomógł jej ominąć nieznanego i podjął rozmowę, jakby nic się nie stało:

- Chcąc pozbyć się Tranville'a, musisz pozwolić sobie na coś skandalicznego. Tak, żeby wyszedł na bufona. Dżentelmeni nie znoszą, kiedy uważa się ich za pyszałków.

- Jak miałabym zrobić z niego bufona? - spytała i dodała sarkastycznie: - To ważny człowiek.

Uśmiechnął się szeroko.

- Mogłabyś zaryzykować poufałą, dostrzeżoną publicznie znajomość z kimś dużo niżej od niego postawionym... - Zawiesił głos. - Z artystą albo kimś podobnym.

Henry i inni współmieszkańcy często żartem wypominali jej Jacka, chociaż nie zdradziła się przed nimi ani słowem.

- Skąd mam wiedzieć, czy Tranville nie wyładuje gniewu na artyście? - To pytanie było retoryczne.

Henry rozłożył ręce.

- Zrób więc coś niepojętego. Choćby zatańcz nago w fontannie!

- Na to jest za zimno.

Zmienił temat, ale słowo „nago” raz po raz do niej wracało.

Następnego dnia Ariana wysłała liścik do Tranville'a, aby zaprosić go do pracowni Jacka na obejrzenie portretu. Wiedziała, że Jack będzie wtedy towarzyszył matce i siostrze podczas wizyty u Ullmana.

Weszła do atelier tak samo, jak wielokrotnie wcześniej. Zastłony były zaciągnięte, tym razem jednak nie było słycać żadnych odgłosów snu. Zajrzała do sypialni. Podeszła do łóżka i przesunęła palcami po kocu. Przytknęła poduszkę do twarzy i wciągnęła w nozdrza zapach Jacka. Pragnęła go. Bez niego czuła się całkiem opuszczona.

Po chwili udało jej się otrząsnąć z ponurych myśli. Gdy wróciła do pracowni, odsłoniła okno, aby wpuścić trochę światła. Potem ostrożnie zsunęła płótno zasłaniające obraz i wbiła wzrok w swój wizerunek. Kleopatra była prawie naga.

Zegar wybił trzecią. Właśnie na tę godzinę zaprosiła Tranville'a, musiała jednak poczekać jeszcze kwadrans, zanim zauważyła z okna nadjeżdżający powóz.

- Bardzo chcę w końcu zobaczyć to dzieło. Nie ma sensu tracić czasu, trzeba zanieść je do rytownika - orzekł kategorycznym tonem Tranville, gdy tylko przekroczył próg.

Ariana wzięła od niego cylinder, choć nawet jego odzienie wydawało jej się niemiłe w dotyku.

- Gdzie jest Jack? - Tranville zatarł ręce i rozejrzał się dookoła.

- Zatrzymała go sprawa rodzinna.

- Ach, tak. - Skinął głową. - Wizyta u Ullmana.

- Powinniśmy na niego poczekać?

Przesłał jej tęskne spojrzenie.

- W żadnym wypadku. Bardzo się cieszę z okazji do tego niespodziewanego sam na sam. - Tranville skierował się do sztalug.

Ariana zastawiła mu drogę, zanim dotarł do celu.

- Ostrzegam, że takiego portretu jeszcze pan nie widział. Uśmiechnął się z miną człowieka doświadczonego.

- Niemożliwe, przecież zobaczę panią. Roześmiała się z nadzieją, że brzmi to naturalnie.

- Wcale nie mnie, tylko Kleopatrze - zauważyła i odsunęła się, aby mógł spojrzeć.

Tranville wlepił wzrok w płótno.

- Czyż nie wspaniały obraz? - spytała.



Milczał, tylko jeszcze bardziej poczerwieniał na twarzy, a ona w duchu triumfowała. Właśnie o taką reakcję jej chodziło.

- Nie mogę się doczekać, kiedy ten wizerunek znajdzie się na afiszach, w magazynach i u drukarzy - ciągnęła, starając się wykrzesać z siebie jak najwięcej entuzjazmu. - Powinien ściągnąć tłumy na przedstawienie. Czy nie sądzi pan, że wszyscy będą o nim mówili?

Tranville nadal milczał.

Dzieło Jacka wydało jej się jeszcze ładniejsze niż ostatnim razem, gdy je widziała. Kleopatra w półleżącej pozie spoglądała z szezlonga na malarza, a jej twarz wyrażała dokładnie to, co odczuwała Ariana, czekając na pieszczoty Jacka. Rozpuszczone włosy opadały jej na ramiona, jakby zaraz miała znaleźć się w łóżu, a lekko rozchylone, krwistoczerwone wargi zachęcały do pocałunku. Przez prawie przezroczystą szatę prześwitowała skóra; wyobraźni pozostawało doprawdy niewiele. Nie ulegało wątpliwości, że pod tym skąpym okryciem Kleopatra jest naga.

- Co to ma znaczyć? - warknął w końcu Tranville.

Udała, że go nie rozumie.

- To jest Kleopatra uwodzicielka, rozumie pan? Większość artystów przedstawia Kleopatę umierającą od ukąszenia żmii, ale takie ujęcie tematu wydało mi się zbyt przerażające. Ten portret pokazuje jej królewską władzę nad mężczyznami, a także osobiste ambicje. Nie podobają się panu te niuanse bieli, które uzyskał Jack? To wspaniały kontrast dla zmysłowości Kleopatry. Znakomity pomysł, prawda?

- Pani jest naga!

- Nie jestem, jeśli nie liczyć stóp.

Stopy rzeczywiście miała białe, tylko na jednym z palców Jack namalował jej złoty pierścień.

- Rozebrała się pani dla Jacka.

Nagle wydał jej się groźny.

- Przebrałam się za Kleopatę - odparła z uśmiechem.

- Czyj to był pomysł? Ten, żeby pozować nago - dodał tak, jakby te słowa nie chciały mu przejść przez gardło. - Jego?

Odczuwała coraz większe zaniepokojenie, ale nie dała tego po sobie poznać.

- Mój, naturalnie. Co Jack mógłby wiedzieć o Kleopatrze?

Tranville odwrócił oczy od portretu i skierował wzrok na Arianę.

- Co tu się działo, kiedy zabroniła mi pani przychodzić? Nie płacę Jackowi za to, żeby pozwalał sobie na igraszki z panią w łóżku.

- Igraszki w łóżku? Proszę się nie ośmieszać. Zlecił pan namalowanie portretu i obiecał, że będzie on moją własnością. Powiedziałam więc Jackowi, co ma namalować, i efekt bardzo mi się podoba.

- Niech pani nie kłamie, Ariano. Nie znoszę kłamstw.

- Jestem aktorką i będę postępować jak aktorka. Marzyłam o takim portrecie. Zainteresuje ludzi i ściągnie mnóstwo widzów na moje występy. Będą o mnie mówić i pisać tak jak o mojej matce w jej najlepszym okresie. Tego chcę.

- Próbuje mnie pani zwieść? - Przysunął się bliżej. - Jeśli tak, to nie będę z tego zadowolony.

Musiała przywołać na pomoc umiejętności zawodowe.

- Wcale pana nie zwodzę, milordzie. Ten wizerunek Kleopatry przyniesie mi sławę. Będę największą sensacją Londynu...

- To sprawka Jacka - mruknął, wskazując na obraz. - On panią przekonał do pozowania w ten sposób i podszeptał pani tę bzdurę o sukcesie.

Spojrzała na niego oburzona.

- Ależ nie! To był mój pomysł!

- Nie wątpię, że Jack się postarał, aby właśnie tak pani myślała. Chce, żebym wyszedł na głupca.

- W jaki sposób pan może wyjść na głupca, skoro portret jest mój? - spytała z niedowierzaniem, choć przecież niczego bardziej nie pragnęła niż właśnie tego.

- Nie jest tajemnicą, że pragnę panią poślubić, a moja żona nie będzie pozować na go.

Ariana wyżej uniosła podbródek.

- Jeszcze nie przyjąłem pańskich oświadczeń, milordzie.

Spojrzał na nią gniewnie.

- Wkrótce to się stanie, bo jeśli nie, to dopilnuję, aby nigdy więcej nie stanęła pani na żadnej londyńskiej scenie.

Wsparła się pod biodra.

- Nie zastraszy mnie pan! Są jeszcze inne teatry. Jeśli wzbudzę sensację gdzie indziej, nie przeszkodzi mi pan w powrocie do Londynu.

- Proszę więc zastanowić się nad tym, co teraz pani powiem - rzekł z oszukańczą łagodnością. - Jeśli pani nie zgodzi się na małżeństwo, zrujnuję Jacka. Postaram się, żeby nigdy więcej niczego nie namalował. Lepiej, żeby pani nie wątpiła w moje możliwości pod tym względem.

Miała ochotę głośno krzyknąć, musiała jednak grać dalej, więc nadal niezłomnie spoglądała mu w oczy.

- Co więcej - ciągnął Tranville - nie dopuszczę do ślubu jego siostry z Ullmanem. Sam ich wyswatałem, więc mogę też sprawić, aby zaręczyny zostały zerwane. - Gdy Tranville mówił, pryskały mu z ust drobinki śliny. - Matka Jacka jest skazana na moją łaskę, odkąd umarł jej mąż. Wycofam udzielane jej wsparcie. Wtedy Jack będzie musiał wrócić do wojska, a ja załatwię mu przydział do Indii Zachodnich, gdzie najprawdopodobniej umrze na malarię. Jego siostra i matka skończą w przytułku dla ubogich...

Ariana panowała nad sobą dostatecznie dobrze, by unieść rękę w wyzywającym geście.

- Nie rozumiem, jaki to ma związek ze mną.

Pochylił się nad nią i spojrzał jej prosto w oczy z odległości nie większej niż kilka cali.

- Słowo daję, że to zrobię! Jeśli nie zniszczy pani tego obrazu i mnie nie przyjmie, to zemszczę się na Jacku, jego rodzinie, i na pani też.

Przesłała mu szydercze spojrzenie.

- Skaże pan tych ludzi na niewyobrażalne cierpienia, jeśli nie zgodzę się na ślub i zniszczenie płótna? - Odrzuciła głowę i parsknęła śmiechem, chcąc ukryć rozpacz. - To ci dopiero. Pan postępuje jak troskliwy kochanek, milordzie.

Nagle otworzyły się drzwi. Ariana podniosła głowę i ujrzała na progu Jacka przyglądającego jej się z zaskoczeniem i złością. Za nim stała Nancy.

- Co pani robi w mojej pracowni? - spytał.

- O, witam pana, Jack. Pokazuję panu Tranville'owi mój portret.

Jack zdjął płaszcz i podszedł bliżej.

- Nie dostała pani ode mnie pozwolenia, aby przebywać tutaj lub pokazywać komukolwiek moją pracę.

- Przecież to mój konterfekt - odparła z lekceważącym skinieniem dłoni Ariana. - Otworzyłam drzwi swoim kluczem.

- Ten klucz dałem pani dla swojej, a nie jej wygody.

- Posłuchaj, Jack - wtrącił się Tranville. - Powinieneś zostać wychłostany za namalowanie takiego portretu Ariany. Nie zgadzam się! Nie pozwalam!

- Dlaczego? Co złego jest w tym portrecie? - Jack obszedł sztalugi i przesłał Tranville'owi wyzywające spojrzenie. - To moja najbardziej udana praca.

Nancy podeszła bliżej, zerkając po drodze na Arianą.

- Niech no sama zobaczą.

Stanąła jak wryta, a oczy zaokrągliły jej się jak spodki.

Ariana poczuła, że jej rozpacz się pogłębia. Wszystko, do czego dążyła, waliło się w gruzy na jej oczach. Musiała koniecznie wybrnąć z tej sytuacji. Podeszła do obrazu opartego o ścianę i odwróciła go.

- Taki konterfekt chciał namalować Jack. Ja obstawałam przy tamtym.

Chociaż poza Kleopatry była ta sama, tu pod szatą nie było widać ciała. Twarz, całkiem pozbawiona wyrazu, nie miała w sobie nic uwodzicielskiego.

- Ten lepszy. - Tranville skinął głową z zadowoleniem.

Ariana chciała głośno zaprotestować. Ten wizerunek był wyzuty z wszelkich emocji. Nie było w nim ani krzty miłości.

- Tak, z tego jestem zadowolony - powtórzył Tranville. - Nawet bardzo zadowolony. - Zmierzył Jacka surowym spojrzeniem. - Musisz jednak ponieść karę za to, na co sobie pozwoliłeś. Nakłoniłeś tę młodą damę do przybrania absolutnie skandalicznej pozy!

Jack wskazał obraz na sztalugach.

- Lepszy jest ten.

Ariana poczuła bolesne ukłucie w sercu.

- Pozwoliłeś pannie Blane pozować w niedopuszczalny sposób - oznajmił wyniośle Tranville.

- Nie - odparł. - Pozowała do tamtego portretu przy ściąganiu. Ten na sztalugach jest wytworem mojej wyobraźni.

Ariana poczuła, że pod powiekami gromadzą jej się piekące łzy. Usiłowała ratować Jacka, a tymczasem Jack próbował ją ochronić.

Tranville zerknął w jej stronę.

- Dlaczego powiedziała mi pani, że to był jej pomysł?

- Bo właśnie ten portret chciałam pokazać światu - odrzekła.

- To jakieś androny - burknął Tranville. - Obraz należy zniszczyć. Zajmij się tym, Jack. Za to ten stojący pod ścianą trzeba zanieść do rytownika. Kiedy będzie gotowy?

- Za kilka dni.

- Proszę mi w odpowiednim czasie przekazać wiadomość, to kogoś po niego przyśle. - Tranville pstryknął palcami, jakby rozkazywał służącemu.

Jack spojrzał mu prosto w oczy.

- Jest mi pan winien pieniądze za dwa obrazy. Dopóki pan nie zapłaci, nie dostanie niczego.

- Zostaniesz opłacony, ale domagam się wykonania nowej kopii. - Ruszył do drzwi, przystanął jednak w pół drogi i burkliwie zwrócił się do Nancy: - Czy przyjęłaś zaproszenie Ullmana do teatru?

- Tak.

- A matka i brat również będą obecni?

- Tak. Pan Ullman zaprosił nas wszystkich. - Wydawała się nie rozumieć, do czego zmierza to wypytywanie.

Tranville uśmiechnął się.

- Wyśmienicie. Panny Blane dzisiaj nie ma w obsadzie, więc przyjdziemy do łoża.

- Spojrzał na nią znacząco. - Chodźmy, moja droga.

Zerknęła na Jacka, w którego spojrzeniu dostrzegła tylko złość i urazę. Nie mogła go za to winić. Gdyby została, aby wyjaśnić mu, po co ściągnęła Tranville'a, tylko pogorszyłaby sytuację. Nie pozostawało jej nic innego, jak podtrzymać wrażenie, że Jack jest jedynie malarzem spełniającym jej zamówienie, i wyjść z Tranville'em. Groźbę potraktowała poważnie, zamierzała więc zrobić wszystko co w jej mocy, by uchronić Jacka i jego rodzinę. Szkoda tylko, że nie bardzo wiedziała, w jaki sposób może to osiągnąć.

Przed wyjściem zerknęła jeszcze raz na Jacka, bez słowa błagając o wyrozumiałość i wybaczenie, on jednak się odwrócił.

- Mój woźnica miał przykazane, żeby jeździć dookoła. Powinien zaraz tu być - powiedział Tranville, gdy znaleźli się na ulicy.

Ruszyła przed siebie.

- Pójdę piechotą.

Chwycił ją za ramię.

- Mamy jeszcze co nieco do omówienia.

Gdy wsiedli do powozu, wsunął rękę do kieszeni surduta i wyjął aksamitne pudro z bransoletką.

- Oczekuję, że pani to dzisiaj włoży.

Odsunęła jego rękę.

- Nie przyjąłam ani pańskiego zaproszenia do teatru, ani propozycji małżeństwa.

Tranville nie ustępował:

- Niech pani to weźmie. Albo dotrzyma mi pani towarzystwa dziś wieczorem, albo zrujnuję pani przyjaciół. Nie wątpię, że to wpłynie na pani decyzję. - Gdyby ta rozmowa toczyła się na scenie, powiedziałyby, że zrobił pauzę dla osiągnięcia lepszego efektu dramatycznego. - Ponadto przyjmie pani moje oświadczenia.

Co miała zrobić? Wzięła od niego bransoletkę.

- Przyjmuję prezent na tak długo, jak długo nie jest on znakiem żadnych zobowiązań.

Zaśmiał się diabolicznie.

- To nie bransoletka nakłada na panią zobowiązania.

Jack siedział z głową ukrytą w dłoniach. Sądził dotąd, że portret jest prywatną sprawą między nim a Arianą, nie spodziewał się, że ktokolwiek zostanie w to wtajemniczony, a już na pewno nie Tranville. Pokazanie Tranville'owi tego obrazu miało dla niego prawie takie samo znaczenie, jakby Ariana zaprosiła go do ich sypialni.

Wrzała w nim złość. Ariana zdradziła go w wyjątkowo perfidny sposób. Chciała wywołać skandal. Chciała, żeby widzowie o niej mówili i przychodzili do teatru ją obejrzeć. Czy naprawdę sądziła, że Tranville przystanie na taki plan?

Jack pomyślał, że pragnie tylko tego, aby ludzie, których darzył ciepłymi uczuciami, byli szczęśliwi. Pokręcił głową. Wiedział, że sam się oszukuje. Tak naprawdę chciał malować i chciał też, aby inni podziwiali jego dzieła w taki sposób, jak Ariana w dniu, gdy się poznali. To właśnie spotkanie ambicji ich obojga doprowadziło do powstania wizerunku Ariany.

Usłyszał, że do sztalug podchodzi Nancy.

- Nigdy mi nie wspomniałeś o tym obrazie, Jack - odezwała się. - Dlaczego trzymałeś go w sekrecie?

Wstał i stanął obok siostry.

- Czy to nie oczywiste?

Cofnęła się o krok, żeby lepiej widzieć płótno.

- Oczywiście jest, że ona pozowała.

- Uznałem, że lepiej tego Tranville'owi nie mówić. Nie zamierzałem traktować tej wersji jako ostatecznej,

- To wspaniały konterfekt. - Głos Nancy był pełen podziwu. - Ten przy ścianie nie jest taki dobry.

- Powinnaś być zgorszona.

- Zapominasz, że dorastaliśmy w atmosferze zgorszenia.

- Jeden skandal więcej na pewno nas nie zabije. Jeszcze możesz odmówić Ullmannowi.

- Nie mów o tym więcej. Podjęłam decyzję.

- Ale...

Odwróciła się do niego gwałtownie.



- Nie prowokuj mnie! Poślubię go i koniec. - Ponownie zwróciła twarz ku portretowi, jakby to zamykało temat. - Wiesz, dlaczego ten mi się bardziej podoba?

Pokręcił głową.

- Bo... - Głos podejrzenie jej się załamał. - Bo przelałeś w niego całą swoją miłość do Ariany.

- Nancy...

- Teraz rozmawiamy o tobie, Jack. Nie możesz zaprzeczyć, że ją kochasz. Mam przed oczami dowód.

Zaprzeczyć nie mógł, ale potwierdzić też nie. Tylko pogłębiłby nieszczęście siostry.

- To tylko obraz, Nancy.

Ujęła go za rękę i spojrzała mu w oczy.

- Zrób coś dla mnie, drogi bracie. Nie zaprzeczaj, że kochasz Ariannę, a jeśli dotąd to ukrywałeś, musisz jej teraz powiedzieć o swoich prawdziwych uczuciach. - Potrząsnęła jego dłońmi. - Musisz!

- To skomplikowane - sprzeciwił się.

- Zaczynam sądzić, że każda miłość jest skomplikowana.

## Rozdział osiemnasty

Ariana była umęczona. W teatralnej łoży obok siebie miała triumfującego Tranville'a i jego syna. Obu nie znosiła w równym stopniu.

- To okrucieństwo - szepnęła do Tranville'a. - Dano mi do zrozumienia, że żywi pan ciepłe uczucia dla pani Vernon.

Wydawał się zaskoczony.

- Owszem, żywię, nawet bardzo ciepłe. Dlatego objąłem ją i jej syna tym zaproszeniem.

Nie wierzyła własnym uszom.

- Czy nie sądzi pan, że będzie jej nieprzyjemnie, skoro znajdzie się przymusowo w moim towarzystwie?

- Nie pojmuję dlaczego. Mary wie, że muszę się ożenić. - Machnął ręką. - Zresztą ona ma dobry charakter. Zawsze mnie rozumiała.

- A pan zamierza jej odpłacić za dobre serce odcięciem dochodów i odesłaniem do przytułku dla ubogich?

- Decyzja jest wyłącznie w pani rękach, moja droga. Pani i Jacka.

- Dlaczego musimy siedzieć w jednej łoży z Vernonami? - nie krył niezadowolenia Edwin.

W tym momencie drzwi się otworzyły. Pierwsza do łoży weszła Nancy, za nią bardzo przystojna kobieta, która musiała być jej matką.

- Już są - mruknął Edwin.

Za damami ukazał się lord Ullman.

- To będzie wspaniały wieczór! - zawołał. - Przyjęcie w teatrze!

Nancy podeszła z matką do Ariany w tej samej chwili, gdy zauważyła ona Jacka zatrzymującego się w drzwiach łoży.

- Mamo - zaczęła Nancy - czy mogę ci przedstawić...

Tranville ujął Arianę za ramię i przyciągnął ją do siebie.

- Moja droga Ariano, proszę pozwolić, że to ja przedstawię pani panią Vernon, bo o ile wiem, jeszcze nie miałyście okazji się spotkać. - Zwrócił się do matki Jacka: - Mary, to jest Ariana Blane, moja przyszła żona.

Poczuła, że policzki ją palą. Dygnęła.

- Pani Vernon, to ja powinnam zostać pani przedstawiona. - Spiorunowała wzrokiem Tranville'a. - Poza tym milord wprowadził panią w błąd. Nie przyjmę jego oświadczyn.

- Jestem pewien, że zostaną przyjęte, Mary - rzekł Tranville.

Pani Vernon zbladła, ale powiedziała uprzejmie:

- Miło mi panią poznać.

Poniewczasie przyszło Arianie do głowy, że tylko pogorszyła sytuację. W towarzystwie kobiety, która odmówiła Tranville'owi, pani Vernon musiała poczuć się jeszcze bardziej upokorzona. Tranville jednak zdawał się nie zauważać frasunku pani Vernon. Wskazał stolik.

- Jack, nalej wszystkim szampana. Musimy uczcić dzisiejszy wieczór.

Widać było, że Jack wykonuje polecenie Tranville'a z najwyższą niechęcią.

Pani Vernon podeszła do miejsca w głębi łoży.

- Proszę usiąść z przodu - zwróciła się do niej Ariana. - Będzie pani o wiele lepiej widziała przedstawienie, a ja naprawdę nie muszę.

Ullman podprowadził Nancy do krzesła.

- Może pani zająć miejsce między mamą a mną, moja droga. Czy tak będzie dobrze?

- Dziękuję - odrzekła obojętnie.

Jack w milczeniu rozdał wszystkim po kieliszku szampana. Tranville wysoko uniósł swój.

- Proponuję toast za narzeczonych. Bądźcie szczęśliwi w małżeństwie. - Zwrócił się do Jacka: - I za piękny portret Ariany. - Potem wykonał kieliszkiem gest ku Arianie. - I za modelkę pozującą do tego portretu oraz za przyszłość, która stanie się jej udziałem.

Edwin roześmiał się szczekliwie.

- Po takim toaście wszyscy musimy się napić. - Jednym haustem opróżnił zawartość kieliszka.

Ariana ledwie umoczyła usta. Nigdy szampan nie wydawał jej się taki kwaśny, choć był francuski i do tego przedniej marki. Zerknęła na Jacka, który nawet nie podniósł trunku do warg. Zajmował miejsce tuż za nią i była świadoma każdego jego poruszenia. Nawet słyszała jego oddech. Nie wypowiedział jeszcze tego wieczoru ani jednego słowa, a przecież tylko z nim chciała rozmawiać. Ponieważ jednak obok niej siedział Tranville, nie miała na to szans.

Nancy sztywno wyprostowana, przypominała Arianie porcelanową lalkę z oczami pozbawionymi wyrazu i beznamiętną twarzą. Serce pękało, kiedy patrzyło się na tę pannę, która z taką swobodą śmiała się w towarzystwie Michaela. Bo to tamta Nancy była pięknnością z portretu namalowanego przez Jacka.

Przykro było patrzeć również na panią Vernon. O ile Nancy przypominała lalkę z porcelany, to jej matka - lalkę szmacianą. To cud, że była w stanie względnie prosto się trzymać. Co gorsza, matka Ariany, która grała tego wieczoru główną rolę, dostrzegła, że córka znajduje się w loży z Tranville'em, i przesłała jej w pewnym momencie znaczące spojrzenie. Była w nim aprobata, lecz nie bez śladu irytacji.

Udając, że poprawia szal, Ariana zerknęła kątem oka na Jacka. Patrzył nie na scenę, lecz na nią. Gdyby mogła powiedzieć do niego choć jedno słowo, poczułaby się swobodniej, ale jeśli chciała ratować ich wszystkich, musiała traktować go tak, jakby nic dla niej nie znaczył.

Jakoś udało im się wszystkim przetrwać pierwszą połowę sztuki, jak na ironię będącej komedią. W przerwie Ullman zaprowadził Nancy do holu, aby przedstawić ją znajomym. Edwin wypił całą butelkę szampana. Jack siedział z matką, a Tranville zmusił towarzystwo do wysłuchania swoich opinii na temat teatru, w tej kwestii uważał się bowiem, nie wiedzieć czemu, za eksperta.

Podczas jego tyrady Jack ujął matkę za rękę. Widząc ten czuły gest, Ariana poczuła, że niewiele brakuje jej do płaczu. Rozległo się pukanie do drzwi i służący wnieśli talerz z serami, paterę owoców i ciasta. Ullman i Nancy wrócili, a Tranville zaczął zachęcać zebranych do jedzenia.

W pewnej chwili Ullman odciągnął go na bok.

- Słyszałem wieści o zamieszkach...

Ariana skorzystała z okazji, by podejść do Nancy.

- Proszę to wziąć i zadbać o własne szczęście - szepnęła, po czym odpięła bransoletkę i wsunęła ją w dłoń Nancy. - Strzeż się głupiego błędu, błagam.

Nancy najpierw zerknęła w dół, potem na Ariane. Jej twarz wreszcie coś wyrażała, choć chyba przede wszystkim zaskoczenie. W każdym razie Nancy szybko schowała bransoletkę do torebki.

Tymczasem Ariana wzięła talerz z jedzeniem, jakby właśnie po to wstała z miejsca. Nancy już mogła być ze swoim Michaeliem. Henry powiedział, że za ten drobiazg można przeżyć nawet dwa lata. Nagle stanął za nią Jack. Wyczuła jego obecność, zanim jeszcze się odwróciła.

- Przepraszam bardzo - powiedział oschle.

- Jack... - Nie umiała ukryć tęsknoty zawartej w tym jednym słowie.

Uciekł przed jej spojrzeniem.

- Przyszedłem tutaj wyłącznie dla dobra mojej matki. Nie mógłbym zostawić jej w tej sytuacji na łasce losu, podobnie zresztą jak siostry. Proszę się odsunąć, chciałem wziąć talerz dla matki.

Kątem oka zauważyła, że Tranville wciąż rozmawia z gestykującym Ullmanem.

- Jack, proszę, niech mi pan wybaczy...

Tylko zacisnął usta, więc odsunęła się zgodnie z jego życzeniem. Zresztą, zbliżał się już do nich Tranville.

- Proszę z łaski swojej podać mi talerz, moja droga. Ullman zaprosił nas po przedstawieniu na kolację, ale chyba nie doczekam, tak bardzo zgłodniałem.

Co za zawód! Chciała porozmawiać z Jackiem, spróbować mu wyjaśnić. Tymczasem Tranville nie dość, że jej przeszkodził, to jeszcze oznajmił, że męczarnie tego wieczoru będą trwały dłużej.

W drodze do londyńskiego domu Ullmana Jack wyglądał przez okno powozu. Natychmiast wyczuł, że coś wisi w powietrzu, dziwna energia gromadziła się na ulicach.

Włosy zjeżyły mu się na karku, a w uszach zabrzmiały odgłosy zapamiętane pod Bada-  
józ.

- Musimy być ostrożni dziś wieczorem - odezwał się Ullman. - Słyszałem pogłoski  
o bandach rozdrażnionych prawami zbożowymi. Tranville zapewniał mnie, że nic się nie  
zdarzy, ale ja nie jestem o tym przekonany.

Powóz Tranville'a jechał przodem, a w nim również Ariana. Przecięli Princes Stre-  
et w drodze ku Piccadilly. Jack bacznie obserwował sytuację i widział, że tu i ówdzie  
zbierają się grupki mężczyzn.

- Będą kłopoty - oświadczył.

Powóz zmierzał dalej w stronę Mayfair, a tymczasem tłum gęstniał.

- Czy nic nam nie grozi, Jack? - spytała zaniepokojona Nancy.

- Dopilnuję, żeby nic ci się nie stało - zapewnił.

Właśnie w tej chwili niespodziewanie się zatrzymali. Jack odchylił klapkę i przez  
otwór w pudle zwrócił się do woźnicy:

- Co się dzieje?

- Zaatakowali powóz przed nami! - odkrzyknął stangret.

Jack otworzył drzwi i wychylił się na zewnątrz. Grupa mężczyzn otoczyła pojazd  
Tranville'a. Jack zdarł z głowy cylinder i zrzucił płaszcz.

- Niech pan natychmiast odwiezie je do domu - polecił Ullmanowi i wyskoczył na  
ulicę.

- Jack, wracaj! - krzyknęła za nim pani Vernon.

- Jedź na Adam Street i nie zatrzymuj się, żeby nie wiem co! - zawołał do stangre-  
ta.

- Dobrze, proszę pana. - Powożący dał znak koniom, a gdy ruszyły, skręcił w prze-  
cznicę, by wrócić na Piccadilly, byle dalej od zamieszek.

Tymczasem Jack podbiegł do miejsca, gdzie ponad dziesięciu mężczyzn dopadło  
powozu Tranville'a i próbowało go rozkołysać. Stangret rozdzielał razy batem, a jedno-  
cześnie próbował zapanować nad końmi. Jack usłyszał wołanie: „Precz z prawami zbo-  
żowymi!” i „Chleba!”, nagle jednak odpłynęły w dal. Zupełnie jakby ktoś chwycił go za  
kołnierz i odepchnął na bok. Zderzył się z kutym ogrodzeniem jakiejś kamienicy. Nie był

już jednak w Mayfair, lecz w mieście-twierdzy Badajoz, a otaczali go krzyczący żołnierze w czerwonych mundurach.

- To nie jest Badajoz - powiedział głośno do siebie, zasłaniając uszy dłońmi.

- Przestańcie! - usłyszał głos Ariany. - Puśćcie nas!

To podziałało na niego trzeźwiąco. Odepchnął się od ogrodzenia i z celtyckim okrzykiem wojennym, który kiedyś wzbudził panikę wśród Francuzów, rzucił się w wir walki. Kilku napastników odbiegło na bok, ale jeden z nich zamachnął się na niego pałką. Mierzył w głowę, Jack zrobił jednak unik i pała uderzyła z impetem w pudło powozu. Jack wykręcił mężczyźnie rękę i zmusił go do puszczenia drąga. Tymczasem inny człowiek rzucił się na niego od tyłu. Unieruchomił go tak, aby ten pierwszy mógł bezkarnie puścić w ruch pięści. Jack gwałtownie skrzył ciało, strącił drugiemu kapelusz, ale uwolnić się nie zdołał. Pozostało mu blokować uderzenia.

- Jack! - W oknie powozu pojawiła się Ariana.

- Kryj się! - zawołał.

Nie posłuchała. Wychyliła się i chwyciła mężczyznę za włosy. Ten zaczął się wyrywać, a przy okazji omal nie wyciągnął jej przez okno na ulicę.

- Tranville, trzymaj ją! - krzyknął Jack.

Kątem oka widział, że Tranville usiłuje odpierać napastników z drugiej strony.

Ariana wciąż szarpała mężczyznę za włosy, gdy Tranville wciągnął ją z powrotem do powozu. Przynajmniej jednak atakujący Jacka stracił równowagę i rozluźnił chwyt. Jack skorzystał z okazji, wyrwał się i potężnym hakiem obrócił przeciwnika dookoła osi. Tymczasem jednak nadbiegł trzeci mężczyzna, a pierwszy sięgnął po pałkę. Jack go uprzedził.

- Zróbcie z nim porządek, chłopcy. - krzyknął ten pierwszy.

Teraz otoczyło go kilku mężczyzn.

- Jazda, naprzód! - krzyknął Jack do stangreta.

- Nie! - zaprotestowała Ariana, gdy konie ruszyły.

Jack dzierżył pałkę, podobnie jak kiedyś szablę. Zadawał nią ciosy z takim animuszem, że awanturnicy odsunęli się na bezpieczną odległość. Gdy tylko znaleźli się dostatecznie daleko, Jack raptownie się odwrócił i pognał za jadącym pojazdem.



- Ucieka! - usłyszał za plecami. W uszach miał świszczące oddechy pościgu. Ktoś próbował złapać go za frak. Zanim wyciągnęły się ku niemu następne ramiona, odbił się, skoczył i zdołał uchwycić krawędź otwartego okna. Z całej siły zacisnął na niej dłonie.

- Precz! Precz! - Tranville uderzył go łaską po rękach.

- To Jack, głupcze! - krzyknęła Ariana i wyrwała Tranville'owi łaskę. Przepchnęła się obok niego i chwyciła Jacka za ramiona. - Nie puszczaj!

Powóz podskakiwał na wybojach, a Jack gorączkowo szukał podparcia dla stóp. W końcu udało mu się wsunąć palce między złożone schodki a pudło.

Zwolnili dopiero, gdy pojazd wyjechał na oświetlony gazowymi latarniami Pall Mall.

- Dokąd jechać? - spytał stangret Jacka.

- Henrietta Street - odpowiedział. - Zawieź pannę Blane do domu.

Wreszcie mógł bezpiecznie wsiąść, a gdy tylko znalazł się we wnętrzu, Ariana zarzuciła mu ręce na szyję.

- Bałam się, że pana zabiją.

- Nie tak łatwo mnie zabić - odparł.

Potknął się o Edwina, który kulił się na podłodze, zasłaniając głowę ramionami.

- Ty przeklęty tchórze! - zagrzemiał Tranville i uderzył syna łaską. - Przynosisz mi wstyd! - Na resztę pasażerów nie zwracał uwagi.

Jack opadł na siedzenie naprzeciwko Ariany, zajmującej miejsce obok Tranville'a.

- Siadaj, ty żaloszny trzęsiportku! - Tranville pociągnął Edwina za kołnierz.

Chwilę potem Edwin znalazł się obok Jacka.

- Zostaw mnie - poprosił ojca.

Ten posłał mu siarczystą wiązanekę i zamilkł dopiero wtedy, gdy uświadomił sobie obecność Jacka. Wciąż patrząc na syna z pogardą, wygładził ubranie.

- Dokąd jedziemy? - spytał.

- Odwozimy pannę Blane do domu - wyjaśnił Jack.

Ariana wyciągnęła z torebki koronkową chusteczkę i otarła mu skórę nad okiem.

- Krwawi pan.

Tranville chwycił Ariane za nadgarstek.

- Gdzie pani ma bransoletkę?

- Nie wiem - odrzekła po dłuższej chwili.

- Te przekłete bandziory musiały ją pani ściągnąć - burknął Tranville i zwrócił się ponownie do syna: - Widzisz? Ty tu mażesz się jak baba, a te obwiesie ukradły bransoletkę. Musisz wiedzieć, że wydałem na nią majątek.

Ariana spoglądała na swój obnażony nadgarstek.

- Mam nadzieję, że zrobią z niej dobry użytek. - Oparła się o ścianę pudła, a Jackowi wydało się, że widzi majaczący na jej wargach uśmiech.

Powóz zatrzymał się przed jej pensjonatem, więc Jack wyskoczył na ulicę, by rozłożyć schodki, po czym podał Arianie rękę.

- Odsuńże się! - usłyszał krzyk Tranville'a skierowany do Edwina. - Muszę dopilnować, żeby panna Blane bezpiecznie wróciła do domu.

Jack zatrzasnął drzwi powozu.

- Ja ją odprowadzę! - zawołał i zwrócił się do stangreta: - Pospiesz się. Słyszę, że nadciąga następna banda.

- Odjeżdżajmy stąd! - krzyknął Edwin.

- Naturalnie, proszę pana - powiedział woźnica, uśmiechając się pod nosem. Strzelił z bata nad głowami koni i te dziarsko ruszyły, zanim Tranville zdołał zaprotestować.

Ariana nawet nie czekała, aż powóz się oddali. Zarzuciła Jackowi ręce na szyję.

- Dzięki Bogu, że już nic ci nie grozi. Mocno ją przytulił.

- Bywało gorzej - zapewnił. - Postąpiłaś jednak nierozsądnie, wychylając się przez okno - dodał, ujmując jej twarz w dłonie.

- Nie mogłam beczynnienie siedzieć.

- Edwin nie miał takich skrupułów - zauważył ze śmiechem i przyciągnął ją do siebie jeszcze bliżej. - Nie powinnaś stać na ulicy - dodał.

- Zapraszam do siebie. Nie chodź dzisiaj wieczorem sam po ciemnych ulicach.

- Już się nie boję. Pociągnęła go za frak.

- Wejdz mimo wszystko.

Posłusznie podążył za nią do środka i po schodach do jej pokoju. Ariana zsunęła z ramion szal i zapaliła kilka świec. Potem pomogła mu zdjąć frak.

- Cały jest podarty - powiedziała zafrasowana i dla zilustrowania swoich słów przełożyła palec przez materiał w miejscu, gdzie został rozerwany szew.

- To bez znaczenia.

Ariana ujęła go za rękę i zaprowadziła do łóżka. Rozpięła mu kamizelkę.

- Muszę zobaczyć, co oni ci zrobili - powiedziała. Zsuwając kamizelkę z ramion, wzdrygnął się z bólu.

- Och, Jack! - krzyknęła, gdy ściągnęła mu koszulę przez głowę.

Zerknął w dół i zobaczył liczne czerwone ślady na klatce piersiowej. Z doświadczenia wiedział, że nazajutrz będą sinofioletowe. Gdy Ariana dotknęła jednego z takich miejsc, drgnął.

- Trochę mnie to boli - przyznał, choć tak naprawdę bolało jak diabli. - Na szczęście, wygląda na to, że żebra są całe.

- Co mogę dla ciebie zrobić? - spytała głosem pełnym troski, ostrożnie wodząc rękami po kolejnych stłuczeniach.

Pocałował ją w rękę.

- Masz brandy? - spytał.

- To wspaniały pomysł.

Po chwili wróciła z butelką i dwiema szklaneczkami. Wspięła się z powrotem na łóżko i naląła Jackowi hojnie trunku.

Tego potrzebował, po kilku łykach po ciele rozeszło się miłe ciepło. Nie spuszczał wzroku z Ariany, która również sączyła brandy.

- Bardzo cię przepraszam.

- Za co?

Pogłaskała go po czole.

- Za ból i wszystkie kłopoty, których przysporzyłam tobie i twojej rodzinie. Wygląda na to, że czegokolwiek próbowałam, tylko pogarszałam sprawę.

Odstawił szklaneczkę i wyciągnął do niej ramiona. Wtulila się w nie z ochotą.

- Winę ponosi wyłącznie Tranville. Także za to, że naraził cię dziś wieczorem na niebezpieczeństwo, bo zlekceważył ostrzeżenie o zamieszkach.

Położyła mu głowę na piersi.

- Gardzę nim. Nigdy go nie poślubię, ale nie wiem, jak mam go powstrzymać przed zemstą. On chce wpędzić w nędzę całą twoją rodzinę, a ciebie wysłać do Indii Zachodnich.

- Czy tym ci zagroził?

Skinęła głową.

Jack wiedział, że w rzeczywistości część winy spada na jego matkę. Dawno już zrobiłby porządek z Tranville'em, gdyby nie wymogła na nim obietnicy. Najwyższa pora ją złamać. Wyjął szpilki z włosów Ariany i rozczesał je palcami.

- Znajdę sposób, żeby się z tego wykręcić, Jack - powiedziała cicho. - Przysięgam. Czekałam tylko na okazję. Jeśli zaś chodzi o twoją siostrę... - Ugryzła się w język.

- Co z moją siostrą?

- Ach, nic - odparła, chociaż trudno jej było wytrzymać jego badawcze spojrzenie.

- Powiedz mi - zażądał stanowczo. Przywarła do niego.

- Znalazłam sposób, aby jej pomóc, naturalnie jeśli zdecyduje się z niego skorzystać. - Zerknęła na swój nadgarstek.

- Dałaś jej bransoletkę.

- Tranville uznał, że ściągnęli mi ją awanturnicy. Roześmiał się i jeszcze raz mocno ją uściskał, a ona nagle znalazła się nad nim, całując go w usta. Jeszcze chwilę wcześniej czuł się obolały i półżywy, teraz odzyskał wigor. Szybko pozbył się reszty ubrania, rozebrał Ariane i gdy ułożyli się spleceni w uścisku, już nic ich nie dzieliło.

Gorączkowo wymieniali pieścizoty spragnieni, jakby głodowali wiele dni i nagle trafili na ucztę. Zjednoczeni w rytmie miłości, sprawili, że namiętność wybuchła w ich ciałach roziskrzonym spełnieniem, które na chwilę zatrzymało czas. Jack wiedział, że jeszcze nieraz przeżyją podobne uniesienia. Obiecał sobie pokonać wrogów i dając oparcie rodzinie oraz przyjaciółom, wieść szczęśliwe życie z Arianą. Pocałował ją, aby przypieczętować tę przysięgę, choć nie wyjawiał jej znaczenia pocałunku. Świece zamieniły się tymczasem w ogarki, a on wypowiedział tylko trzy słowa:

- Kocham cię, Ariano.

- Ja też cię kocham, Jack - szepnęła łamiącym się głosem. - I zawsze będę cię kochać.

Czule się objęli. Ariana wkrótce zasnęła, a Jack leżał, rozmyślając, w jaki sposób położyć kres ich kłopotom. Wszystkie jego pomysły zmierzały w tym samym kierunku. Musiał raz na zawsze rozprawić się z Tranville'em.

## Rozdział dziewiętnasty

Następnego ranka Jack mozolnie wkładał kamizelkę, starając się nie wydawać przy tym dźwięków, które zdradziłyby Arianie, że najdrobniejsze poruszenie sprawia mu ból. Wszystkie jego starania poszły na marne.

- Musi bardzo cię boleć. - Ariana szybko do niego podeszła. - Pomogę ci. - Starannie wyprostowała kamizelkę na ramionach. Chciał sam zapiąć guziki, ale mu nie pozwoliła.

- Nie jestem inwalidą do tego stopnia, żebym nie poradził sobie z guzikami - zaprotestował, ale prawdę mówiąc, sprawiało mu przyjemność, że Ariana się o niego troszczy i jest blisko niego.

- Nie mam nic przeciwko temu, żeby trochę ci pomóc.

Jack cierpliwie poczekał, aż skończy wiązanie kunsztownego węzła, który prawie perfekcyjnie zamaskował wszystkie uszkodzenia fularu z poprzedniego wieczoru. Wreszcie Ariana delikatnie poklepała go po piersi.

- Gotowe. Teraz chwilę poczekaj, a ja doprowadzę do porządku twój frak.

Ostrożnie usiadł obok niej i z niekłamana radością chłonał wzrokiem tę domową scenę, gdy Ariana, migając igłą, reperowała szwy.

Jeszcze jedno wcielenie do namalowania, pomyślał. Po pewnym czasie praca dobiegła końca. Również przy wkładaniu fraka Jack musiał skorzystać z pomocy.

- Chciałabym, żebyś pozwolił mi iść z tobą - powiedziała. Objął ją i przytknął czoło do jej czoła.

- Lepiej będzie, jeśli rozmówię się z Tranville'em w cztery oczy.

Musiał zakończyć tę walkę sam. Ariana zmarszczyła brwi.

- Wiem, że to przeze mnie sprawy mają się teraz gorzej, niż powinny. Nic dziwnego, że nie życzysz sobie mojej obecności.

Ujął ją pod brodę i spojrzał jej prosto w oczy.

- Jeśli przyjdę sam, on nie będzie się obawiał, że straci twarz. Porozmawiamy bez świadków, tylko ja i on.

- Niech ci będzie.

- Przyjdę do ciebie później, obiecuję.

Musnął jej wargi, a ona zarzuciła mu rękę na ramiona i mocno pocałowała w usta.

- Mogłabym przynajmniej towarzyszyć ci do pracowni i pomóc ci się przebrać - powiedziała, gdy przestali się całować.

Pokręcił głową.

- Najpierw zajrzę do matki, by wiedziała, że nic mi się nie stało.

Dobrze wiedział, że Ariana nie chciałaby narzucać swojej obecności jego matce. Cóż, szczęście ma swoją cenę. Chcąc ułożyć wszystko jak najlepiej, nie tylko dla siebie, lecz również dla Ariany, Nancy i dla matki, musiał złamać dane jej słowo. Musiał też wyznać matce, że kocha Ariane.

- Czas na mnie - rzekł cicho.

Schodzenie po schodach znów przypomniało mu, jak bardzo jest obolały, starał się jednak nie zwracać na to uwagi. Ariana odprowadziła go do drzwi i tam pożegnała pocałunkiem. Nagle Jack poczuł, że Ariana zaciska rękę na jego ramieniu.

- Mam złe przeczucie.

Przygarnął ją do siebie i przez chwilę trzymał w objęciach.

- Powiedz lepiej, że wszystko się ułoży.

Uśmiechnęła się, rozpoznając swoje słowa.

Do domu matki wpuścił go Wilson.

- Panicz Jack, cały i zdrowy - powiedział.

Jack uśmiechnął się, rozbawiony tym powrotem do lat dzieciństwa.

- Widzę, że słyszałeś o mojej przygodzie. Przeszedłem uspokoić matkę. Jest na górze?

- W jadalni - odrzekł służący.

Jack pospieszył we wskazanym kierunku. Okazało się, że pani Vernon towarzyszył Tranville.

- Co, u diabła...? - Jack przystanął zaskoczony.

Matka wstała od stołu, by go uściskać.

- Tak się o ciebie martwiłam.

- Wiem. - Cmoknął ją w policzek, a przy okazji szepnął jej do ucha: - Co on tu robi?

Zaprowadziła go do stołu.

- Lionel przyszedł wczoraj wieczorem.

- Pan spędził tutaj noc?! - spytał oburzony Jack.

- Naturalnie. Nie mogłem wrócić, skoro w Mayfair grasują bandy.

- A Edwin?

- Odesłałem go z woźnicą.

Jack zwrócił się do matki:

- Pozwoliłaś mu zostać po tym wszystkim, co zaszło?

Splonęła rumieńcem, ale zanim cokolwiek powiedziała, wyręczył ją Tranville.

- Twoja matka jest wspaniałą kobietą.

Nierozważną, pomyślał Jack wstrząśnięty jej postępowaniem.

- Zjedz coś - zachęciła matka.

Pokręcił głową.

- Przyszedłem tylko po to, żebyś się przekonała, że nic mi się nie stało i przestała się o mnie niepokoić.

- Lionel powiedział mi, że nic groźnego się nie wydarzyło.

- Cieszę się, że oszczędzono ci strapien - rzekł sztywno Jack i zwrócił się ponownie do Tranville'a: - Chcę z panem porozmawiać, ale nie tutaj. Proszę podać termin, a pana odwiedzę.

- Nie ma potrzeby. Złożę ci wizytę, kiedy skończę śniadanie.

Jack skinął głową.

- Oczekuję więc pana niebawem.

W sieni zastąpił mu drogę Wilson, wyraźnie zaaferowany.

- Pańska siostra znikła.

- Jak to znikła?



- Kiedy służąca przyszła rano podsycić ogień, myślała, że panienka śpi, ale kiedy zajrzała do pokoju przed chwilą, przekonała się, że w łóżku są tylko poduszki. - Podał Jackowi kartkę. - Zostawiła list do pani Vernon.

Jack zerknął na służącego.

- Przeczytałeś list adresowany do mojej matki?

- Nie był zapieczętowany. Chodziło mi tylko o to, żeby uchronić pańską matkę przed niepotrzebną zgrzyotą. I pańską siostrę również.

Jack rozłożył kartkę i przeczytał:

*Najdroższa Mamo!*

*Uciekam. Nie próbuj mnie znaleźć i nie martw się. Będę całkiem bezpieczna. Wybacz mi, ale nie mogę poślubić lorda Ullmana. Bieda Ci mimo to nie grozi, bo dom u mnie zawsze znajdziesz. Napiszę do Ciebie niedługo.*

*Twoja kochająca córka Nancy*

Jack złożył liścik.

- Czy mam pokazać to pańskiej matce? - spytał Wilson.

- Tak, ale dopiero po wyjściu lorda Tranville'a - polecił. - Powiedz jej też, że kiedy wrócę, porozmawiam z nią na ten temat. - Klepnął służącego po ramieniu. - Nie martw się, to dobra wiadomość.

Wilsonowi wyraźnie ulżyło.

- Jeśli mogę pozwolić sobie na śmiałość, nie wydawało mi się, żeby panna Nancy była szczęśliwa w narzeczeństwie.

Jack uśmiechnął się szeroko.

- W pełni się z tobą zgadzam. - Wskazał dłonią liścik. - Za to teraz będzie szczęśliwa.

Wilson odwrócił się do krzesła.

- Proszę, pański płaszcz i cylinder.

Jack wrócił do pracowni. Zaraz po wejściu odciągnął zasłony, aby zrobiło się jaśniej. Podeszedł do sztalug, na których wciąż stał portret Ariany. Ustawił go tak, by padało na niego światło, i czekając na przybycie Tranville'a, siedział wpatrzony w wizerunek.

Ariana chodziła po pokoju i za każdym razem, gdy mijala okno, zerkala, czy nie wraca Jack. Bardzo nie lubila, kiedy trzymano ja w niepewnosci. Nagle rozleglo sie pukanie do drzwi sypialni. W szparze ukazala sie glowa Betsy.

- Ktos przyszedl do pani z wizyta.

Ariana glсно wciagnęła powietrze. Jak mogła przegapić chwilę nadejścia Jacka? Jednym szarpnięciem otworzyła drzwi i wyminęła służącą.

- Dziękuję, Betsy! - zawołała, zbiegając po schodach.

W holu było pusto, więc pospieszyła do salonu z myślą, że za chwilę padnie Jackowi w ramiona. Na progu stanęła jak wryta. Spoglądali na nią Michael i Nancy, trzymający się za ręce. Nancy natychmiast do niej podeszła.

- Wiem, że postępujemy niewybaczalnie, składając wizytę o tak wczesnej porze, ale nie mamy wiele czasu, wkrótce odjeżdża nasz dyliżans.

Michael stanął obok Nancy i ujął Ariane za rękę.

- Nie wiem nawet, jak pani dziękować...

Ariana popatrzyła zmieszana na nich oboje.

- Ale po co tutaj przyszliście?

- Podziękować - zaczął Michael.

- I przekonać cię, żebyś nie popełniła tego samego błędu, którego sama omal nie zrobiłam - dodała Nancy i spojrzała z uwielbieniem na Michaela. - Gdyby nie twój dar, pewnie porzuciłabym myśl o szczęściu.

Ariana uśmiechnęła się.

- Mówisz o bransoletce? - To była bardzo satysfakcjonująca zemsta na Tranville'u. Zamiast wysłać Nancy do przytułku dla ubogich, pomógł jej rozpocząć nowe życie. - Radzę, abyście nie sprzedawali jej w Londynie. Tranville zauważył, że nie mam jej na ręce, i sądzi teraz, że wczoraj wieczorem ściągnęli mi ją napastnicy. Pewnie będzie sprawdzał, czy jej gdzieś w okolicy nie sprzedano.

- A zatem zaczekamy ze sprzedażą - zdecydował Michael, po czym spojrzął z zachwytem na Nancy. - Mam dość pieniędzy, abyśmy mogli dotrzeć do Gretna Green.

Ariana już wcześniej domyśliła się, dokąd zmierza ich dyliżans.

- Musisz mi jednak coś obiecać - odezwała się znów Nancy, a jej twarz przybrała błagalny wyraz. - Nie poślubisz Tranville'a, dobrze?

- Taką obietnicę mogę złożyć bez wahania.

- Powinnaś wyjść za mąż za Jacka - dodała Nancy.

- Tego obiecać nie mogę, ale zapewniam cię, że kocham go z całego serca.

- Wobec tego zostań jego żoną! - nalegała Nancy.

Michael otoczył ją ramieniem.

- Niech ci wystarczy obietnica, którą dostałaś. Reszta jest w rękach panny Blane i Jacka. Sami muszą dojść do porozumienia.

- Cokolwiek się stanie, nie martwcie się - powiedziała Ariana. - Po prostu bądźcie szczęśliwi.

- Będziemy! - zapewniła ją Nancy i dodała: - Może lepiej nie mów Jackowi, dokąd pojechaliśmy.

Ariana mocno ją uściskała.

- Nie bój się, on nie będzie was ścigał. Kocha was oboje.

Michael zerknął na zegar, stojący na kominku.

- Powinniśmy się pospieszyć.

Ariana serdecznie się z nimi pożegnała, jeszcze raz życzyła im wszystkiego najlepszego, a potem ze łzami w oczach patrzyła, jak się oddalają.

Kiedy Tranville zapukał do drzwi, Jack był gotowy. Bez pośpiechu wstał z krzesła, podszedł do drzwi i otworzył je na oścież. Tranville wszedł natychmiast, w pół kroku zdejmując cylinder i płaszcz.

- Muszę z tobą porozmawiać - zaczął Tranville - o Edwinie.

- O Edwinie? - powtórzył Jack, zaskoczony.

- Nikt nie może się dowiedzieć o jego tchórzostwie. To wstyd dla rodziny.

Jack nie mógł uwierzyć, że Tranville sam podsuwa mu sposób, by raz na zawsze mogli się go pozbyć.

- Chcesz więcej pieniędzy za portrety? - Tranville wydawał się zdesperowany. - Zapłacę.

- Nie chcę pieniędzy.

Jack szybko kalkulował, jak daleko może się posunąć. Tymczasem Tranville usiadł na krześle i ukrył twarz w dłoniach. Kiedy znów się wyprostował, popatrzył na Jacka z niechęcią.

- Zawsze lubiłeś się popisywać, nic dziwnego, że Edwin wychodził przy tobie na tchórza nawet wtedy, gdy jeszcze byliście chłopcami.

- To nie ja zrobiłem z Edwina tchórza - zwrócił mu uwagę Jack. - Pan go wychowywał. Nie będziecie się więcej nade mną znęcać, ani pan, ani Edwin. Przecież nie chce pan, aby świat się dowiedział o rozmiarze tchórzostwa syna. Chętnie o tym opowiem.

- Nie! Stałbym się pośmiewiskiem. Ja, generał i par! - Zacisnął pięść. - To wina jego matki. Ona tak go rozpieściła.

Jack tymczasem zastanawiał się, kto ponosił winę za nieszczęścia tej kobiety.

- Dobrze, będę milczał. - Jack spojrzał na niego hardo. - W zamian za to chcę, aby pan przestał się wtrącać w życie mojej rodziny. Zapisze pan mojej matce okrągłą sumę, która będzie dawać kwartalnie procenty w wysokości pensji, jaką pan wyznaczy. Chcę też, aby zrezygnował pan z tego przeklętego komitetu teatralnego i nie próbował się już widywać z panną Blane. Nie będzie pan mieszał się do mojego życia, do życia mojej matki i siostry oraz panny Blane.

Tranville spurpurowiał na twarzy.

- Za dużo sobie pozwalasz! - Wstał. - Nikt niżej stojący ode mnie nie będzie mi mówił, kogo mam widywać i co robić. Proszę bardzo, możesz opowiedzieć wszystkim, że mój syn jest podłym tchórzem. Kto ci uwierzy? - Ruszył do drzwi.

- Niech pan zaczeka! - zawołał Jack. - Mam dowody.

Tranville przystanął i spojrzał na niego z pogardą.

- Niby na co?

- Na tchórzostwo Edwina. - Zrobił pauzę. - Na coś więcej niż jego tchórzostwo.

Tranville wydawał się zaniepokojony.

- Proszę poczekać, to panu pokażę. - Jack zostawił Tranville'a i poszedł po pakiet schowany w kufrze. Złamał obietnicę wymuszoną przez matkę, teraz miał złamać słowo dane współtowarzyszom. Wrócił do Tranville'a.

- A cóż to znowu za głupoty?

- Badajoz - odparł Jack.

Otworzył pakiet i zaczął rozkładać na podłodze spakowane w nim kartki. Razem tworzyły one historię obłączenia. Tranville spojrzał z uwagą.

- A tu chyba jest...

- Tak, Edwin - potwierdził Jack, dalej rozkładając kartki. Narysował cały incydent tak, jak go zapamiętał. Najpierw

Edwin próbujący zgwałcić kobietę, potem Edwin duszący chłopca, jeszcze potem kobieta rozcinająca Edwinowi skórę na twarzy. Tranville cofnął się o krok.

- Wymyśliłeś to sobie.

- Nie. To wszystko zdarzyło się naprawdę. Edwin był zbyt pijany, aby zauważyć moją obecność. - Wyłożył na podłogę ostatnie szkice, przedstawiające dwóch oficerów, którzy również byli świadkami tej sceny. Jack nie oddał jednak szczegółów ich twarzy ani umundurowania. - Jak pan zresztą widzi, nie tylko moją.

Tranville rozrzucił układankę jednym kopnięciem.

- Wytwór fantazji, i tyle.

Jack podniósł jedną z kartek i pokazał mu list na odwrocie napisany po francusku, z datą wcześniejszą o miesiąc od szturmu.

Tranville odrzucił list.

- Edwin został ranny w twarz, kiedy szturmował mury twierdzy.

- Obaj wiemy, że Edwin się dekował. Sam go widziałem, kiedy chował się wśród trupów.

- To kłamstwo!

Tranville rzucił się na Jacka i przewrócił go na podłogę, roztrzając rysunki. Chwycił go za gardło i zaczął dusić. Jack uwolnił się, markując uderzenie w oczy, i zerwał się na równe nogi, Tranville zdążył jednak chwycić go za kostki i znów przewrócić. Potoczyli się po podłodze, wymierzając sobie razy pięściami. Wpadli na sztalugi, a por-

tret Ariany spadł prosto na nich. Jack odtrącił go na bok, wstał, chwycił Tranville'a za poły surduta i pchnął z całej siły na ścianę.

- Niech pan przestanie! - krzyknął. - Nie może pan wygrać. Czas złożyć broń.

Tranville znów rzucił się na Jacka. Tym razem jednak Jack zrobił unik. Tranville siłą bezwładności rozbił na kawałki stół, szybko jednak odzyskał równowagę.

- Zabiję cię! - wysapał.

Jack z niejaką satysfakcją wymierzył przeciwnikowi mocny sierpowy w szczękę, wiedział jednak, że bijatyka nie rozwiąże problemu. Tymczasem Tranville uniósł nogę oderwaną od stolika i zaczął nią wywijać jak maczugą. Jack jednak znów zręcznie, uniknął ciosu i chwycił Tranville'a za ramiona. W walce o broń okazał się silniejszy i wnet noga od stolika znajdowała się w jego ręce. Tranville zaczął się cofać.

W tej chwili ktoś załomotał do drzwi.

Jack spojrzał ze złością na przeciwnika, który przyciskając dłonie do boków, z trudem łapał oddech.

- Dość tego!

Jack odrzucił nogę i podszedł otworzyć drzwi. Na progu stał oficer w czerwonym mundurze z białymi sznurami piechoty szkockiej.

- Generał lord Tranville? - spytał z pewnym zaskoczeniem.

Jack wskazał ręką w kąt pracowni, gdzie oparty o ścianę Tranville ocierał krew z kącika ust.

- Czego chcecie? - spytał.

Oficer wciąż wydawał się zdezorientowany.

- Panie generale, pytałem o pana w jego domu, skąd odesłano mnie do pani Vernon, a stamtąd właśnie tutaj.

Tranville machnął ręką.

- Nieważne. O co chodzi?

Oficer stanął na baczność.

- Przysłano mnie, abym poinformował pana generała, że ojczyzna wzywa. Mam obowiązek powiedzieć, że cesarz Napoleon zbiegł z Elby i gromadzi oddziały we Francji.

- Napoleon uciekł?!

Oficer strzelił obcasami.

- Tak jest. Pan generał jest niezwłocznie potrzebny w kancelarii głównego kwatramistrza.

Tranville zaczął porządkować ubiór.

- Już idę. - Mijając Jacka, burknął: - To jeszcze nie koniec. - Wyszedł za oficerem na ulicę i znikł w oczekującym powozie.

Jack oparł się o futrynę. Z tej krótkiej wymiany zdań wynikało jasno tylko jedno. Również on znajdzie się wkrótce na wojnie.

TLR



# Rozdział dwudziesty

## *Quatre Bras - 16 czerwca 1815 roku*

Jack wjechał w środek czworoboku utworzonego przez żołnierzy. Tu korzystał z osłony własnych szeregów. Regiment Wschodniego Esseksu szybko ustawił się w szyku, jakiego wymagało od niego natarcie francuskich lansjerów. Wytrzymał już przygotowanie artyleryjskie i teraz mieli przed oczami jeźdźców w hełmach z piórami, dzierżących długie lance i pędzących prosto na nich.

- Gotuj! - zakomenderował podpułkownik Hamerton wśród tętentu galopujących w wysokiej trawie koni.

Żołnierze jak jeden wykonali komendę.

- Jeszcze nie czas - ostrzegł Jack.

Napoleon wymaszerował z Paryża szybciej i wcześniej, niż ktokolwiek się spodziewał. Siły Blüchera były obecnie dość daleko, związane w innej bitwie. Gdyby Francuzi tu, pod Quatre Bras odnieśli zwycięstwo, powstrzymanie Napoleona mogłoby okazać się niemożliwe. Widok czworoboku żołnierzy, zapach mężczyzn, którzy bez przerwy od północy maszerowali, huk salw i tętent gnających koni wydawały się teraz Jackowi bardziej realne niż jego próby artystyczne. Lekcje sir Cecila, wystawa w Somerset House, portret Ariany... Powiedział jej „do widzenia”, ale nie ważył się niczego obiecać. Jeśli przedstawienie „Antoniusza i Kleopatry” odniesie sukces, kto wie, dokąd może to Ariane zaprowadzić? Nawet Tranville nie będzie w stanie jej zaszkodzić.

- Cel! - zagrział Hamerton.

Lansjerzy podjechali już tak blisko, że Jack widział ich wąsiki. Lufy muszkietów skierowały się w stronę konnych.

- Pal!

Huk rozszedł się echem po okolicy.

- Nabij! - krzyknął Jack w chmurze dymu, ale znajdującym się obok towarzyszom nie trzeba było tego przypominać.

Po ponownym naładowaniu broni frontowa linia wykonała padnij, aby druga linia mogła oddać strzał. Mężczyźni poruszali się w jednostajnym, wypracowanym rytmie - jedna linia strzela, druga ładuje - kiedy wśród krzyków i strzałów natarli na nich wysuniętymi lancami lansjerzy. Pierwsza fala przewaliła się dalej, ale natychmiast przysłała następna i jeszcze jedna. Atak kawalerzystów zdawał się nie mieć końca. Tych, których ugodziły lance, szybko odciągano na środek czworoboku, a ich miejsce wypełniali inni żołnierze. Strzelanina nie cichła ani na chwilę. Jack zagrzewał ludzi do boju, wyszukiwał słabe punkty w obronie, by natychmiast je wzmocnić, i raz po raz strzelał z pistoletu.

Wszystko to robił całkiem machinalnie. W pewnej chwili widziana scena na moment znieruchomiała przed jego oczami i zobaczył ją tak, jakby malował obraz. Błękitne niebo i chmury z waty, wysoka zielona trawa, wciąż chyląca się od podmuchów wiatru, w oddali gęsty las. Przemoc, śmierć i zniszczenie kładące piękno krajobrazu.

Mężczyzna obok krzyknął, a z oczodołu trysnęła mu krew. Zachwiał się i osunął na ziemię, dołączając do coraz większej liczby zabitych i rannych. Jakiś zuchwały Francuz, który przebił się do środka czworoboku, pędził teraz prosto na Jacka, mierząc weń lancą. Jack uniósł pistolet i strzelił. Wróg runął, a srokaty koń pogalopował dalej. Chwilę potem ciało Francuza wyrzucono na zewnątrz czworoboku.

Kawaleria wciąż szarżowała, nie zważając na sterty ciał. Regiment Wschodniego Esseksu bronił się resztkami sił. Czworobok stopniowo malał, rosła za to liczba rannych i zabitych. Było jasne, że nie sposób utrzymać tej pozycji dużo dłużej. Na zmęczonych twarzach żołnierzy malowała się desperacja.

- Patrzcie, ludzie! - zagrzemiał nagle Hamerton. - Idą Szkoci!

Istotnie, pojawił się Pierwszy Regiment Pieszy, szybko uformował czworobok i włączył się do walki. Gdy Jackowi mignął przed oczami Tranville, natychmiast wrócił doń gniew.

Po opuszczeniu pracowni w dniu bójki Tranville przysłał Jackowi list, w którym informował, że nie odstąpił od planu zniszczenia jego rodziny. Musiał jednak siłą rzeczy odłożyć to do czasu powrotu z Belgii.

Pistoletowa kula świsnęła Jackowi koło ucha. Machnął ręką, jakby odpędzał osę. Nie ma mowy. Nie pozwoli, by śmierć go stąd zabrała. Przecież od tego, czy uda mu się przeżyć, zależą losy jego bliskich. Poza tym chciał zobaczyć Ariane.

Cztery dni temu Ariana razem ze swoją służącą, matką Jacka i jej służącym Wilsonem weszła w Ramsgate na pokład statku pocztowego i przepłynęła La Manche, a potem drogą lądową wyruszyła do Brukseli. Żywiła nadzieję, że zobaczy Jacka i spędzi z nim jak najwięcej czasu przed zbliżającą się bitwą. Niestety, spóźniła się. Bój z Napoleonem już się toczył. Odgłos kanonady artyleryjskiej dotarł do nich wczesnym popołudniem i stawał się tym głośniejszy, im bardziej zbliżali się do Brukseli.

Wcześniej Ariana błagała Jacka, by pozwolił jej pojechać śladem wojska, żeby mogła opatrywać mu rany i zadbać o jego potrzeby. W razie gdyby miało stać się najgorsze, chciała przynajmniej ten ostatni raz go objąć. Jack jej zabronił. Miała zostać w Londynie, grać w „Antoniuszu i Kleopatrze” i zawojować serca publiczności, o czym kiedyś marzyła. Podkreślał, że sukces jest dla niej najlepszą ochroną przed Tranville'em. Co gorsza, nie zgodził się, by cokolwiek obiecywała. Mówiąc „do widzenia”, zwalniał ją ze wszelkich zobowiązań.

Ariana wcale nie chciała być wolna. W duchu wiedziała, że jest związana z Jackiem na dobre i złe. Zagrała jednak w przedstawieniu, a do rozreklamowania swojej roli użyła portretu namalowanego przez Jacka. Tego śmiałego. Obraz ustawiono w teatralnym foyer, a jego odbitki pojawiały się w ulotkach, na afiszach, w magazynach i w drukarniach. Skandal rzeczywiście zappełnił widownię. Wkrótce jednak o niej zapomniano. Powrót Napoleona wybił ludziom z głowy wszystko, co nie dotyczyło wojny.

Gdy „Antoniusza i Kleopatrę” zdjęto z afisza, Ariana odrzuciła propozycje następnych ról i poczyniła plany podróży do Brukseli. Pani Vernon uparła się jej towarzyszyć, a Ariana nie umiała odmówić, bo przecież przysporzyła tej kobiecie wiele strapień. Siedziały teraz naprzeciwko siebie w zatłoczonym dyliżansie do Brukseli. Mimo stukotu końskich podków i zgrzytów sprzężyn słyhać było dalekie odgłosy wystrzałów.

Ariana wyjrzała przez okno. Przez cały dzień widziała rzekę ludzi ciągnącą w przeciwnym kierunku, z Brukseli. Teraz tłum zgęstniał.

- Dlaczego ci ludzie uciekają z Brukseli? - spytała majora Wyliego, adiutanta Wellingtona, który z nimi podróżował.

- Na ostatnim postoju sam pytałem o to kilka osób. - Uśmiechnął się krzepiąco. - Okazało się, że są przezorni. Dużo mieszkańców zostało w mieście. Co więcej, podobno wczoraj wieczorem księżna Richmond wydała wielki bal z udziałem Wellingtona.

Wioski i pola wkrótce się skończyły i wjechali na ulice miasta.

- Nie ma już odwrotu - mruknęła pod nosem Ariana.

Dyvizans pokonał krętą, łagodnie pnącą się drogę na wzgórze, mijając duże, pięknie udekorowane domy, sklepy z francuskimi szyldami i majestatyczną katedrę. Szczyt wzgórza stanowił najelegantszą część miasta z parkiem, pałacem księcia orańskiego i wspaniałymi gmachami publicznymi.

Kiedy woźnica zatrzymał dyvizans przed hotelem, powitały ich kolejne salwy. Adiutant Wellingtona pomógł wysiąść pani Vernon i Arianie, bez trudu też załatwił dla nich zakwaterowanie. Recepcjonista wyjaśnił, że wprawdzie wcześniej hotel był pełen, ale tego ranka sporo gości wyjechało, więc ma kilka dobrych pokoi do dyspozycji.

Wylie pożegnał damy, miał bowiem zameldować się na Place Royale, a Wilson poszedł razem z nim, licząc, że uzyska wiarygodne informacje. Ariana była jednak zbyt niespokojna, by beczynn timer siedzieć i czekać na jego powrót.

- Chodźmy na spacer, pani Vernon - zaproponowała. - Obejrzymy park.

Mary skinęła głową.

Park okazał się jeszcze piękniejszy, niż spodziewała się Ariana. Olbrzymie trawniki przecinały żwirowe alejki, okazałe drzewa dawały cień. Nie brakowało fontann i posągów. Dookoła, niczym ozdobna rama, wznosiły się wspaniałe gmachy.

Nagła salwa zaskoczyła ich do tego stopnia, że Ariana musiała podtrzymać panią Vernon, która się potknęła.

- Ech, niedzara ze mnie - mruknęła i szybko się odsunęła.

- Jest pani zmęczona. - Ariana też się cofnęła. - Może powinniśmy wrócić? Sprawdźmy, czy przygotowano nasze pokoje. Jeśli tak, będzie pani mogła odpocząć. Zjemy kolację i pójdziemy wcześniej spać.

- Jak pani sobie życzy.

Gdy zawróciły, Ariana starała się spojrzeć na park w taki sposób, w jaki, jej zdaniem, patrzyłby Jack, chcąc coś namalować. Następnie skupiła uwagę na architekturze.

- Michael na pewno chciałby obejrzeć wszystkie te budynki, prawda? - zwróciła się do pani Vernon.

- Zapewne tak - przyznała Mary.

Michael i Nancy wrócili z Gretna Green, gdy tylko dotarły do nich wieści o Napoleonie. Jako małżeństwo zamieszkali u pani Vernon na Adam Street.

- Ładnie tutaj - ciągnęła Ariana, zerkając na towarzyszkę.

Matka Jacka miała w oczach łzy.

- Proszę się nie martwić. - Ariana dotknęła jej dłoni. - Jack na pewno wróci.

- Jack... - Głos pani Vernon brzmiał prawie niesłyszalnie. - Skąd mamy wiedzieć, co się stanie.

Ariana otoczyła ją ramieniem.

- Będziemy się za niego modlić.

Rozległa się następna salwa i Ariana gwałtownie odwróciła głowę, jakby spodziewała się zobaczyć biegnących parkowymi ścieżkami francuskich żołnierzy. Tymczasem jednak podszedł do nich służący.

- Co nowego, Wilson? - spytała pani Vernon. - Dowiedziałeś się czegoś?

- Całkiem niedaleko od nas toczy się bitwa. - Służący potrzebował chwili, by trochę wyrównać oddech. - W miejscu zwanym Quatre Bras, jakieś piętnaście, dwadzieścia mil stąd.

- Czy Jack tam jest? - zaniepokoiła się Ariana.

- Należy tak sądzić. Regiment Wschodniego Esseksu na pewno bierze udział w bitwie.

- A lord Tranville? - Głos pani Vernon lekko się załamał. Wilson popatrzył na chlebobawczynię z dużą dozą współczucia.

- On też powinien tam być. Jest adiutantem generała Packa w Dziewiątej Brygadzie.

- Chcę wrócić do hotelu - oznajmiła pani Vernon i szybko odeszła.

Ariana zrozumiała, że pani Vernon odbyła całą tę olbrzymią podróż z powodu Tranville'a. Wilson miał posępną minę.

- Regiment Wschodniego Esseksu stanowi część Dziewiątej Brygady, proszę pani. Obaj mogą się spotkać.

Ariana skinęła głową. Ze spotkania z Tranville'em nie wynikłoby dla Jacka nic dobrego.

Następnego dnia wczesnym rankiem Ariana odkryła, że ludzi ogarnęła panika. Belgijscy żołnierze, którzy przegalopowali przez miasto, ogłosili, że ścigają ich Francuzi, z innych doniesień wynikało jednak, że to nieprawda. Ariana poszła więc na Place Royale w poszukiwaniu kogoś, kto udzieliłby jej wiarygodnej informacji. Wpadła na majora Wyliego, od którego dowiedziała się, że bitwa poprzedniego dnia zakończyła się w najlepszym razie remisem. Angielskie siły utrzymały pozycje, ale Wellington szykował się do innej, większej konfrontacji.

Ludzie nadal uciekali z miasta wszelkimi pojazdami, jakie byli w stanie znaleźć, natomiast w drugą stronę toczyły się wozy pełne rannych w zakrwawionych mundurach, z twarzami wykrzywionymi od zmęczenia i bólu. Ariana patrzyła na to z rozdartym sercem.

- Czy to ofiary wczorajszej bitwy? - spytała mężczyznę, który przyglądał się, podobnie jak ona, temu pochodowi.

- Transporty z Quatre Bras - odparł.

Przejeżdżał wóz za wozem, wszystkie z rannymi, a przy każdym Arianę ogarniała trwoga, że znajdzie w nim Jacka. Wreszcie nadjechała furmanka z żołnierzami w mundurach bardzo podobnych do tego, jaki nosił Jack. Podbiegła bliżej.

- Jesteście z Regimentu Wschodniego Esseksu? - spytała.

- Tak - odpowiedział jej ktoś słabym głosem.

- Znacie porucznika Vernona? Co z nim?

- Ostatnio kiedy go widziałem, był cały.

- A generał Tranville? Nikt niczego nie wiedział.

Przejechało jeszcze dwanaście wozów, zanim zdobyła informację.



- Jestem z Regimentu Szkockiego - powiedział jej żołnierz. - Byliśmy w Dziewiątej Brygadzie.

- Czy wiecie coś o losie generała Tranville'a?

Mężczyzna roześmiał się pogardliwie.

- Jest taki sam jak zawsze.

- To znaczy, że nie został ranny?

- Nie, proszę pani - odrzekł tamten. - Diabelnie szkoda, że nie.

Ariana szybko wróciła do hotelu, by przekazać nowiny pani Vernon. Mary czekała na nią w saloniku razem z Wilsonem i Betsy.

- Dowiedziałam się, że Jackowi i lordowi Tranville'owi nic się nie stało - poinformowała.

- Dzięki Bogu! - Pani Vernon opuściła powieki.

Wilson dotknął jej ramienia.

- Znalazłem dla nas czworga miejsce w dylizansie, ale musimy natychmiast wyjechać.

- Wy troje jedźcie - zdecydowała Ariana. - Ja zostaję.

- Zostaje pani? Po co? - Pani Vernon pochyliła się w jej stronę.

Ariana spojrzała na nią stanowczo.

- Odbędzie się następna bitwa. Gdyby Jacka raniono, prawdopodobnie zostałby przywieziony do Brukseli. Muszę być tutaj, aby w razie czego się nim zaopiekować.

- Wobec tego ja również nie wrócę do Anglii - oświadczyła pani Vernon.

Wilson skłonił głowę.

- Moim obowiązkiem jest zostać z panią.

Betsy spoglądała to na swoją panią, to na matkę Jacka.

- No nie, sama nie pojedę.

Wkrótce hotel był pełen rannych, więc wszyscy czworo zaczęli pomagać w pielęgnacji żołnierzy, oczekując na następną bitwę i nowe wieści.

Tego wieczoru lało jak z cebra. Tranville rozejrzał się po chałupie i z obrzydzeniem wciągnął w nozdrza nieświeży zapach. Kwatera składała się z zaledwie jednej izby



wyposażonej w siennik oraz stół i krzesło pokancerowane przez licznych użytkowników. Przynajmniej jednak dach nie przeciekał, a kominek obficie zaopatrzone w drewno.

Wydawał rozkazy oficerom, z których większość, to musiał przyznać, spisała się poprzedniego dnia dobrze. Przeszył wzrokiem stojącego przed nim człowieka.

- Nie toleruję guzdralstwa, słyszycie? Macie powiedzieć swoim ludziom, że albo będą się ruszać migiem, albo sam z nimi porozmawiam.

- Tak jest! - pisnął młody porucznik.

Kapitan Deane, odebrawszy rozkaz, spojrział obojętnie na Tranville'a. Generał nigdy nie wiedział, co ten człowiek myśli. Kapitan Landon nieznacznie skinął głową.

- Landon, znajdziecie dziś wieczorem Pictona. Sprawdźcie, czy ma coś dla nas.

Landon zerknął w kierunku okienka, którego okiennice głośno stukały, szarpane wicherą i deszczem.

- Tak jest.

- Zostajecie jutro przy mnie. Mogę was potrzebować podczas bitwy.

- Tak jest.

Landon znał swoje obowiązki, rozmyślał Tranville. Przekazywał rozkazy bez ociągania. Bez wątpienia odebrał w swoim czasie stosowne wychowanie. Zresztą, pochodził z dobrej rodziny, nie z jakichś drobnomieszczańskich dorobkiewiczów jak Deane, który awansował na kapitana stopień po stopniu. To była zresztą dla Deane'a wystarczająco wysoka ranga i Tranville pilnował, by na tym jego kariera się zakończyła. Szkoda tylko, że Landon zaprzyjaźnił się z Deane'em, a nie z Edwinem. Tranville'owi zależało na tym, by awansować Edwina, ale, niestety, nie wszystko zależało wyłącznie od niego. Zerknął na syna, który siedział na stołku przy drzwiach i pociągał brandy z flaszki. Tak, Landon miałby z pewnością dobry wpływ na Edwina.

Rozległo się pukanie do drzwi, więc Tranville dał znak Edwinowi, aby otworzył. Ten skrzywił się, ale usłuchał.

- Coś takiego - wycedził, odsuwając się na bok.

Na progu stanął Jack Vernon, o pół głowy wyższy od Edwina.

- Buty, Vernon! - powiedział oschle Tranville. - Wystarczy, że mam tu klepisko.

Nie musicie dodatkowo nanosić błota z dworu.

Jack wytarł podeszwy o próg.

- Pospieszcie się - rozkazał Tranville. - Deszcz wpada do środka.

Jack zdjął czako i strząsnął z niego krople, po czym w końcu wszedł do środka. Płaszcz ociekał wodą. Tranville niechybnie wygarnąłby mu z tego powodu, gdyby nie odwrócił jego uwagi kapitan Deane, który szturchnął w bok Landona i wskazał głową Jacka. O co mu chodziło, do diabła?

Jack wymienił spojrzenia z obydwojema oficerami i dopiero potem zwrócił się ku Tranville'owi, choć nie spojrzał mu prosto w oczy. Stał jednak na baczność.

- Wiadomość od podpułkownika Hamertona, panie generale - zameldował.

Tranville wyrwał kartkę z wyciągniętej dłoni Jacka. Obdarzył go najbardziej perfidnym spojrzeniem, na jakie umiał się zdobyć, i celebrował czytanie listu najdłużej, jak tylko mógł. Wreszcie z powrotem złożył kartkę.

- Poczekacie na odpowiedź.

Inni mogli się zastanawiać, dlaczego przez cały czas trzyma Jacka na baczność, ale Tranville był przekonany, że Jack doskonale to wie. Po prostu nadarzyła się okazja, by przypomnieć mu, że jeszcze nie wyrównali rachunków. Że jeszcze zniszczy jego osobie, rodzinę i tę... aktorkę. Rysunkom nikt nie dalby wiary. Zresztą Jack na pewno sam te scenki wymyślił. Edwin mógł mieć czasem trochę za mało zdecydowania, ale żaden Tranville nie skrzywdziłby kobiety ani dziecka, nawet jeśli byłiby papistami.

Zresztą Edwin już dowiedział, że nie jest tchórzem. Pod Quatre Bras cały czas znajdował się tam, gdzie powinien, czyli u boku ojca. Naturalnie obaj nie byli w ogniu walki, tak jak Jack, ale jednak mieli stanowisko w czworoboku i do pewnego stopnia narażali się i na ostrzał artylerii, i na kule z muszkietów.

Tranville wyciągnął ramię i zaczął pisać, ostentacyjnie przerywając po każdym słowie, jakby zastanawiał się, co dalej. Kiedy skończył, przyzwał Jacka gestem.

- Chodźcie tu na słowo, Vernon.

Jackowi nie pozostało nic innego, jak wykonać rozkaz. Tranville syknął mu prosto do ucha:

- Módl się, Jack, żeby jakiś Francuz przebił cię kulą na wylot albo nadział na lancę. Jeśli nie, to kiedy wrócimy do Anglii, i ty, i twoja rodzina pożałujecie, że przeżyliście.

Jack wyprostował się, ale nie powiedział ani słowa. Tylko mięsień w policzku wyraźnie mu drgał.

- Idźcie już - powiedział głośno Tranville, udając, że jeszcze raz czyta list Hamer-  
tona.

- Ja również proszę o pozwolenie odejścia, panie generale - odezwał się Landon.

- Idźcie. - Tranville skinął dłonią.

Jack wykonał regulaminowy zwrot i opuścił izbę, a Landon tuż za nim.

- Czy pan generał jeszcze mnie potrzebuje? - spytał Deane.

- A po co? - burknął Tranville. - Wynoście się wszyscy.

Deane i inni wyszli więc na dwór, ostatni przez niedopatrzenie nie domknął drzwi.  
Edwin musiał wstać ze swego stołka i dobrze je zamknąć.

Tranville wycelował w syna palcem.

- Lepiej zasłuż się jutro podczas bitwy. Chociaż raz pokaż, że masz jaja.

Edwin pobladł i pociągnął długi haust z flaszki.

Znalazszy się przed kwaterą Tranville'a, Landon i Deane natychmiast odciągnęli  
Jacka na bok.

- Masz trochę czasu na herbatę?

Jack z wdzięcznością skinął głową. Przemókł do suchej nitki i było mu zimno. Za-  
prowadzili go do budynku gospodarskiego, który na tę noc był ich schronieniem. Przy  
wejściu płonął mały ogień, w żarze stał kociołek. W środku Jack dostrzegł jeszcze jedne-  
go oficera, który pochrapywał w kącie owinięty kocem. Gdy popijali herbatę z cynowych  
kubków, Jack opowiedział towarzyszom, w jaki sposób doszło do tego, że złamał dane  
im słowo.

- Jesteście bezpieczni - zapewnił. - Nie narysowałem szczegółów, więc nie można  
was zidentyfikować. Nawet mundury tylko naszkicowałem.

Deane potarł twarz.

- Mam nadzieję, że jakiś Francuz wpakuje mu kulę w łeb.

- Uważaj, co mówisz, Gabe - ostrzegł go Landon.

Jack wstał.

- Muszę już iść i doręczyć list.

Uścisnęli sobie dłonie i życzyli przetrwania następnego dnia.

Na odchodnym Jack zwrócił się do Deane'a:

- Znalazłeś bezpieczne miejsce dla tej kobiety i jej syna?

- Tak - odpowiedział. - Prawdę mówiąc, nawet widziałem ją w Brukseli. Teraz mieszka tutaj.

Landon wyprostował się.

- A mnie nic o tym nie powiedziałaś.

Deane wzruszył ramionami.

- A chłopak? - spytał Jack.

Deane popatrzył kolejno na nich obu.

- W wojsku.

Jack pokręcił głową. Chłopak nie mógł mieć teraz więcej niż szesnaście lat. Był za młody na udział w wojnie. Część sił belgijskich uciekła spod Quatre Bras. Może ten młody człowiek również był z nimi i nazajutrz bezpiecznie przeczeka bitwę. Dobrze byłoby, żeby wszyscy mogli uniknąć udziału w tej potyczce.

Następnego dnia kanonada rozpoczęła się w południe. Ariana i pani Vernon nadal zajmowały się rannymi, przynosząc wodę i czyste bandaże i starając się nieść tym ludziom pokrzepienie. Kilku żołnierzy pochodziło z regimentu Jacka, więc Ariana wypytała każdego z osobna, co wie na jego temat. Wszyscy twierdzili, że widzieli go w dobrym zdrowiu. Przez cały czas z oddali dobiegały odgłosy potyczki. Przy każdej salwie artylerii Ariana kierowała myśli ku Jackowi. Tak często, jak tylko mogła, wychodziła zbierać wiadomości z walk.

Do miasta przywożono następnych rannych. Jedni twierdzili, że wszystko stracone, inni, wręcz przeciwnie, uważali, że dali odpór wrogom. Nikt jednak nie wiedział niczego na pewno. Późnym wieczorem dotarła do nich wiadomość, że Francuzi są w odwrocie. Koalicja wygrała batalię, ale za wielką cenę. Mówiono, że całe pole bitwy jest usłane zabitymi i umierającymi. Ariana modliła się, żeby nie było wśród nich Jacka. Zresztą z pewnością wiedziałaby, gdyby coś złego mu się stało. Czułaby to.

Rano wciąż przywożono mnóstwo rannych. Szpitale, hotele i domy były zapełnione, zaczęto więc ich kłaść na dworze. Pani Vernon uparła się, że osobiście pójdzie na

Place Royale i spróbuje wypytać o Tranville'a. Była przekonana, że ktoś powie jej, co z generałem. Ariana miała nadzieję, że i ona dowie się czegoś o Jacku. Na Place Royale nikt nie chciał z nimi rozmawiać, wszyscy byli zbyt zajęci. Gdy wyprawdzono je przed budynek, zobaczyły zbliżającego się młodego oficera.

- To Edwin! - zawołała pani Vernon i podbiegła do niego.

- Coś podobnego! - powitał ją, nie kryjąc pogardy. - To pani.

Udała, że nie zauważa tego grubiaństwa.

- Co z pańskim ojcem? Czy...?

Edwin potarł bliznę na twarzy.

- Padł na polu bitwy - odparł. - Niedaleko tej drogi w parowie. Nasi ludzie widzieli.

Ja... niestety, nie mogłem uczestniczyć w walce. Okulał mi koń i musiałem zostać na tyłach. - Opuścił ręce i wzniósł oczy do nieba. - Ech, gdybym tylko mógł tam być...

Pani Vernon zbladła.

- Edwinie, niech pan nie mówi, że on nie żyje. Tylko nie to!

- Do tej pory nie wrócił. To znaczy, że albo już nie żyje, albo wkrótce nie będzie żył.

Chwyciła go za klapy munduru.

- Zostawił go pan na łasce losu?

Zdecydowanym ruchem odsunął jej rękę.

- Szanowna pani, pole bitwy po walce jest bardzo niebezpiecznym miejscem. Rabusiom nie sprawia różnicy, kogo dobijają.

Ponownie chwyciła go za mundur.

- Niech pan mi powie, gdzie dokładnie widziano, że pada. W którym miejscu?

Udzielił jej wskazówek, więc pani Vernon w końcu go puściła. Edwin otrzepał mundur i chciał odejść. Ariana bała się zapytać, ale w ostatniej chwili jednak się zdecydowała.

- Co z Jackiem?

Edwin parsknął z niechęcią.

- Kiedy go widziałem, stał o własnych siłach, ale nigdy nie należy tracić nadziei.

Ariana wymierzyła mu policzek. Uniósł ramię, ale właśnie w tej chwili przechodził jakiś generał, więc zrezygnował z uderzenia i zadowolił się szyderczym spojrzeniem. Tymczasem do Ariany podeszła pani Vernon.

- Idę szukać Lionela - oznajmiła.

- Niemożliwe! - odparła Ariana. - Trzeba pokonać dziesięć mil.

- Mało mnie to obchodzi. - Ruszyła w stronę hotelu. - Nie wybaczyłabym sobie nigdy, gdybym przynajmniej nie spróbowała.

- Niech pani tego nie robi! - krzyknęła Ariana.

- Muszę. Nie zniosłabym myśli, że on umrze w jakimś rowie.

Ariana położyła jej ręce na ramionach.

- Pójdę tam i go znajdę - obiecała.

Szukając Tranville'a, mogła też rozglądać się za Jackiem z nadzieją, że nie ma go wśród zabitych.

## Rozdział dwudziesty pierwszy

Jack poprawił ułożenie ciężaru na ramieniu i nakazał sobie zrobić jeszcze jeden krok i jeszcze, i jeszcze... Słońce paliło niemiłosiernie, chciało mu się pić, ale nie ważył się przystanąć. Koleiny wyryte w rozmiękczonej deszczami drodze przez wozy dodatkowo utrudniały marsz.

- Sam pójdę - stęknął Tranville.
- Tak szybciej - odparł z wysiłkiem Jack.

Tranville nie byłby w stanie ująć ani kroku. Nogę miał złamaną, a gdyby próbował kuśtykać na jednej, niechybnie otworzyłaby mu się rana w boku. Nie było wyjścia, Jack musiał go donieść.

Podczas pierwszej szarży piechoty wywiązała się zaciekle walka. W pewnej chwili Jack dostrzegł, że Tranville pada. o tym, że zostawiono go na polu, dowiedział się już po bitwie. Wprawdzie nikt nie widział generała martwego, ale ponieważ zapadał zmrok, nikomu też nie spieszyło się do wszczęcia poszukiwań.

Przyszedł koniec Tranville'a i jego grózb. Jack pomyślał, że powinien odczuć triumf lub ulgę. Tymczasem był tak wyczerpany, że dręczyły go jednak przede wszystkim głód i pragnienie. Najadł się więc, napił i wtedy zaczął myśleć jaśniej. Zrozumiał, że odczuwa jedynie smutek, żal mu było matki. Śmierć Tranville'a złamałaby jej serce. Kochała go od ponad dwudziestu lat. Jak mógłby jej spojrzeć w oczy, gdyby przynajmniej nie spróbował go odnaleźć? Zakrywając usta i nos szmatą, wrócił na pole bitwy i omijając trupy, skierował się w miejsce, gdzie widział padającego Tranville'a. Znalazł go żywego.

Noc była straszna. Jack słuchał jęków umierających i kilka razy płoszył rabusiów przeszukujących i odzierających zmarłych ze wszystkiego, co mogło stanowić wartość. W końcu wyniósł Tranville'a na drogę i podążył szlakiem niezliczonych rannych żołnierzy, kierujących się ku Brukseli.

Zmieniając ułożenie ciężaru na ramieniu, zachwiał się. Niestety, spóźnił się i nie było już żadnego wozu, na które ładowano najciężej rannych. Idąc, starał się nie myśleć o tym, co widział, ale obrazy, dźwięki i zapachy bitwy wracały do niego nieproszone.



Znowu zobaczył błysk wystrzeliwanych szrapneli, które zabiły mu konia, i wstrząśnięte twarze gwardzistów zdumionych, że brytyjskie czworoboki nie chcą się załamać. Widział zarzynanych swoich ludzi, słyszał ich krzyki, czuł odór krwi, ekskrementów, prochu i potu.

Potwornie bolały go plecy, ciężar Tranville'a wydawał mu się coraz większy. Na szczęście, ranny stracił przytomność, łatwiej więc było Jackowi udawać przed sobą, że niesie worek kartofli, a nie człowieka, którego nienawidził przez niemal całe życie.

Powtarzał sobie, że jeśli wytrwa, jeśli będzie szedł naprzód stałym rytmem, to wkrótce zobaczy Arianę. Jeszcze jeden krok i jeszcze jeden. Ta sugestia zadziałała. Udało mu się nawet nieco przyspieszyć. Żałował, że nie namalował miniaturowego portretu ukochanej. Wprawdzie po Quatre Bras próbował ją narysować, ale deszcz zmoczył mu papier i zmył wizerunek. Mogły minąć miesiące albo i lata, zanim dostanie pozwolenie na opuszczenie regimentu, a kto wie, jakie zmiany mogą zajść w tym czasie w jej życiu?

W oddali Jack dostrzegł konia prowadzonego przez mężczyznę i kobietę. Szli w przeciwnym kierunku. Natychmiast skupił wzrok na zwierzęciu. Dałby teraz wszystko, by móc z niego skorzystać. W tłoku na drodze prowadzenie obserwacji było trudne, starał się jednak nie tracić konia z oczu. Zaczął się zastanawiać, czy Tranville ma w kieszeniach dość pieniędzy, by starczyło na kupno zwierzęcia.

Nagle ludzie przed nim rozstąpili się niczym wody Morza Czerwonego i wtedy wyraźnie zobaczył kobietę prowadzącą wierzchowca. Rysów nie potrafił jeszcze rozpoznać, ale coś w jej sylwetce i sposobie poruszania wydało mu się znajome. Kobieta przystanąła, jakby chciała mu się przyjrzeć.

Jeszcze nie miał śmiałości, by uwierzyć własnym oczom.

- Jack! - Już do niego biegła.

- Ariana - szepnął.

Przystanąła obok niego zdyszana i spojrzała na przygniatający go ciężar.

- Boże! - zawołała.

Wyciągnęła do niego ramię, ale ponieważ widziała, że trudno mu utrzymać się na nogach, tylko lekko dotknęła policzka.

Ludzie dookoła wydali okrzyk aprobaty, a tymczasem towarzysz Ariany podszedł do nich, prowadząc konia. Jack poznał Wilsona.

- Panicz Jack - powiedział łamiącym się głosem służący. - Pomogę paniczowi.

Ariana przytrzymała konia, a Wilson uwolnił Jacka od ciężaru. Podczas tej operacji Tranville jęknął, a gdy Wilson położył go na końskim grzbiecie, oprzytomniał na tyle, by usiąść okrakiem. Jack znalazł się w ramionach Ariany. Długo stali spleceni. Wdychał zapach jej włosów, rozkoszował się dotykiem znajomych kształtów. Nie był w stanie wypowiedzieć ani słowa, ogarnięty wzruszeniem i ulgą.

- Powiedziałam ci, że nie żegnam się z tobą - szepnęła Ariana. Nagle wysunęła się z jego objęć. Zaczęła ostrożnie badać dłońmi jego twarz, ramiona, klatkę piersiową. - Jesteś ranny?

Pokręcił głową, choć prawdę mówiąc, nawet nie pamiętał, czy to prawda.

- Chodź. - Otoczyła go ramieniem, by choć trochę go wesprzeć. - Opowiem ci o Brukseli.

O nic nie próbowała pytać, za to wypełniła mu długą drogę opowieściami o podróży do Brukseli i czasie, który tam spędzili. Gdy wreszcie dotarli do hotelu, zaprowadziła go prosto do swojego pokoju. Jack osunął się na łóżko i natychmiast zapadł w głęboki sen.

Ocknął się, gdy przez okno wpadały do pokoju promienie słońca. Pachniało herbatą i owsianką. Ariana stała w pobliżu, trzymając złożone ubranie.

- O, wreszcie się zbudziłeś.

- Jak długo spałem?

- Piętnaście, może nawet szesnaście godzin. Jest wtorek rano - odparła z uśmiechem.

- Muszę zameldować się w regimencie.

Podąła mu trzymane rzeczy.

- Wilson okazał się cudotwórcą. Wyczarował dla ciebie świeżą koszulę. Poza tym oczyścił i pocerował ci mundur, żeby wyglądał prawie jak nowy, a do tego wypastował buty.

Jack chwycił ją za rękę i przyciągnął do siebie. Odnalazł jej usta.

- Wciąż się boję, że to tylko sen - szepnął. - Boję się, że znikniesz... A co z Tranville'em?

- Ma się znacznie lepiej. Wilson znalazł chirurga, żeby nastawił złamaną nogę. Teraz opiekuje się Tranville'em twoja matka. - Przysunęła się bliżej i odwzajemniła pocałunek. - Nie kłopotuj się powrotem do regimentu. Wilson wspomniał komu trzeba, że wyniosłeś z pola bitwy generała Tranville'a. Nie musisz się śpieszyć.

- Wilsonowi zajęć nie brakowało.

- Zjedz śniadanie i ubierz się. Niestety, dzisiaj w jadłospisie jest tylko owsianka. - Ariana przysunęła stolik do łóżka i postawiła na nim tacę z jedzeniem. - Zaraz wrócę.

Popatrzył na nią spłoszony.

- Nie odchodź.

- To nie potrwa długo - odparła z uśmiechem.

Nie chciał jej tracić z oczu ani na sekundę, ale umierał z głodu. W okamgnieniu pochłonął owsiankę i wypił całą herbatę. Kiedy zapinał kurtkę od munduru, wróciła Ariana. W ręce trzymała pakunek zawinięty w szary papier i przewiązany sznurkiem.

- To dla ciebie - powiedziała.

Położyła prezent na stoliku i zabrała naczynia.

Jack rozwiązał sznurek i odwinął papier. To, co zobaczył, wprawiło go w zdumienie. Ariana przyniosła mu pudełko węgla do rysowania i pastele, a do tego plik kartek chroniony dwoma grubymi kawałkami tektury.

- Jak to zdobyłaś? - spytał, nie wierząc własnym oczom.

- Po prostu kupiłam - odrzekła, wpatrując się w niego z miłością. - Wiedziałam, że musisz rysować.

Poczuł się jak więzień głębokiego lochu obdarowany nagle kluczem do świata, w którym jest jasno. Nie miał słów na wyrażenie tego, co czuje. Jedno tylko wiedział na pewno: nigdy nie rozstanie się z Arianą.

- Rysuj w spokoju.

- Nie! Poczekaj! Najpierw narysuję ciebie.

Zawróciła więc i pogłaskała go po głowie.

- Dobrze, ale nie musisz się z tym spieszyć, Jack. Będziesz miał jeszcze wiele okazji, żeby mnie narysować. - Znowu miała na twarzy uśmiech zakochanej kobiety, który bardzo chciał uchwycić na papierze. - Przecież będę cię kochać do końca życia.

- Jako żona? - spytał.

- Jako żona - odrzekła bez tchu.

Roześmiał się radośnie i nagle tak ją chwycił, że oboje przewrócili się na łóżko.

- Nie ma pośpiechu, żono? Wobec tego mam jeszcze coś do zrobienia, zanim zacznę rysować.

TLR

# Epilog

## *Londyn - czerwiec 1817 roku*

Ściany sali wystawowej w Somerset House znowu były gęsto zawieszane najrozmaitszymi obrazami, w tym roku jednak wizyta Canovy i szum wokół marmurów Elgina sprawiły, że mówiono prawie wyłącznie o rzeźbach.

Jack przyglądał się swojemu dziełu niemal samotnie. Wisiało w nieco bardziej zaszczytnym miejscu niż jego obrazy przed trzema laty.

- Jest postęp - uznał ze śmiechem.

Odkąd wrócił z wojska, zaczął odnosić sukcesy. Początkowo nawet nie zdawał sobie sprawy z tego, jak bardzo w swoim czasie pomógł mu w wyrobieniu nazwiska portret Kleopatry. W każdym razie przeszedł bardzo długą drogę, odkąd stał w tej samej sali. Wpatrując się w obraz, przypominał sobie tamten dzień.

- Który obraz tak bardzo się panu podoba? - usłyszał cichy, melodyjny i niewolny od rozbawienia głos.

Odwrócił się i ujrzał urzekająco piękną kobietę, wyglądającą tak, jakby właśnie zstąpiła na ziemię z dzieła sztuki. Tak zresztą było naprawdę. Zstąpiła z jego obrazu. Powitał ją pocałunkiem, na co w niemal pustej sali mógł sobie pozwolić.

- Proszę powiedzieć, że ten portret matki z dzieckiem. - Wskazała ręką.

- A pani ten portret się podoba? - spytał.

- Nawet bardzo. - Wspięła się na palce i teraz z kolei ona go pocałowała. - Twórca włożył w niego dużo uczucia.

- Dużo uczucia? - Jack oderwał wzrok od jej twarzy i znów popatrzył na swoje dzieło. - Przyznaję, że ma pani rację. Bardzo dużo uczucia.

- Tak - szepnęła.

Portret przedstawiał Arianę siedzącą w ogrodzie i uśmiechającą się do niemowlęcia z kręconymi kasztanowymi włosami i zielonymi oczami. To była ich córka Julia, wykapana matka. Członkowie Royal Academy ochrzcili ten obraz mianem współczesnej Madonny. Twierdzili, że jest pełen emocji i znakomicie oddaje ideę miłości macierzyńskiej.

- Gdzie moja matka i Nancy? - spytał Jack.

- Razem z innymi oglądają rzeźby. Nancy prosiła zresztą, żeby powiedzieć ci do widzenia. Trochę się zmęczyła. Rozumiesz chyba, że to się zdarza w pierwszych miesiącach. Michael zabrał ją do domu.

Nancy oczekiwała drugiego dziecka. Pierwsze urodziło się ponad rok temu - chłopiec, który teraz uwielbiał bawić się klockami. Nancy i Michael rozpieszczali go tak, jakby był największym cudem świata. Jack doskonale to rozumiał. Wystarczało bowiem, że jego maleńka Julia się uśmiechnęła i już cały topniał jak wosk.

- A jak matka? Też zmęczona? - zainteresował się.

- To możliwe, ale sam wiesz, że nie bąknęłaby o tym ani słowem, dopóki Tranville chce być tutaj.

Tranville oświadczył się pani Vernon, gdy pokonał gorączkę, która omal go nie zabiła, gdy ranny leżał po bitwie na łożu boleści. Przez cały ten czas pani Vernon pielęgnowała go z oddaniem. Dzięki jej opiece złamana noga się zrosła, ale w ciągu tych przeleżanych miesięcy Tranville stracił wiele ze swej samodzielności. Był teraz w dużym stopniu zależny od swojej żony, która, co łatwo przewidzieć, wybaczyła mu absolutnie wszystko. Z pomocą dobrych adwokatów Jack upewnił się, że intercyza jest sporządzona właściwie, pensja matki odpowiednio wysoka, a Tranville nie może w żaden sposób niczego zmienić w postanowieniach prawa. Jack tolerował Tranville'a jedynie z miłości do matki, jak zawsze.

Zresztą ani on, ani Ariana nie widywali ich często. Najwyraźniej wybaczone pani Vernon jej dawne grzechy, gdy tylko uzyskała tytuł lady Tranville; obracali się więc w zupełnie innych kręgach.

Jack nie musiał znosić towarzystwa Edwina. W domu ojca Edwin był *persona non grata*, a okazji do spotkania w innym miejscu nie było. Tranville wypłacał Edwinowi pensję, ale rzadko o nim wspominał choćby słowem. Wyglądało na to, że o synu potrafi zapomnieć równie łatwo, jak o zamęcie, który wprowadził do tyłu ludzkich losów.

- Masz bardzo poważną minę - zauważyła Ariana.

Uśmiechnął się do niej.

- Sama wspomniałaś o Tranville'u.

- Nie pozwól mu zepsuć radości z twojego sukcesu. - Znów spojrzała na portret i westchnęła. - Czy nasza córka naprawdę jest tak doskonała?

- Jest taka jak jej matka.

Przysunęła się do niego.

- Mów tak dalej, to może pozwolę ci namalować mój konterfekt w roli Katarzyny.

Ariana odbywała próby do sierpniowego wystawienia „Katarzyny i Petruchia” Davida Garricka.

- To byłaby dopiero przyjemność. - Jack rozejrzał się dookoła i przekonał się, że zostali sami. - Ta sala zawsze będzie mi przypominała, że tu wszystko się zaczęło.

- Bo twoje obrazy po raz pierwszy dopuszczono do wystawy?

- Nie. Bo po raz pierwszy zobaczyłem ciebie. Chciałem wtedy coś zrobić, ale nie mogłem.

- Co takiego?

- A to!

Objął żonę i wycisnął na jej ustach namiętny pocałunek.

